

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/206

1964



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

ZENON KLISZKO I LIST "34"

**J. JONES : NOWA KONCEPCJA IDEOLOGII
POMARKSISTOWSKIEJ**

B. LEWICKYJ : UPADEK CHRUSZCZOWA

A. CIOŁKOSZ : PO PROSTU MIŁOŚĆ

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Geoideologia</i>	3
Jack Jones:	<i>Nowa koncepcja ideologii pomarksis- towskiej (1)</i>	13
Józef Łobodowski:	<i>O cyganach i katastrofistach (dok.)</i>	31
Tadeusz Nowakowski:	<i>Egzorcyzmy</i>	51

ARCHIWUM POLITYCZNE

Borys Lewickij:	<i>Upadek Chruszczowa</i>	66
—	<i>Dwa dokumenty</i>	78
Londyńczyk	<i>Kronika angielska</i>	85

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Adam Ciołkosz:	<i>Po prostu miłość</i>	91
----------------	-------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Witold Kuss, sen.:	<i>Polacy w Argentynie (1)</i>	116
--------------------	--------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

(m.l.d.):	<i>W oczach Londynu</i>	129
Adam Czerniawski:	<i>Czajkowskiego raj utracony</i>	138
Magdalena Czajkowska:	<i>Krajobraz czekający na wyjaśnienie</i>	144
—	<i>Komunikat</i>	146
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	146



KRAJ

W. Żyromski:	<i>Zenon Kliszko i list „34”</i>	147
--------------	--	-----



J. Bielatowicz, M.M. Borwicz, J.G. Görlich, Zb. Grabowski K.A. Jeleński:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
--	--------------------------------	-----

por. J. W. Mieroszewski



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	163
--------------	----------------------------	-----



—

<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za r. 1964</i>	166
---	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Grudzień - Décembre

1964

INSTYTUT



LITERACKI

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SVOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE**

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Aleksander Kawałkowski, Paryż, po raz dziesiąty	80.00 F
Nina Sereda, Montreal, Que (Kanada) zamiast kwiatów w dniu Wszystkich Świętych na groby zmarłych przyjaciół Wery Ja- kubowskiej i Franciszka Partyki	49.00 „
Ryszard Fiks, Chicago, III. (USA), po raz szósty	19.00 „
Dr Stanisław N. Korzeniowski, Ladd, III. (USA) po raz dzie- siąty	147.00 „
Józefa Turska, St. Anne de Belville, P.Q. (Kanada) po raz dzie- wiąty	44.45 „

DZIĘKUJEMY

◆

Bieżący zeszyt „KULTURY” zawiera 176 stron.

◆

*Bezpośrednio przed zamknięciem numeru Redakcja otrzy-
mała 13 wierszy Josifa Brodskiego napisanych w bieżącym roku
w łagrze pod Archangielskim. Czytelnicy nasi znają głośny pro-
ces młodego sowieckiego poety ze stenogramu ogłoszonego w
lipcowym/sierpniowym nrze „Kultury”. Stenogram ten został
następnie przedrukowany przez prasę światową.*

*Brak czasu nie pozwala nam na zamieszczenie teraz tych
wierszy; będą one wydrukowane w nrze styczniowym w tłuma-
czeniu Józefa Łobodowskiego.*

Geoideologia

„Na jednej z gier wojennych w latach 20-tych omawiano jak zwykle wypadki „N” (Niemcy) i „R” (Rosja) osobno, gdy zaś przyszło do omawiania wypadków „N” plus „R” (Niemcy i Rosja), Marszałek zachnął się i powiedział: „my wojny na dwa fronty prowadzić nie możemy, więc ja was wojny na dwa fronty uczyć nie będę. Wojna na dwa fronty to znaczy ginąć tu, na Placu Saskim z szablami w dłoni dla obrony honoru narodowego”. Po czym pomilczał chwilę i z naciskiem powiedział: „Bezsens i Bezsens!” (Jan Kowalewski, Zeszyt Historyczny Nr 6).

Piłsudski nie mógł wówczas przewidzieć, że istniało jeszcze inne rozwiązanie problemu „N” plus „R” — a mianowicie szosa zaleszczycka.

Bilateralizm, który stanowił kanon polityki zagranicznej drugiej Rzeczypospolitej — nie zdał egzaminu. Pakty nieagresji z Niemcami i z Rosją w praktyce oznaczają izolację Polski.

By wyprostować nasze stosunki z Rosją musimy wydobyć się z izolacji. Bilateralizm przy tak olbrzymiej różnicy w potęgach siły — nie może nigdy przynieść pozytywnych rezultatów.

Koncepcja pasa neutralnego zmierzała do wydobywania Polski z izolacji. Wchodzilibyśmy wówczas w skład zneutralizowanego bloku państw — co oczywiście kładłoby kres wyłącznie bilateralnym stosunkom pomiędzy Warszawą i Moskwą.

Pisząc w jednym z poprzednich artykułów o europeizacji Rosji — miałem na myśli układ stosunków, który umożliwiłby Rosji i Polsce uczestniczyć w jednej z organizacji europejskich. To jest również droga, która wiodłaby do wydobywania nas z izolacji.

W sumie lekcję przeszłości streścić można w jednym zdaniu: winniśmy dbać o dobre stosunki z Rosją i równocześnie unikać tête-à-tête z Moskwą.

Nie wyprostujemy naszych stosunków z Rosją dopóki nie wydobędziemy się z izolacji — ponieważ różnica w potencjałach siły osamotnioną Polskę skazuje na satelictwo w stosunku do każdej Rosji — tak czerwonej jak białej.

Za ideał należy uznać „europeizację” Rosji — czyli włączenie jej jako czynnego partnera do systemu europejskiego. Tylko „europeizacja” Rosji zabezpieczyłaby nas zarówno przed satelictwem jak i przed Rapallo.

Ci z nas, którzy marzą o wyparciu Rosji z Europy — względnie o budowie nowego „przedmurza” — myślą kategoriami sprzed pół wieku. Rosja inną drogą zmierza do tego samego celu co wszystkie inne państwa europejskie — tzn. do budowy nowoczesnego, bezklasowego społeczeństwa przemysłowego.

Nigdy w dziejach Rosja nie była tak bliska Europy i równocześnie tak daleka. Spóźniona rewolucja przemysłowa i postęp technologiczny europeizują Związek Sowiecki. Suma różnic pomiędzy zachodnimi społeczeństwami europejskimi a przemysłową Rosją maleje z każdym rokiem. Wolno wyprostowuje się również „kompleks niższości” wobec Zachodu, który zabarwiał (i jeszcze zabarwia) całość skomplikowanych stosunków łączących Rosję z zachodnią Europą.

Ilia Erenburg w swym ostatnim tomie pamiętników („The War 1941-1945”) opisuje dosłownie absurdalne warunki pracy sowieckich pisarzy i dziennikarzy w okresie ubiegłej wojny. Nie tylko obcy korespondenci — lecz nawet członkowie alianckich misji wojskowych byli unieruchomieni w kwaterach i odcięci od wszelkich informacji. A przecież oprócz chaosu i błędów — działy się rzeczy wielkie, którymi można było i należało się pochwalić. W bitwie pod Kurskiem — Niemcy wprowadzili do akcji 2000 czołgów. W przeciągu trzech dni morderczych zmagani stracili 1500 czołgów i Rosjanie przeszli do ofensywy.

Erenburg cytuje charakterystyczną wypowiedź dyplomaty sowieckiego Umańskiego: „Nie rozumiemy rzeczy z których powinniśmy być dumni. Wszystko co najlepsze ukrywamy i tajmy. Zachowujemy się jak banda aroganckich, niegrabnych wyrostków i drżymy ze strachu, że jakiś cudzoziemiec wyśledzi, że w Mirogradzie nie ma maszyn do prania”.

Z książki Erenburga wynika niezbicie, że nieufność Rosjan do cudzoziemców dyktowana jest zarówno szpiego-manią jak i lękiem przed utratą twarzy. To jest rys typowo wschodni. Rosjanin zrezygnuje z pokazania cudzoziemcowi wspaniałej fabryki jeżeli istnieje możliwość, że obcy obserwator zauważy przy tej okazji elementarne braki urządzeń sanitarnych w sąsiednim kołchozie.

Gdy poziom stopy życiowej zbliży się do poziomu zachodnio-europejskiego — kompleks niższości zacznie zanikać. Nieufność i arogancja znamionują zawsze świadomość niedoboru i lęk przed utratą twarzy. Lecz to są uwagi na marginesie.

Zarówno Dmowski jak i Piłsudski rozpatrywali stosunki polsko-rosyjskie w zupełnie innym i nieporównywalnym z obecnym kontekście historycznym. Dziś, pomiędzy nami a Rosją (w przeciwieństwie do Niemiec) nie ma sporu terytorialnego. Konflikt polsko-rosyjski jest dziś wyłącznie sprawą ideologii i polityki. Nasz konflikt stanowi fragment światowego konfliktu pomiędzy Wschodem i Zachodem. W epoce rewolucji technologicznej, w epoce bomb atomowych i statków kosmicznych — nie ma miejsca ani na wydarzenia „lokalne” ani na historię narodów. Trzecia wojna światowa może wybuchnąć w Wietnamie, którego 60% Europejczyków nie umiałoby wskazać na mapie. Byliśmy o krok od katastrofy na skutek światowego kryzysu, który wybuchł w parafialnej Kubie.

To ma swoje złe i dobre strony. Przed wojną żaden premier rumuński nie miał szansy oddziaływania na politykę światową. Dziś, każde posunięcie rządu rumuńskiego jest komentowane przez czołowe pisma stolic zachodnich. Dlaczego? Ponieważ polityka Bukaresztu stanowi fragment konfliktu epoki a tym samym stanowi fragment nie lokalnej historii rumuńskiej lecz naszej wspólnej historii 20 wieku.

Sytuacja Polski jest różna od sytuacji państw zachodnio-europejskich ponieważ Polacy nie ograniczają swych dążeń do rozładowania konfliktu wyłącznie w sferze politycznej.

Rozwiązań ściśle politycznych może być wiele. Zarówno NATO jak i blok państw komunistycznych tracą swą spójność. Niepokój Moskwy w stosunku do Rumunii — podobnie jak niepokój Waszyngtonu w stosunku do Francji — wynika z faktu, że żaden z przywódców bloku nie życzy sobie by jego blok rozpadł się pierwszy.

Gdyby sprawa Niemiec została rozwiązana a granica na Odrze i Nisie międzynarodowo uznana — bloki na terenie Europy w znacznym stopniu utraciłyby swą rację bytu. Przywódcom bloków byłoby wówczas bardzo trudno przeciwstawić się tendencjom neutralistycznym. Państwo neutralne zachowuje swój ustroj, uwalnia się od sojuszniczych serwitutów, handluje ze wszystkimi i bierze pieniądze od wszystkich. To są bardzo nęcące perspektywy. Wówczas mogłyby powstać zgrupowania „państw niezaangażowanych” — powiedzmy dla przykładu: Rumunia-Jugosławia, Polska-Czechosłowacja-Węgry itp. Ugrupowanie choć nie byłoby formalnym sojuszem ani federacją — ułatwiałoby opór i wspólną obronę interesów vis à vis Związku Sowieckiego.

Rozwój po tych liniach stanowiłby niewątpliwy postęp. Byłoby to przejście od komunizmu satelickiego do komunizmu niezależnego — od komunizmu agresywnego do komunizmu neutralistycznego i przystosowanego do politycznego układu europejskiego. Lecz w państwach „niezaangażowanych” — handlujących z Wschodem i Zachodem — partie komunistyczne, być może, siedziałyby mocniej w siodle niż siedzą dzisiaj. Przywód-

cy komunistyczni tych państw w stosunku do Rosji podkreślaliby „wspólnotę ideologiczną” a w stosunku do Ameryki pokreślaliby swoje „niezaangażowanie”. To jest niewątpliwie — z wszystkich możliwych — najkrótsza droga do gospodarczego dobrobytu dostępna w przyszłości dla państw środkowo-wschodnioeuropejskich.

Lecz choć rozwój sytuacji w omawianym kierunku byłby korzystny — nie gwarantowałby rozwiązania centralnego problemu.

Piszemy wiele o millenium, o 1000-leciu naszej historii. Bilans millenium zamyka się saldem ujemnym. Wróciliśmy wprawdzie nad Odrę lecz utraciliśmy niezależność. Od upadku pierwszej Rzeczpospolitej nie jesteśmy w stanie znaleźć odpowiedzi na dylemat „R” plus „N”.

Większość Polaków na dzień dzisiejszy przyznaje wyższość „interesom narodowym” nad jakąkolwiek ideologią. Przez „interesy narodowe” tak w przeszłości jak i obecnie Polacy rozumieją niepodległość. Naszym ideałem byłby ideologiczny izolacjonizm. Poprawne stosunki na granicy sowieckiej, poprawne stosunki na granicy niemieckiej a pośrodku Polska wyspa a na niej wieś spokojna...

Ideologiczny konflikt pomiędzy Wschodem a Zachodem — rozpatrujemy nie jako nasz konflikt tylko jako starcie wielkich tego świata. Owo starcie odbywa się naszym kosztem lecz ponad naszymi głowami.

Istnieje pojęcie i termin „geopolityka”. Ośmielam się ukuć nowy termin „geoideologia”.

Żaden polityk włoski bez względu na przekonania i poglądy — nie może odwrócić się plecami od chrześcijaństwa ponieważ stolica Włoch jest geoideologicznym ogniskiem tej wielkiej religii. Interesy narodowe Włoch są bezpośrednio związane z ową geoideologiczną dyspozycją. Rzym dla setek milionów ludzi w świecie to jest Papież i Watykan. Bez Papieża Rzym spadłby do rangi jednej z prowincjonalnych stolic europejskich.

Analogicznie dyspozycja geoideologiczna determinuje nasz stosunek do komunizmu. Najpotężniejszy sąsiad Polski jest nie tylko mocarstwem komunistycznym lecz Moskwa jest ciągle dotąd głównym ogniskiem światowego ruchu komunistycznego. Wszystko co dzieje się w Moskwie dotyczy nas bezpośrednio i z tej przyczyny konflikt Wschód-Zachód jest w większym stopniu naszym problemem niż jakiegokolwiek państwa europejskiego czy poza europejskiego.

Dla Francji, Anglii czy Stanów Zjednoczonych ów konflikt ma charakter ideologiczny a nie geoideologiczny i wskutek tego tylko pośrednio wpływa na ocenę „interesów narodowych”.

Termin „geoideologia” ujmuje związek jaki łączy ideologię z położeniem geograficznym. Na katolicyzm wywierają wpływ koła kościelne i intelektualne całego świata — lecz jakakol-

wiek zmiana doktryny może być dokonana tylko w Rzymie. Na ewolucję komunizmu wywierają wpływ wszystkie partie komunistyczne — niemniej zasadnicze zmiany doktrynalne w marksizmie europejskim mogą być dokonane tylko w Moskwie. Komunizm nie jest polską, dobrowolnie zaakceptowaną ideologią — lecz jest naszą geoideologią ponieważ problematyka europejskiego komunizmu jest genetycznie i ewolucyjnie związana ze strefą geograficzną, która obejmuje Polskę.

Podkreślam raz jeszcze: dla zachodnich Europejczyków i Amerykanów komunizm jest tylko ideologią. Dla nas jest geoideologią. Od ideologii można odwrócić się plecami od geoideologii nie można odwrócić się plecami. Neapolitańczyk mieszkający w Nowym Jorku czy w Paryżu — jeżeli sobie powie: Wezuwiusz nic mnie nie obchodzi, ponieważ mieszkam poza jego zasięgiem — przestaje być neapolitańczykiem.

Polacy zarówno w kraju jak i na emigracji wykazują zdumiewający talent łączenia sentymentalnego patriotyzmu z całkowitą pogardą dla geopolityki i geoideologii. Kochamy Polskę lecz fakty składające się na polską rzeczywistość działają nam na nerwy.

Gdyby Polacy byli w pełni świadomi swojej sytuacji geopolitycznej i geoideologicznej zdawaliby sobie sprawę, że ewolucja komunizmu jest zagadnieniem dotyczącym nas wszystkich bez względu na indywidualne zapatrywania i poglądy polityczne.



Następujący punkt w rozwoju konfliktu pomiędzy Wschodem i Zachodem wydaje mi się najistotniejszy.

Piszemy o uniwersalnej rewolucji technologicznej, o mediach komunikacji, o kurczeniu się świata i tp. Rosja Sowiecka z każdym miesiącem staje się coraz bardziej do nas podobna i coraz bardziej od nas różna. Owe podobieństwa, których przybywa z każdym dniem — nie tylko podkreślają lecz pogłębiają różnice, które nas dzielą. Jest coś złowieszczego i groźnego w owych dysproporcjach.

Technologia sowiecka, statki kosmiczne, okręty o napędzie atomowym, pociski międzykontynentalne — stanowią triumf racjonalizmu. Komuniści są racjonalistami dopóki operują materią — od hut stali po atom. Przestają być racjonalistami gdy zaczynają operować ludźmi, socjologią, religią, filozofią.

Długi czas na Zachodzie panowało przekonanie, że racjonalizm jest niepodzielny. Zachodnia teoria ewolucjonizmu dziś jeszcze wychodzi z przesłanki, że rosnący i przemożny wpływ nauk ścisłych — stanowiących intelektualną bazę technologii — z czasem dokona racjonalizacji samej doktryny. Wielu sowietologów sądzi, że upowszechnienie racjonalizmu poprzez technologię do-

prowadzi w końcu do upadku dogmatów i mitologii w ramach doktryny komunistycznej.

Nie podzielam tego optymizmu. Gdyby tak było należałoby Sowiecom udzielić na możliwie najkorzystniejszych warunkach olbrzymiej pożyczki — by poziom ich technologii i stopy życiowej zrównać z Zachodem. Wszystko inne nastąpiłoby automatycznie i nieuchronnie.

W moim przekonaniu racjonalizm jest istotnie niepodzielny. Jednak definicja racjonalizmu w ujęciu zachodnich ewolucjonistów jest całkowicie błędna.

Technologia to jest *know how*. Nauki ścisłe można łączyć z buddyzmem lub z katolicyzmem, z komunizmem lub faszyzmem. Sinnott jest teistą, Einstein był panteistą, Schroedinger jest budystą itp. Racjonalizm to nie jest ani technologia ani nauki ścisłe. Racjonalizm to jest filozoficzny pogląd na świat i postawa kulturalna stanowiąca konsekwencję owego poglądu.

Na Zachodzie istnieje rozdział pomiędzy państwem a religią — pomiędzy państwem a filozofią. Jeżeli państwo podporządkowane jest jednej oficjalnej religii, czy jednej oficjalnej filozofii — wówczas racjonalizm staje się herezją.

W owej schizofrenicznej dwoistości — racjonalizm w stosunku do materii, dogmatyzm w stosunku do ludzi — tkwi wielkie niebezpieczeństwo. Im racjonalizacja procesów technologicznych staje się doskonalsza — tym większe jest ryzyko, że ów potencjał zostanie użyty w oparciu o decyzje irracjonalne. Decyzji nie podejmują scjentyści i technolodzy tylko aparaczczycy i doktrynerzy. Do ludzi, którzy tylko połową swego mózgu są racjonalistami — nie można mieć zaufania. Tym bardziej, jeżeli swój „mandat historyczny” ludzie ci gotowi są realizować najnowocześniejszymi metodami technologicznymi — broni atomowych nie wyłączając. Wówczas cywilizacja scjencyficzna zostałaby podporządkowana barbarzyństwu, którym jest wszystko co nie jest racjonalizmem.

Usprawnić gospodarkę komunistyczną mogą tylko fachowcy i technokraci. I lecz zracjonalizować podejście do człowieka mogą tylko humaniści. Zracjonalizowanie poglądu na filozofię, socjologię, historię, literaturę — byłoby równoznaczne z europeizacją ruchu komunistycznego.

Bolszewicy starej gwardii tak w Rosji jak i w krajach satelickich — nie są w stanie wydobyć się z ponurego koła stalinizmu.

Posłuchajcie: W miejscowości X na Syberii po śmierci Stalina zlikwidowano łagier. Psy policyjne rozdano ludności. Psy były wytresowane w ten sposób, że utrzymywały kolumny łagierników maszerujących do pracy w przepisanej formacji. Jeden krok w lewo czy w prawo i kły wilczura wpijały się w nogę nieostrożnego więźnia.

W rok po likwidacji łagru przez osadę maszeruje pochód 1-szo majowy. Nagle pojawiają się psy i jakby na komendę

obejmują swoje dawne obowiązki. Lata zaprawy nie poszły na marne. Po krótkiej naradzie stary eks-łagiernik prowadzi sterrozowaną kolumnę ludzi na podwórze fabryki. Przypomniat sobie bowiem, że psy były przyuczone zatrzymywać się przy bramie wiodącej do obozu. Podstęp udał się — psy zatrzymały się przed bramą fabrycznego podwórza.

W kilku zdaniach streściłem najnowszą opowieść Sołżenicy-na, która wywołała zrozumiałe poruszenie w Moskwie.

W Rosji o psach Pawłowa i o „odruchach warunkowych” wiedzą wszyscy. Eks-stalinowcy przedzierzgnęli się w neo-stalinowców. Nie pomniejszając jego zasług w walce z widmem satrapy — należy stwierdzić z naciskiem, że Chruszczow do końca swojej kariery nie miał żadnej koncepcji czym zastąpić stalinizm.

Lenin głosił, że dopóki trwa walka klasowa nie może być mowy o obiektywnych naukach społecznych. W zrozumieniu komunistycznym nauki społeczne obejmują całą humanistykę. Dopiero gdy zostanie osiągnięte stadium pełnego komunizmu — wygaśnięcie walki klasowej umożliwi odpropagandyzowanie humanistyki.

Cały podstawowy a-racjonalizm doktryny komunistycznej tu znajduje swoje źródło. Aparatczykom wydaje się, że jest rzeczą możliwą a-racjonalnymi metodami osiągnąć racjonalne cele.

Neostalinizm, który zastąpił stalinizm — nie odpowiada stopniowi rozwoju Związku Sowieckiego. Wybitni brytyjscy znawcy Rosji młodsze pokolenia — (pewni z nich posiadają dyplomy moskiewskiego uniwersytetu) — twierdzą, że różnice pomiędzy lewym a prawym skrzydłem Komitetu Centralnego są znacznie większe niż pomiędzy Labour Party a Konserwatystami w Wielkiej Brytanii. Przy takim wachlarzu opinii bez maszynarii demokratycznej nie jest rzeczą możliwą rządzić. W konsekwencji każdorazowy pierwszy sekretarz podejmuje walkę o władzę dążąc do dyktatury, ponieważ to jest jedyny „model” zgodny z duchem i treścią neostalinowskiego systemu.

Zbilansujmy nasze dotychczasowe rozważania.

I. By wyprostować nasze stosunki z Rosją musimy przy-swoić sobie pogląd, który można ująć w sekwens następujących punktów:

a) — Nie możemy być nawet potencjalnie w stanie wojny zarówno z Niemcami jak z Rosją. Potencjalny stan wojny z Niemcami wyłącza potencjalny stan wojny z Rosją.

b) — Jeżeli uznamy obecne granice Polski za nienaruszal-ne (i nader korzystne) wypada stwierdzić, że Rosja nie zgła-sza pod naszym adresem żadnych pretensji terytorialnych co jest niezmiernie ważne.

c) — Rosja nawet zdekolonizowana — będzie jeżeli nie dru-gim to trzecim mocarstwem świata, a z całą pewnością po-zostanie najpotężniejszym mocarstwem kontynentalnej Europy.

Jest wielce prawdopodobne że pewne narody wchodzące w skład Związku Sowieckiego wybiorą raczej drogę prawdziwej a nie fikcyjnej federacji z nową Rosją niż spóźniony start na drodze samodzielnej niepodległości.

d) — Nie mamy możliwości ani wydrzeć Rosji dominującej pozycji na wschodzie Europy ani nie mamy szansy zbudowania anty-rosyjskiego „wału ochronnego” z narodów które niegdyś wchodziły w skład pierwszej Rzeczypospolitej. Nauczone naszym przykładem narody o których mowa — byłyby narodami szaleńców gdyby w przyszłości podjęły rolę przedmurza wymierzonego przeciwko Rosji.

Jako państwo wielo-narodowe nie zdaliśmy egzaminu i nie znajdziemy chętnych partnerów do powtórzenia tego eksperymentu. Nie umieliśmy być imperialistami w epoce imperialnej — byłoby dziwne gdybyśmy podejmowali próby imperialne w epoce anty-imperialnej.

e) — Nie zdał również egzaminu bilateralizm tzn. polityka równowagi pomiędzy Niemcami a Rosją. W przyszłości winniśmy dążyć do utworzenia ugrupowania polsko-węgiersko-czechosłowackiego, które wzmacniając pozycję współpartnerów vis à vis Moskwy — nie byłoby jednak formacją anty-rosyjską.

II. Z Rosją jesteśmy związani geopolitycznie i geoideologicznie. Nawet jeżeliby przyjąć, że komunizm nie będzie ewoluował lecz upadnie — Polska i Rosja byłyby wówczas państwami ekskomunistycznymi o dziesięcioleciach wspólnej historii i doświadczeń. Jeżeli komunizm będzie ewoluował — w co osobiście nie wątpię, nasze ofiary nie pójdą na marne ponieważ okaże się, że tylko poprzez zrationalizowanie komunizmu państwom wschodnio-europejskim a w szczególności Polsce — powiedzie się przywrócić Rosję Europie.

III. Kardynalnym zagadnieniem ewolucji komunizmu jest przeprowadzenie pełnej racjonalizacji systemu. Racjonalne myślenie musi być prawem i przywilejem nie tylko fizyków, chemików, matematyków i technologów lecz również socjologów, filozofów, historyków i pisarzy.

Nieludzkość stalinizmu i neostalinizmu polega na tym, że zrationalizowanie bazy technologicznej okupuje się udogmatyzowaniem nadbudowy, tj. humanistyki w najszerszym tego słowa znaczeniu. Stalinowcy starszej i nowszej daty uważają, że warunkiem zrationalizowania bazy, a tym samym przyspieszenia postępu technologicznego — jest udogmatyzowanie nadbudowy czyli całej humanistyki. Obawiają się bowiem, że gdyby humanistom przyznano prawo do racjonalizmu (czyli do wolności) — nadbudowa obróciłaby się przeciwko bazie hamując postęp technologiczny i produkcję. Przywódcy partyjni zamiast skupić całą swą energię i uwagę na sprawach gospodarczych musieliby wówczas walczyć z socjologami, pisarzami, filozofami, któ-

rzy sami nie produkując żadnych dóbr materialnych krytykowaliby kierowników produkcji dóbr materialnych to jest Komitet Centralny Partii.

IV. W przekonaniu stalinowców i neostalinowców nadbudowa skazana jest na zagładę. W okresie pełnego komunizmu racjonalizm będzie przywilejem każdego obywatela — ponieważ nie będzie innego racjonalizmu poza racjonalizmem technologicznym. Wówczas owa dzisiejsza fatalna dychotomia ustąpi miejsca uniwersalnej jedności i wszyscy będą wolni w swojej ograniczoności.

Gdyby dziś w Anglii wyszedł zakaz czytania Szekspira — dziesiątki tysięcy ludzi nie odczułoby tego za ograniczenie wolności. Natomiast skrócenie czasokresu nadawania programów telewizyjnych o 3 godziny dziennie doprowadzić by mogło do przewrotu.

Na Zachodzie posiadamy ten sam problem. Jednak likwidacji humanistyki nikt nie postuluje choć niektórzy przepowiadają jej upadek. W moim przekonaniu w zachodniej Europie nie zmierzamy do „nowego, wspianiałego świata” — choć niewątpliwie humanistyka, a w szczególności literatura nie odnalaży jeszcze swojej pozycji w epoce technologicznej.

V. Inteligencja w krajach Europy wschodniej nie miała nigdy tak ważnego zadania ani nie miała nigdy tak historycznej roli do odegrania jak obecnie. Zracjonalizowanie systemu a tym samym przywrócenie wolności humanistyce — może być wywalczone tylko przez inteligentów-humanistów. Nie osiągną oni nigdy swego celu jeżeli wolność identyfikować będą z likwidacją komunizmu. Muszą natomiast walczyć o ewolucyjną przebudowę systemu i przyznanie twórcom dóbr kulturalnych tego samego niezależnego statusu jaki przysługuje fizykom, matematykom czy technologom.

Różnica pomiędzy Wschodem a Zachodem nie polega na znacjonalizowanej gospodarce czy centralnym planowaniu. Różnica między Wschodem a Zachodem polega wyłącznie i jedynie na tym, że neostalinizm stanowi „blue-print” nowego wspianiałego świata w którym doskonałość technologiczną i wydajność produkcji okupuje się wymarciem humanistyki. W owym świecie jest miejsce na Schaffów lecz nie ma miejsca na Sartre'ów. Neostalinowcy domagają się od humanistycznej inteligencji by własnymi rękami przygotowała grunt pod swój cmentarz.

VI. Inteligencja humanistyczna musi przekonać aparatczyków i technokratów, że racjonalizm jest istotnie niepodzielny i dlatego komunistyczny „new brave world” jest utopią. Łamiąc anty-konformizm humanistycznych intelektualistów można w danym okresie usprawnić ekonomiczny „wielki skok” i pod-

porządkować potencjał sił społecznych jednemu celowi. Lecz gdy pierwsze stadium industrializacji zostanie osiągnięte — wolność humanistyki winna być w całości restaurowana.

Setki lat historii cywilizacji Zachodu uczą nas, że może istnieć wspaniała kultura humanistyczna bez technologii. Te same doświadczenia uczą nas również, że technologia bez humanistyki nie prowadzi do „brave new world” — tylko do tworów à la hitlerowska Trzecia Rzesza.

Osobiście jestem absolutnie pewien, że zanik swobodnie uprawianej humanistyki byłby równoznaczny z zanikiem myślenia racjonalistycznego — co w konsekwencji musiałyby przynieść upadek technologii. Pół-inteligencji typu Gomułki czy Kłiszki nie mogą pojąć, że w perspektywie historycznej — humanistyka jest bazą technologicznej nadbudowy. Marks w tym świetle był humanistą, który gdyby żył w stalinowskiej Rosji zostałby zgłodzony, a gdyby żyć mu wypadło w gomułkowskiej Polsce — miałby do wyboru albo być drugim Schaffem albo wyjechać za granicę. Nie wątpię, że wybrałby drugą alternatywę.

Innymi słowy nie ma racjonalnej technologii bez racjonalnej humanistyki. Nie ma racjonalnej humanistyki tam gdzie nie wolno swobodnie rozumować.

VII. To są problemy naszej geoideologii ponieważ losy państwa, narodu i polskiej kultury zależą bezpośrednio od rozwiązania tych zagadnień.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Już są do nabycia we wszystkich krajach

Wspólnoty Polskiej

CZĘŚCI MNIEJSZEJ CAŁOŚCI

ADAMA CZERNIAWSKIEGO

z Przedmową Witolda Gombrowicza

Zamówienia przyjmuje

OFICyna POETÓW I MALARZY, 146 Bridge Arch, Sutton Walk,
London S.E.1. — Cena egz. wraz z przesyłką F 8, 12/- lub \$ 2.00

Nowa koncepcja ideologii pomarksistowskiej (I)

Zniszczyć musi Człowiek lub Przyroda; jeśli jedno ma przetrwać, drugie paść musi.

HEGEL

W r. 1955 Metropolitan Museum w Nowym Yorku zdobyło się na zakup raczej nieoczekiwany. Był nim pierwszy i dotąd jedyny w tych zbiorach obraz Salvadora Dali. Niektórzy z krytyków określili go jako „melodramatyczny”, choć niewątpliwie wywołujący silne wrażenie. Obraz ukazuje w pełni detali, co jest cechą charakterystyczną tego mistrza surrealisty, ukrzyżowaną postać, która przedstawiać może Chrystusa, — a może współczesnego człowieka czy wreszcie samego artystę, al-

Przypisek tłumaczkii.

Przekład „Rozprawy z Hiperkubem” (tak brzmi tytuł oryginału) Jones’a nasuwał szczególne trudności w związku z brakiem wyrażnych polskich odpowiedników na określenie zarówno kluczowego pojęcia *konserwacjonizmu* jak i wynikających z niego określeń: *prudential conservatism* i *depth conservatism*. „Ochrona przyrody” jest pojęciem zbyt wąskim, a narzucający się na wstępie element „zachowawczości” stoi w sprzeczności ze śmiałymi i daleko idącymi postulatami Jones’a. Pozostać przeto wypadło przy mechanicznym spolszczeniu neologizmu „conservationism”, opatrując tę decyzję ostrzeżeniem, iż pokrewieństwa postawy *konserwatywnej* (zachowawczej) i *konserwacjonistycznej* są bardzo dalekie. Przymiotnik *prudential* nasuwa wiele możliwości przekładu, w tym *roztropny*, *rozważny* itp. — wybór, może nie najtrafniejszy, padł na *roztropny*. „*Depth conservatism*” debiutuje tu jako „konserwacjonizm dogłębny”, co — jeśli zgorzsy współczesnych — ucieszyć winno ducha Bronisława Trentowskiego, śmiałego odnowiciela polskiej terminologii filozoficznej w XIX w. (M.D.)

bo trzy te możliwości naraz. Wszystko to mieści się jeszcze w ramach uznanych konwencji: jeden tylko rys dzieła jest niezwykły. Znane powszechnie zarysy narzędzi egzekucji rozrastają się na obrazie w sposób osobliwy w „Hiperkub” (1) o kształtach krzyża. Dali wyjaśnił z lekka znaczenie tego neologizmu w tygodniku „Time”, mówiąc iż „Gris stworzył piękno kubizmu a Picasso kontynuował jego dzieło. Ja stworzyłem obecnie obraz w pełni hiperkubistyczny”. Osiągnął, jak się zdaje coś więcej, dając nieprześcignioną dotąd w sztuce malarskiej głęboką i rozległą wizję dokonującej się na naszych oczach psychohistorycznej przemiany porządku współczesnego świata.

Ale nie tylko pod ręką artysty doszło do głosu wyczucie, że w miarę niejako „hiperkubistycznego” wzrostu kultury współczesnej działać zaczynają w jej obrębie pewne nieuchwytne i układające się mgliście w kształt krzyża, a w każdym razie zdecydowanie negatywne czynniki i że w związku z tym i z konieczności ją poszerzają. Wskaźniki ich istnienia, do których powrócimy dalej, dały znać o sobie w formalnie bardzo różnych dziedzinach filozofii, psychologii, ekonomii, polityki czy teologii. Spróbujmy jednak naprzód podejść do zagadnienia drogą stosunkowo rzadko uczęszczaną, poprzez zespół pojęć określanych jako konserwacjonizm w zakresie ochrony zasobów naturalnych czy Przyrody, a występujących od stosunkowo niedawna w dziejach myśli ludzkiej.

Literatura dotycząca tego zagadnienia świadczy, iż na odcinku tym zachodzi niejako odpowiednik pojęcia eksplozji demograficznej. Współcześni nam mędrcy zdradzają jednak dotąd kompletną obojętność w stosunku do wyzwania tkwiącego w tym zjawisku, którym większość z nich nie interesuje się zupełnie. Wiele wskazuje jednak na to, iż zbliża się czas próby. Zachodzi bowiem, a w każdym razie da się wydedukować, zasadnicza niemożność pogodzenia stanowiska konserwacjonistycznego z panującymi wszechwładnie od dawna — od czasów Oświecenia — poglądami społecznymi i ekonomicznymi (i to we wszystkich ich odcieniach: na lewicy, prawicy i w centrum). Pełna konfrontacja tych poglądów wykaże zapewne w niedalekiej przyszłości, iż jedna albo druga z tych postaw, a może nawet obie, nie mogą się utrzymać bez wprowadzenia zasadniczych zmian.

Postawa konserwacjonistyczna może być scharakteryzowana

(1) (Przerost cywilizacji nad kulturą). Neologizm ten występował w pierwotnym tytule obrazu poprawionym przez Dyrekcję Muzeum na „Ukrzyżowanie” jako tytuł „łatwiejszy do zrozumienia” (*Time* z 24 stycznia 1955).

po krótko jak następuje: ekspansja kultury ludzkiej, zwłaszcza od czasów Rewolucji Przemysłowej, sprawiła, iż na różne sposoby, pośrednio i bezpośrednio, włączając dla pełni obrazu czynnik olbrzymiego wzrostu ludności, uległo lub ulega zagładzie naturalne środowisko życia: wolne przestrzenie, roślinność, zwierzęta, żywioł wodny i powietrze — a żaden z nich nie jest niewyczerpalny. Wywody konserwacjonistów zmierzają do udowodnienia, iż ze względów czysto technicznych i innych w bliższej lub dalszej przyszłości trzeba będzie podjąć zarówno w obrębie poszczególnych państw jak i w skali światowej kroki w kierunku zmniejszenia lub ustabilizowania żarłocznego zużycia bogactw naturalnych. Kultura ludzka ukazuje się w tym świetle nie jako organizm normalny i dobrotliwy ale jako zdeklarowany i co najmniej niebezpieczny nowotwór.

Przytaczamy poniżej niektóre spośród najbardziej niepokojących faktów i wynikające z nich wnioski. W pracach z zakresu ochrony przyrody spotykamy się z nimi na każdym kroku.

Przy utrzymaniu obecnego gwałtownie przyspieszającego się tempa zużycia pewnych bogactw naturalnych, na których nagromadzenie trzeba było, jak np. w wypadku ropy naftowej i gazów ziemnych, setek milionów lat, zasoby ich wystarczą do końca bieżącego stulecia lub na okres niewiele dłuższy. Na odcinku paliwa człowiek będzie potem uzależniony w wysokim stopniu od sztucznie wytwarzanej energii atomowej ze wszystkimi związanymi z nią konsekwencjami — o ile oczywiście nie zostaną w międzyczasie opracowane metody wyzyskania energii słonecznej.

Zapasy innych nie dających się odnawiać bogactw naturalnych, takich jak miedź, ołów, cynk lub cyna, ulegną także wyczerpaniu w ciągu kilku dziesięcioleci a liczne inne metale staną się jeszcze rzadsze i kosztowniejsze w eksploatacji i użytkowaniu. W niedalekiej przyszłości ulegnie również zaostreniu dający się już w znaki w Ameryce problem zaopatrzenia w wodę.

Te i podobne im braki, wyrosłe na podłożu raptownego rozedmania się nowoczesnych form życia kulturalnego ale ograniczone tylko do tych wpływów, byłyby już dostatecznie groźne. Skutki ich pomnażają się jednak wielokrotnie w wyniku „rakietowego” wzrostu ludności zarówno w obrębie poszczególnych krajów jak i w skali światowej. Jeśli wyprzemy się naszych członków przodków, okaże się, iż człowiek istnieje na przestrzeni od jednego do dwu milionów lat. Ilość mieszkańców kuli ziemskiej wzrosła w tempie stosunkowo powolnym do pół miliarda w okolicy r. 1650, — podwoiła się już w r. 1825, du-

blując ponownie około r. 1925 a obecnie, w niespełna czterdzieści lat, oceniana jest na trzy miliardy. Jeśli tendencja ta utrzyma się nadal, ilość mieszkańców globu zbliży się do sześciu miliardów przy końcu bieżącego stulecia. Tak więc od r. 1650 w okresie dającym się określić jako .0035 — .00175% okresu trwania ludzkości, zaludnienie wzrosło o 1200%, co oznacza nadwyżkę równą pięciu i pół miliardom. Tempo wzrostu spożycia i wyczerpywania się zasobów naturalnych jest jeszcze szybsze (dwukrotnie a może i więcej w stosunku do wzrostu zaludnienia). Jeśli przerosty te trwać będą nadal, łatwo przewidzieć, że człowiek może ogołocić kompletnie naszą planetę z jej cennego życiodajnego naskórka. Jest oczywiście całkiem prawdopodobne, iż przed dojściem do tego momentu odżywiać się zacznie hodowanymi sztucznie morskimi glonami, eksploatować górnictwo skały, wyzyskiwać wodę morską i słońce jako źródła surowców i energii. Mimo to, jeśli utrzymywać się będzie nadal obecne tempo wzrostu zaludnienia, dojdziemy do kresu możliwości bez względu na najbardziej nawet pomysłowe osiągnięcia nauk ścisłych i technologii. Na czas pewien, jak już sugerowano, nadwyżki ludności mogą być spiętrzane w trzy kondygnacje, przenoszone do skonstruowanych wymyślnie pomieszczeń na powierzchni lub pod dnem oceanów albo, co wydaje się całkiem nieprawdopodobne, wyekspediowane na inne planety. Żaden z tych sposobów nie nadąży jednak za fantastycznymi możliwościami wynikającymi z niekontrolowanego wzrostu zaludnienia świata. (2).

Zahamowanie dalszego wzrostu ludności świata i rabunkowej eksploatacji zasobów naturalnych przy pomocy dobrowolnych lub przymusowych sankcji jest przeto absolutną koniecznością. Stawiać możemy jednak pytanie, kiedy to ma nastąpić.

(2) Wielu ludzi nie uświadamia sobie, podobnego do rozkrzewiania się pnączy, działania postępu matematycznego. Aby to sprawdzić poprośmy kogoś z Bogu ducha winnych naszych przyjaciół, aby określił przypuszczalną cyfrę dalszych mieszkańców globu w stosunku do każdej żyjącej dziś jednostki, gdyby wzrost zaludnienia postępował w sposób ciągły od narodzenia Chrystusa do dnia dzisiejszego w skali uważanej powszechnie za wysoką, a ujawniającej się w ciągu ostatniego stulecia. Większość odpowie: dwu lub trzech. Prawidłowa odpowiedź brzmić będzie: *milion* (według obliczeń P.K. Whelpton'a przytoczonych przez Williama Vogt'a w „People!: Challenge to Survival”, 1960, s. 37). Inny przykład: gdyby to samo tempo przyrostu naturalnego występowało na całej przestrzeni historycznego okresu istnienia ludzkości, tj. podczas z grubsza licząc 5000 lat, około roku 1957 przypadałoby około 30 miliardów ludzi na każdy metr kwadratowy powierzchni kuli ziemskiej (2.7 miliardów na stopę kwadr.). (Dane zaczerpnięte z pracy pt. „Population and World Politics”, 1958, pod red. Philipa Hauser'a, s. 10. Cytujemy ją dalej jako PWP).



Nawet w gronie konserwacjonistów przytoczone wyżej dane interpretowane są w sposób bardzo różny. Niektórzy spośród nich są do tego stopnia zaabsorbowani takim czy innym aspektem zagadnienia, że *de facto* wyłączają wszystkie inne lub nie ogarniają całości problemu. Oceny techniczne zmierzające do wyznaczenia koniecznego albo pożądanego momentu, w którym nastąpić winno zahamowanie dalszych postępów wzrostu i stabilizacja znacznie odbiegają od siebie.

Z różnych wariantów tych stanowisk wyłaniać się zdają dwie główne odmiany postawy konserwacjonistycznej, które mimo pewnych zastrzeżeń dadzą się sprowadzić do 1) *roztropnej* i 2) *psychologicznej*. Określenia te stosować będziemy w dalszym ciągu rozważań.

Konserwacjonizm roztropny skupia uwagę na danych obiektywnych lub ekonomicznym aspekcie zagadnienia. Uznaje za rzeczywistą i poważną ewentualność to, co większość ludzi skłonna jest brać za nieproszoną, nieprawdopodobną i niepożądaną hipotezę spekulatywną, przewidującą iż po pewnym czasie stopa wzrostu zaludnienia i wyczerpywania zasobów może prześcignąć możliwości zdobywania zaopatrzenia w ilości dostatecznej do utrzymania znośnego lub przynajmniej zadawalającego poziomu materialnego czy fizycznego bytowania.

Próbowano na różne sposoby ocenić techniczne możliwości określenia pojemności kuli ziemskiej. Wiele zależy od przyszłego rozwoju technicznego i oceniania sytuacji z raczej ryzykownego stanowiska przyjmującego, że wyniki tego rozwoju będą mogły być wprowadzane w życie bez przeszkód natury politycznej czy katastrof. Biorąc pod uwagę obecny poziom konsumpcji, oceny te zamykają się w granicach trzech do trzydziestu miliardów a nawet wyższych. (3).

Trzeba jednak pamiętać, że licząc się ze spodziewanym przyrostem ludności spożycie ogólne może zwiększyć się pięcio- lub sześciokrotnie około r. 2000-go (op. cit., s. 56 i nast.). Osiągnęliśmy już poziom najniższej oceny technicznej (tj. trzy miliardy mieszkańców kuli ziemskiej) i widzimy że istnieją nadal pokaźne możliwości sprostania dalszemu przyrostowi ludności świata na czas pewien. Jeśli jednak utrzymają się tendencje do-

(3) „World Resources in Relation to Population”, opracowanie W.S. Woytinsky'ego w PWP, s. 57 i nast. Por. także doskonały ogólny przegląd Harrisona Brown'a w „The Challenge of Man's Future” (1954). Sugeruje on, iż bez większych poświęceń w zakresie przestrzeni i przyjętych obecnie form odżywiania cyfrę tę podwyższyć można do 50 miliardów.

tychczasowe granica górna (tj. 30 miliardów) może być osiągnięta przed końcem następnego stulecia.

Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, iż człowiek może egzystować nie tylko na obecnym ale nawet na niższym poziomie spożycia i w ten sposób odroczyć na kilka stuleci moment ostatecznego nasycenia demograficznego. Może on oczywiście wybrać ten sposób, powstrzymując się od sztucznego zahamowania wzrostu zaludnienia i tkwiącego w nim czynnika wyczerpywania się zasobów naturalnych, nie naruszając w sposób poważniejszy wysokości stopy konsumpcji *per capita*. W razie przyjęcia tej ewentualności, mówi Harrison Brown, granica górna może być osiągnięta dopiero po przekroczeniu 100-200 miliardów mieszkańców globu (*ibid.*)

Kłopotliwą stroną zagadnienia jest stale wzrastający stopień zanieczyszczenia ziemi, wody i powietrza będący skutkiem zarówno industrializacji jak i wzrostu ludności. Poza bezpośrednimi szkodami w dziedzinie gospodarczej problem ten wiąże się z dużymi kosztami na walkę z zanieczyszczeniami i ich ograniczeniem. (W ciągu najbliższych dziesięcioleci trzeba będzie wydać dosłownie miliardy dolarów na akcję ochrony czystości wód i powietrza). W zanieczyszczeniach tych, często nawet mimo stosowania środków zapobiegawczych, nie tyle skutecznych ile łagodzących ostrze problemu, kryje się w granicach niejasno dotąd sprecyzowanych, kto wie jednak czy nie szerszych od przyjmowanych obecnie, element zagrożenia zdrowia ludzkiego.

Jest jednak sprawą otwartą do jakiego stopnia ewentualne szkody natury ekonomicznej czy ludzkiej uważać należy za dopuszczalną przeciwwagę wysokich korzyści materialnych płynących z postępu kulturalnego. Dopatrzyć się można co najmniej milcząco uświadamianej tendencji uznawania szkód czy katastrof (w tym ponad stu osób zabijanych codziennie w Stanach Zjednoczonych w wyniku wypadków samochodowych) jako nieuniknionych strat w toczącej się obecnie „wojnie z nędzą”. Ujawniającą się ostatnio obojętność ogółu wobec stwierdzenia rakotwórczych własności tytoniu ma głębsze znaczenie. Zachodzi małe prawdopodobieństwo, by pod znakiem dominującej dziś postawy kulturalnej Amerykanie postawieni wobec wyboru między np. czystszyim powietrzem i mniejszą ilością samochodów albo coraz wyższym stopniem zanieczyszczenia i większą ilością samochodów wybrali pierwszą alternatywę (4). Tego typu „zwy-

(4) Jest rzeczą charakterystyczną, iż szuka się rozwiązań tych problemów przy pomocy coraz kosztowniejszych urządzeń technicznych. Urządzenia ograniczające szkodliwość wydechów samochodowych mogą istotnie przynieść pewną poprawę — ale tylko częściową i krótkotrwałą. Około

cięstw" kultury oczekiwać można w wielu analogicznych sprawach.

W toku omawiania danych statystycznych i poglądów zestawionych przez przedstawicieli *roztropnej* postawy zachowawczej nie zdołano w sposób przekonywujący udowodnić, iż stymy już lub staniemy w ciągu *bieżącego* stulecia wobec przełudnienia globu albo wyczerpania zasobów naturalnych, ani dla czego i w jaki sposób mamy już teraz zajmować się tą sprawą.

Przedstawiciel *konserwacjonizmu roztropnego* nie powie nam, że już przegraliśmy i że naukowo można udowodnić, iż z punktu widzenia fizycznego przetrwania albo dobrobytu (co najmniej w odniesieniu do całokształtu zagadnień kulturalnych) należy już obecnie podjąć kroki w kierunku ograniczenia spożycia zasobów naturalnych. (Niektóre wcześniejsze i bardziej pesymistyczne wypowiedzi tego typu okazały się w świetle faktów przesadzone). Powie on jednak, że jeśli utrzymają się nadal obecnie panujące tendencje, przegrana musi nastąpić wcześniej lub później i że w międzyczasie poważne ryzyko kryje się w założeniu, że nauki ścisłe i techniczne mogą i będą dostarczać bez pudła niezbędnych środków, od których zależy cała przyszłość. Już dziś zarysowują się możliwości katastrofalnych wyników pewnych naturalnych a zwłaszcza inspirowanych zawiścią ludzką tendencji wobec pogłębiającej się sztuczności środowiska.

Ostrzeżenia te podawane w formie ogłędnej wywierają znikomą skuteczną. Podstawowe wierzenia naszych czasów opierają się zmianom: sądzimy, że niczym nieograniczona ekspansja kulturalna jest zjawiskiem absolutnie niezbędnym, możliwym i pożądanym, z wyjątkiem tego, co spowodować by mogło fizyczne wyniszczenie ludzkości choć (jak dowodzi się od czasu do czasu) i takie ryzyko może być brane pod uwagę. Wyrażane jest także przekonanie, że z ekspansją tą nie są związane jakieś zasadnicze straty, a jeśli nawet tak jest, to — jak np. w wypadku zanieczyszczeń lub wypadków samochodowych możemy i powinniśmy przyzwyczaić się do nich, co znaczy, iż możemy je poniekąd akceptować.

Wyznawca *konserwacjonizmu roztropnego* ma już niewiele dalszych argumentów polemicznych w swym arsenale. Wy-

r. 1970 wzrost ilości samochodów i postępy industrializacji przywrócą do tychczasową „normalną” tj. zwykłą tendencję zanieczyszczenia powietrza. Komisarz Zdrowia w Filadelfii ponuro przepowiada że z biegiem czasu maski gazowe staną się czymś równie powszechnym jak obuwie. W Manchesterze listonosze zaczęli je już stosować tytułem próby (zob. Mitchell Gordon, „Sick Cities”, 1963, s. 67 i nast.).

czuwa się niekiedy, iż odczuwa ich brak i to z powodów szerszej natury wychodzących poza obręb jego postawy teoretycznej, których nie zechce lub nie będzie w stanie zdefiniować. Jeśli jednak nie opanuje swego niezadowolenia, zmuszony będzie nieuchronnie do wysunięcia w sposób pośredni lub bezpośredni zastrzeżeń pod adresem nienaukowego charakteru królestwa nieuchwytnych „wartości” psychologicznych.

Wkraczamy tu w gąszcz wielu pokrewnych szkół myślenia; jedna z nich, mieszcząca się w ramach postawy zachowawczej, rozgranicza jej aspekt *roztropny* od *psychologicznego*, ujmującego zagadnienia od strony subiektywnych, niematerialnych i pozbawionych wartości praktycznych, cech naturalnego środowiska człowieka. Wyznawcom tego poglądu wydaje się koszmarem coraz oczywistsza wizja świata opanowanego przez sztuczne wyczyny nowoczesnej kultury, z człowiekiem włącznie. Wierzą oni, że bezpośredni kontakt z tym wszystkim, co nie jest tworem człowieka czy kultury, a więc ze zwierzętami, roślinami, ziemią, morzem i otwartymi przestrzeniami, pobudza i podtrzymuje pewne doznania emocjonalne czy estetyczne, uważane za pożądane a nawet niezbędne dla człowieka. Z tego bodaj powodu należy chronić przed skutkami swoistej kulturalnej erozji znaczną część naturalnego środowiska geograficznego.

Konserwacjonizm psychologiczny wyraża się na różne sposoby i występuje w różnych stopniach nasilenia. Obcowanie z przyrodą obejmuje całą gamę kontaktów, od tego, co można by określić jako przypadkowe, niemal pogańskie, w czasie wycieczek czy wędrówek turystycznych, aż po niemal religijne uwielbienie ze strony pewnych typów myśliwych czy łowców, zwrócone pod adresem czy to pewnych typów krajobrazu czy przedmiotów związanych z ich szczególnym umiłowaniem (postawę tę ilustrują liczni bohaterowie utworów Hemingwaya). Często spotyka się także typ nieakademickiego badacza przyrody, „miłośnika natury” albo „obserwatora ptaków” (amatora-ornitologa) (— określenia te, podobnie jak „miłośnik Murzynów” mają w sobie pewien element pejoratywny, domieszkę poczucia niższości kulturalnej —). Istnieją wreszcie miliony odczuwające mniej egzaltowaną czy sprecyzowaną potrzebę obcowania z przyrodą. Niedawnej daty próby „uczłowiecznienia” miast i przetworzenia ich w mniej sztuczne środowiska mogą być także sklasyfikowane w ramach przejawów konserwacjonizmu psychologicznego.

Nieliczne tylko spośród rozproszonych po świecie jednostek i grup zdają sobie sprawę z tego, że przeróżne formy kultu przyrody mają szersze lub głębsze implikacje. Jeszcze

mniejsza garstka formułuje rozkwitłą w całej okazałości filozofię Przyrody, nowoczesny, zintelektualizowany odpowiednik starożytnych form czczenia zjawisk Natury, rozpowszechnionych ongiś w okresie poprzedzającym stłumienie ich przez monoteizm. Podobnie jak w wypadku *konserwacjonizmu roztropnego* owi nowocześnie czciciele neo-Baala nie posunęli się zbyt daleko.

Mówić można niewątpliwie o otwartym lub pośrednio ujawniającym się konflikcie pomiędzy postawą *konserwacjonizmu roztropnego* a *kulturą*. Konflikt ten zamyka się jednak zazwyczaj w ramach ogólnych sformułowań ideologicznych lub manifestacjach postępowości społeczno-ekonomicznej tak charakterystycznych dla naszej epoki. Rzecz ma się inaczej w wypadku *konserwacjonizmu psychologicznego*. Otwarcie lub w formie niedopowiedzianej kryje się w nim teza iż wszelkie istotne wartości a także wolność nie dadzą się ująć w kategoriach materialnego czy fizycznego bezpieczeństwa, dobrobytu czy zysku. Za jedno płaci się utratą drugiego. (Wyznawca *konserwacjonizmu roztropnego* może wyczuwać to również bez możliwości naukowego potwierdzenia czy usprawiedliwienia tego zjawiska; kryteria materialne czy obiektywne mają dla niego zazwyczaj decydujące znaczenie). Wyznawca postawy psychologicznej przyzna się do takiego odstępstwa ideologicznego *tylko* w odniesieniu do stosunku łączącego człowieka z jego naturalnym środowiskiem życiowym; może uznać lub negować dalsze wynikające stąd implikacje czy uogólnienia.

Konserwacjonizm psychologiczny wywierał dotychczas stosunkowo nikły wpływ. Założenia jego są bardzo ograniczone i stosunkowo błahe. Niejasne jest, jak na podstawie przesłanek tak nieuchwytnych jak jakość osobistego stosunku człowieka do naturalnego środowiska życia można wydedukować jakiś nowy czy żywotny wkład do ogólnego zrozumienia problemów kulturalnych, ich oceny czy kierunku. Można co najwyżej przyjąć, że konserwacjonizm kryje w sobie wartościowe aspekty mniejszej wagi i że np. winniśmy istotnie zwolnić tempo eksploatacji zasobów naturalnych, o ile pokrywa się to, a nie stoi w jaskrawej sprzeczności, z wymogami Postępu.

Większość przedstawicieli postawy zachowawczej obu kierunków wzdyga się przed posuwaniem dalej ich pretensji. Większość pojmuje ją jako pewną odmianę powszechnie przyjętej ideologii społecznej, którą akceptują lub czynnie wyznają. Jeśli zaś i o ile występować zaczną objawy poważniejszej herezji, ujmie się je bez wątpienia w sposób odpowiadający nakazom Eliaza: „Jeśli Jehowa jest Bogiem — idź za Nim; — jeśli Baal

— postępuj w jego ślady”. Gdy problem postawiony jest tak sztucznie, niewielu wyznawców może lub będzie obstawać przy nim dłużej niż w granicach dopuszczalnych, ograniczonych lub w sensie czysto nominalnym.

Ale tu właśnie tkwi słaby punkt, w którym, w warunkach codziennej rzeczywistości, wytyczne postawy konserwacjonistycznej ulegają stałemu nadgryzaniu w miarę wzrostu ambicji sił hiperkubistycznych (5).

Pomimo to uda się może wykazać, że nawet najbardziej bezkompromisowe i pozornie przesadne marzenia konserwacjonistów mogą być poparte dowodami i wchłonięte w obręb szerszej i o wiele bardziej rzeczowej doktryny.



Nie przesądzając wyników końcowych przyznać trzeba, że jeśli nie praktyka to przynajmniej teoretyczne poglądy konserwacjonistyczne stają się coraz popularniejsze, choć dotąd odmawia się im miejsca w głównym nurcie życia intelektualnego. Poza cytowanym wyżej mnóstwem prac popierających je pośrednio lub bezpośrednio, pojawił się ostatnio i to na arenie *politycznej* żarliwy ich szermierz w osobie amerykańskiego Sekretarza Stanu do Spraw Wewnętrznych, Stewart’a L. Udall’a.

Podporządkowując się formalnie raczej konwencjonalnym formom ideologii i dzieląc z „ludźmi Kennedy’ego” ich bardziej atrakcyjne cechy osobowości takie jak energia, poczucie rzeczywistości i rzeczowość działania, Udall przyjął ostatnio, samopas, bardziej przedsiębiorczą może nawet ryzykowną linię postawy konserwacjonistycznej. Od czasu do czasu interweniuje on w punktach niedotykanych ołowianą stopą oficjalnych czynników natury społeczno-ekonomicznej (w ramach zasięgu władzy administracyjnej i poza nią).

Przed półtora rokiem pewien bystry chłopaczek kalifornijski stwierdził, że miejsce stałych jego gonitw za jaszczurkami niszczone jest gwałtownie przez wielkie buldozery przygotowujące teren pod jakąś hiperkubistyczną rozbudowę. Napisał o tym wprost do Prezydenta Stanów Zjednoczonych, prosząc go o pomoc. Udall odpowiedział chłopcu, że i on i prez. Kennedy wzięli sprawę do serca i starają się zrobić coś w kierunku rozwiązania problemu na płaszczyźnie ogólniejszej: „Zdajemy sobie dobrze sprawę z twoich potrzeb i rozumiemy dlaczego chcesz

(5) Można by tu przytoczyć liczne przykłady coraz silniejszych nacisków w sprawach związanych z parkami publicznymi czy prawodawstwem związanym z zagadnieniem stref zabudowy, datującym się z okresu nie tak ostro zarysowanych konfliktów.

gonić za jaszczurkami, śledzić mrówki czy też po prostu leżeć na plecach w słońcu i obserwować zmienne kształty chmur... i to nie w gronie innych i pod opieką, ale wprost w czasie samotnej włóczęgi, starając się dociec, co wiąże cię z ziemią i niebem. Ty i tylko ty sam dojść możesz do zrozumienia tych związków i jest to sprawa bardzo ważna" (6).

Piszący te słowa w momencie czytania tej niezwyklej odpowiedzi był nastrojony zaledwie ciepławo w stosunku do „ludzi Kennedy'ego”. Po przeczytaniu uwierzył w realność i możliwości „mitu”.

Na tydzień przed zamordowaniem Prezydenta Udall wydał książkę pt. „The Quiet Crisis” („Cichy kryzys”) (7) opartą na b. skutecznym i dobrze wyważonym zestawie poglądów obu odmian konserwacjonizmu. Daje w niej przejrzysty obraz postępów dewastacji w zakresie eksploatacji zasobów naturalnych Ameryki. Przecistawiają się im częściowo, ale z dobrymi widokami na przyszłość, pojawiający się coraz liczniej amerykańscy teoretycy konserwacjonizmu. Ocena strat, będących wynikiem rozwoju kultury współczesnej, nie ogranicza się u autora książki do powierzchownej czy akademickiej oceny. Udall rozpoczyna swe wywody mottem z D.H. Lawrence'a i rozdziałem o mądrości ekologicznej dawnych kultur indiańskich. „Podczas długiego władania ziemią przez Indian — stwierdza z żalem — nie uległa ona zbeszczeszczeniu... nie bez ironii stwierdzamy, że dziś ruch w zakresie ochrony przyrody nawiązuje do poglądów dawnych Indian, którzy rozumieli, że nie stoimy poza Przyrodą, ale jesteśmy jej częścią...”

W stadium poprzedzającym urbanizację mówić można z dużą dozą prawdopodobieństwa o ekologicznym, psychologicznym i społecznym zrównoważeniu stosunku kultur pierwotnych do natury, nie zapominając jednak o pewnych ciemnych stronach występujących nieuchronnie w każdej kulturze, które i wówczas mogły się przejawiać (8).

Dla Indian ideologia najeźdźców, którzy zdawali się wy-

(6) *New York Times*, 30 list. 1962.

(7) Wydaną przez firmę Holt, Rinehart and Winston ze wstępem pióra zmarłego Prezydenta. (Kolorowe ilustracje. Cena 5 dolarów).

(8) Warto tu przypomnieć panegiryk Engelsa na cześć na pół-rolniczych społeczeństwach Indian w „Pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa”. Po społu z Marxem uważał on społeczność ludzką z okresu poprzedzającego urbanizację za prototyp przyszłego komunistycznego rajy „na wyższym szczeblu”. Ocena kultur pierwotnych zasługuje dotąd na uwagę, choć, niestety, podczas ostatnich 10.000 lat na wszystkich „wyższych szczeblach” włącznie z realizowanymi w wersji marksistowskiej warunki naturalne i stosunki wzajemne wolności i kultury uległy tylko dalszemu pogorszeniu. Wrócimy jeszcze dalej do tego tematu.

żyć w niczym niekępowanej eksploatacji i wyniszczeniu Przyrody, była tak obca jak „poczucie własności prywatnej, której plemię po plemieniu opierało się do ostatniego tchu. Wódz wojowników, Tecumseh, sformułował najlepiej filozoficzne stanowisko niemal wszystkich plemion indiańskich, replikując j.n. na żądania białych kupców: „Sprzedać ziemię?... Cemu nie powietrze, chmury, wielkie morze?” Indianie byli mimo to zmuszeni do sprzedaży ziemi albo doczekali się wygnania z pustymi rękami. Oczywiście tego konsekwencją było, iż między nimi a białym człowiekiem „wyrosła głęboka nienawiść a demagogowie domagali się „ostatecznego” załatwienia problemu indiańskiego. Na granicy amerykańskiej powiedzenie „Dobrym Indianinem jest tylko martwy Indianin” nabrało charakteru przysłowia. Szczątki kultur indiańskich dotrwały do dziś i doczekały się prób wyrównania szkód — pełne odtworzenie tych kultur jest już dziś oczywistym niepodobieństwem.

Naturalne środowisko amerykańskie uległo nadto zniekształceniu dzięki wpływom kulturalnym importowanym z Europy. „Cichy kryzys” Udall’a przytacza kilka najbardziej znamienitych przykładów. Tak np. bawół „najpospolitsza i najcenniejsza podstawa prymitywnej egzystencji”, który ongiś harcował w dziesiątkach milionów po wielkich równinach Zachodu, jest dziś bliski wyginięcia. Zdarzało się i to często, że zabijano bawoły nie na mięso czy nawet nie ze względu na wartościową skórę ale po prostu po to tylko, by wygłodzić Indian. Pierwotny wędrowny gołąb, widywany ongiś w stadach, których szerokość oceniano na milę a długość na 240 mil (to jest pełną szerokość stanu nowojorskiego) uległ zupełnemu wyniszczeniu w końcu XIX w. „Wiele innych gatunków właściwych terytorium Ameryki z trudem uszło zupełnej zagładzie w rzeźni Wielkich Łowów”. Olbrzymie połacie ziemi podzieliły los zwierząt. Do w. XIX środki techniczne niszczycieli były względnie ograniczone. Z czasem pojawiły się na widowni maszyny. „Rozpoczął się okres szalonego popytu na drzewo... optymiści oceniali zasoby leśne jako wystarczające na tysiąc lat, drwale zrównali z ziemią większość puszczy w ciągu stulecia”. Szturmowi na ropę i gazy ziemne towarzyszył ten sam element marnotrawstwa. Ale najcięższym zaniedbaniem naszego kierownictwa było przerażające wyniszczenie (erozja) wierzchnich warstw gleby”. Rabunkowa gospodarka rolna a także pasterska w okolicach nieurodzajnych, na których hodować zaczęto zwierzęta domowe, wyniszczyła stepy, niedawne królestwo buszujących beztrasko bawołów. W latach 1930-ych widma owych bawołów oglądać mogły symboliczną zemstę: ogromne połacie południowo-zachodniej

Ameryki obróciły się w piaski pustynne we władaniu wichrów.

Rzecz prosta wszystkie te straty i zniszczenia, których można było uniknąć, są tylko częścią i to nie najbardziej znamieną całości problemu. Zagadnienie kluczowe dotyczy rozmiarów koniecznych czy też „normalnych” spustoszeń, związanych nieuchronnie z postępami kultury. Udall zajmuje się tym problemem w zasadniczej części „The Quiet Crisis” w sposób względnie pobieżny i marginesowy, aczkolwiek w końcowej części książki zdobywa się na zasadniczy zwrot i staje z nim oko w oko.

Nim dojdzie do tego, kreśli dzieje amerykańskich usiłowań zmierzających do ochrony przyrody, przypominając życiorysy i charakteryzując poglądy najwybitniejszych działaczy, w tym spośród najwcześniejszych: Emersona, Parkmana i Thoreau. Osobowość tego ostatniego pociąga Udall’a w sposób oczywisty, choć stanowczo odrzuca anarchizm jako filozofię polityczną, nieskuteczną zarówno z konserwacjonistycznego jak i wszelkich innych punktów widzenia. Cele przyświecające usiłowaniom w dziedzinie ochrony przyrody mogą być, jak sądzi, osiągnięte tylko i wyłącznie w ramach umowy społecznej, przy współdziałaniu władzy państwowej.

W gronie późniejszych promotorów ochrony przyrody Udall wylicza Teodora i Franklina D. Rooseveltów (— może nieco zbyt skwapliwie, gdyż zainteresowania tymi sprawami u obu prezydentów miały charakter przypadkowy i podporządkowany konserwatywnym czy też liberalnym poglądom, które reprezentowali —). Tak czy inaczej, w momencie wybuchu II Wojny Światowej, „dążenia zwolenników akcji w zakresie ochrony przyrody były niejasno sprecyzowane i przejawiały się na drugim planie” — a w międzyczasie bładły coraz bardziej, nie mogąc sprostać rosnącej wadze zagadnienia. W niedawnych wywiadach prasowych Udall dawał wyraźnie do zrozumienia, iż sądzi, że sprawa nadal traci grunt. Wierzy jednak w nadejście „nowej fali” konserwacjonizmu wyrosłej na podłożu głębszego zrozumienia związków wiążących w wymowną całość różne jego aspekty, do czego, jak sądzi, zmierzano dotąd w sposób raczej ułamkowy.

Kryje się w tym więcej. Walka konserwacjonizmu z Hiperkubem musi pogłębiać się i nabierać charakteru bardziej nieprzejednanego, jeśli ten ostatni kierunek ma przetrwać czy nawet zdecydowanie przemoć inne. W końcowych rozważaniach książki „The Quiet Crisis” Udall rzuca się śmiało na głębokie wody. Robi więc np. aluzje, z zachowaniem należytych ostrożności ale dostatecznie dobitnie, pisząc, że ograniczenie przy-

rostu ludności jest sprawą „wysoce pożądaną a nawet nieuniknioną”. Dane statystyczne — podsuwa dalej czytelnikowi — mogą nie „ujawniać jeszcze pewnych znamiennych faktów dotyczących najistotniejszych zagadnień bytowania”; wypowiada się także przeciw gwałtownemu wzrostowi spożycia; ostrzega przed bezkrytycznym przyjmowaniem „ulepszeń technicznych”, które mogą mieć daleko idący wpływ na zużycie innych zasobów i na wartości będące wspólnym dobrem całej ludzkości... Należy badać je zawczasu... Weźmy jako przykłady zjawiska takie, jak zanieczyszczenia chemiczne, sprawę pozbywania się odpadków radioaktywnych czy huk najnowszych samolotów”. Te i im podobne wnikliwe uwagi Udall’a (w samej książce i poza nią) są tym bardziej uderzająco odważne, iż z jednej strony wykraczają poza granice obowiązującej obecnie powściągliwości w ujmowaniu zagadnień — z drugiej nie opierają się o jakąś wyraźnie sprecyzowaną teorię czy program kulturalny. Jako wstępne szlachetne odruchy, zwrócone w kierunku innej, dotąd wyraźnie niewyznaczonej, możliwości rozwiązań zagadnień kulturalnych, przypominają one rakiety wystrzelone w powietrze, w których spływającym w dół świetle Udall ukazuje się jako osobistość, wyprzedzająca, i to poważnie, czołowy zespół naszej „awangardy” i dająca wymowne znaki tzw. filozofom czepiającym się nadal coraz bardziej wydeptanego i jałowego gruntu hiperkubistycznego. „Jeśli zatroszczy się o to dostatecznie liczny odłam społeczeństwa ...pokolenie nasze zapisze się dobrze w kronikach ziemi”. Jeśli się tak jednak nie stanie, nie będzie to z pewnością winą Udall’a.

Odpowiedzialność przypadnie w udziale tzw. filozofom, nadającym ton myśli społecznej. I to nie w sensie uproszczonym, tj. nie dlatego, że popełnili jakiś zasadniczy błąd, nie akceptując poglądów konserwacjonistów. Bo znów, jeśli wyjdziemy poza ograniczony sens słowa, istota rzeczy jest trudna do pogodzenia z podstawowym dla współczesnego świata przeświadczeniem, że ekspansja kulturalna może i musi rozszerzać się w sposób ciągły. W razie wywierania nacisku w kierunku wyraźnego zdeklarowania stanowiska konserwacjonizm nie miałby szans wygrania, choćby dlatego, że nie jest jeszcze dostatecznie przygotowany do służby w roli ogólnej ideologii społecznej. Nie podołałby wielu trudnościom natury ogólniejszej czy głębiej teoretycznym albo społecznym, których istnienia, prawdę mówiąc, wielu konserwacjonistów nawet sobie nie uświadamia.

Rzecz należy ująć tak, iż konserwacjonizm należy do spraw, których ideologia hiperkubistyczna nie może wchłonąć i któ-

re wobec tego należą do terenów opozycyjnych w obrębie myślenia tradycyjnego. Dlatego właśnie nie tylko osoby interesujące się konserwacjonizmem w ściślejszym znaczeniu tego terminu, ale także wszyscy próbujący rozprawić się z megalomanią kulturalną w innych kierunkach, a więc np. politycznym, filozoficznym, artystycznym, psychologicznym czy nawet teologicznym mogą także wziąć do serca wyłanianie się „nowej fałi” konserwacjonizmu. Bo i ona może stać się sprzymierzeńcem opozycji.

Niezależnie od tej możliwości przyszłe ich losy mogą ujawnić pewną współzależność. Myśl konserwacjonistyczna nie będzie mogła prawdopodobnie zamknąć swych tez we własnym kręgu pojęć — a prawdą równie oczywistą może okazać się, iż zasadniczy zwrot w ogólnych kierunkach myślenia jest nie do pomyślenia dopóki nie znajdzie się w ich obrębie i nie ulegnie przyswojeniu idea konserwacjonizmu. Parafrazując słynne powiedzenie Marxa ująć to można tak, że tylko konserwacjonizm może dostarczyć „konkretnego oręża”, skutecznych argumentów i uzasadnień opozycyjnemu nurtowi głównych kierunków filozoficznych (z psychoanalizą włącznie). Z drugiej strony przewidzieć można, że pewien odłam tępo głowych konserwacjonistów roztropnych, pewne gatunki ptaków i ich obserwatorów mogą ulec zagładzie, jeśli nie zdobędą się na sformułowanie głębiej pojętej koncepcji filozoficznej.

W tym punkcie rozumowań powiedzieć należy, iż nie jest jeszcze całkiem jasne i zrozumiałe w jakim stopniu przyszłość szeroko pojętej Przyrody splątana jest z tak pojętą myślą opozycyjną. Na pewien bowiem sposób obie te postawy ożywiają się nawzajem i wysuwają wątpliwości a nawet ostre zarzuty w stosunku do podstawowych założeń hiperkubizmu polegających na identyfikacji dobra i „wolności” z dalszym lub idącym w nieskończoność postępem.

Trudnością, z jaką spotykają się oponenti tej postawy, była jednak zawsze niemożność takiego sformułowania sądów, by w sposób jasny i przekonujący wiodły do stanowiska nie nasuującego zastrzeżeń natury teoretycznej i praktycznej. Zniechęcona niepowodzeniami na tym odcinku poważna grupa intelektualistów Zachodu reprezentujących ongiś stanowisko opozycyjne w praktyce, jeśli nie w teorii, zaprzestała dalszych dochodzeń w tej dziedzinie. Nie bez pewnego przymusu zajmował się tą sprawą neo-Marksizm i nowe kierunki myśli lewicowej. Formalne uznanie czy szacunek dla tej kiedyś bardzo fundamentalnej krytycznej oceny kultury współczesnej może się odwlekać, ale i tak ustalono po cichu, że nie miałoby to skutecz-

nego czy praktycznego znaczenia. Wszystkie niemal teoretyczne i praktyczne wysiłki zmierzające do opanowania obecnej sytuacji idą w kierunku rozwiązania drugorzędnych problemów. I te także nie nastroczają często możliwości znalezienia rozwiązań jako zależne w swej istocie od podstawowych tendencji, których wagę uświadomić sobie można tylko przy pomocy wszechstronnej analizy krytycznej.

Przypuśćmy, że odrodzenie sięgającej głębiej tradycji opozycyjnej może wyłonić się przy okazji nowej interpretacji tezy głoszącej, że psychologia człowieka leży u podłoża wszystkich przejawów życia kulturalnego. Takie postawienie sprawy prowadzi nieuchronnie do konieczności jeszcze jednej rewizji dziełnictwa Freuda. Aczkolwiek znaczna część tego wielkiego systemu, ściślej mówiąc główny jego zrąb, musi w ostatecznym wyniku tej rewizji ulec odłożeniu na bok z zachowaniem należytego szacunku, nie pomniejsza to jednak bezcennych wartości, kryjących się w kluczowych założeniach teorii Freuda a mianowicie, we wnikliwej hipotezie głoszącej, iż kultura ludzka opiera się na podłożu stłumienia naturalnych uzdolnień czy odruchów zwierzęcych. We wczesnych wypowiedziach Freudowi rysował się jasno niemożliwy do uniknięcia i prawdopodobnie odwieczny konflikt pomiędzy siłami Przyrody a ludzkim *ego* (w znaczeniu nosiciela kultury). Aczkolwiek Freud nie uznawał wpływu czynnika teologicznego na psychologię ludzką albo interpretował go błędnie jako związany z kompleksem Edypa (i dający się w tym znaczeniu wytłumaczyć w ramach rozumowania racjonalno-biologicznego), — także aczkolwiek centrum walki toczonej przez przyrodę z kulturą zostało przeniesione przez Freuda w obręb sfery stosunków rodzinnych (które w istocie w sprawach kultury wywierają raczej wpływ wtórny niż pierwszoplanowy); — i choć sens represji czy „instynktów” był przez niego pojmowany zbyt wyłącznie lub głównie w kontekście biologicznym czy seksualnym, to jednak owo wczesne ujęcie sprawy przez Freuda jest nadal jego trwałym i wartościowym osiągnięciem. Domaga się ono jednak nowej interpretacji.

Później, w okresie I Wojny Światowej i latach powojennych Freud zaczął formułować odmiennie swój pogląd na istotę konfliktu przyrody i kultury, doszukując się jego źródeł w łonie samej Natury, w zmaganiu się instynktu „życia” z instynktem „śmierci” — z kulturą stojącą po stronie życia. Osłabieniu uległa przy tym wcześniejsza koncepcja, znacznie głębsza i nastawiona bardziej krytycznie w stosunku do przejawów życia społecznego. Razem z tą zmianą stanowiska zwężyły się

możliwości pełnego ogarnięcia wymowy tego wszystkiego, co w sposób oczywisty wskazywało na stopniowe pogarszanie się psychologicznej i kulturalnej sytuacji człowieka. Freud zdawał sobie z tego sprawę i uznawał za coś nie ulegającego wątpliwości — ale interpretował to w kategoriach hipotetycznego błędnego koła dynamicznej „winy” oraz/albo nieubłagane bardziej potężnego instynktu „śmierci”.

Nie możemy wdawać się tutaj w szczegółową ocenę poglądów Freuda (9). Wśród wielu interpretacji po-freudowskich jedna wydaje się możliwa do przyjęcia: że istota zahamowań u człowieka leży w obrębie nie — jak chciał tego Freud — doznań biologicznych, ale raczej przyrodzonych cech psychicznych. Niektóre spośród nich (— nie możemy ich tu wyliczać —) musiały stopniowo być poświęcone lub kolejno ulegały represji i to właśnie stoi u genezy łańcucha przemian kulturalnych różnego typu i na różnych poziomach świadomości i rozwoju kultury (które dla ułatwienia można podzielić na okresy, biorąc jako punkt wyjścia główną i dominującą do dziś w świecie kulturę zachodnią. Będą nimi: animalizm, pogaństwo, judaizm, chrześcijaństwo, racjonalizm i ultraracjonalizm).

Na nich właśnie oprzeć się może ogólna psychologia kultury, którą Freud stworzył także w ramach swych własnych teorii. Ulegnie ona ważnej zmianie przez wprowadzenie poprawki uznającej istnienie odrębnych postaw psychologicznych dla poszczególnych typów czy poziomów w oparciu o odrębności czy też występowanie zjawiska represji (w sensie czysto psychologicznym).

„Podstawowe „Żelazne Prawo” ma charakter nie ekonomiczny (10) lecz psychologiczny i, jak stwierdził to na pe-

(9) Sprawa ta będzie tematem przygotowywanej obecnie książki.

(10) Zgodnie z tym co głosił Ricardo iż płace robotnicze nigdy nie mogą wznosić się ponad niezbędne minimum egzystencji i rozmnażania. Analogiczne wywody Malthusa szły w kierunku wykazania, iż wzrost zaludnienia będzie nadążał za wzrostem produkcji. Warunki życia ekonomicznego — dowodził Malthus — trwać będą przeto stale na poziomie najskromniejszego minimum egzystencji. Nawiasem mówiąc przewidywania te okazały się błędne w dosłownym ich znaczeniu. W związku z tym warto wspomnieć o innym „Żelaznym Prawie” a mianowicie „prawie stałego wzrostu ekonomicznej entropii”. Zasoby surowców nadających się do użytkowania w obrębie pewnego zamkniętego środowiska, czy będzie nim jakiś kraj czy świat, są pewną całością o ograniczonych rozmiarach i zmniejszają się z biegiem czasu i w stosunku proporcjonalnym do aktualnego stopnia zużycia (Joseph J. Spengler, „Population as a Factor in Economic Development”, PWP, s. 169 i nast.). W przeciwieństwie do „Żelaznego Prawa” psychologicznego jest to sprawą o doraźnym znaczeniu. Poglądy Marxa na „Żelazne Prawo” Ricarda omówione będą niżej.

wien sposób także i Freud, między Przyrodą i kulturą zachodzi tkwiący w ich istocie stosunek odwrotności: „Dla utrzymania przy życiu jednej z nich, druga musi ulec zagładzie” — a stąd wniosek iż przyroda musi ulegać stopniowemu wyniszczaniu w miarę postępów kultury.

Poglądy te sformułowane powyżej w skrócie i bez bliższego omówienia będą z kolei punktem wyjścia dalszych wywodów.

(Dokończenie nastąpi)

Jack JONES

Przekład Marii DANILEWICZOWEJ

Copyright powyższej pracy, wchodzącej w skład książki, która ukaże się w przyszłym roku nakładem Horizon Press w New York, należy do autora. W wypadku cytowania wyjątków z tej pracy należy to uprzednio uzgodnić z Horizon Press. (Redakcja „Kultury”).

NOTA BIOGRAFICZNA

Jack JONES, urodzony w r. 1923 w Dallas, Texas. Ukończył Swarthmore College, New York University, The New School for Social Research oraz Vassar Summer Institute. Pracował jako „Library researcher”, lektor Agencji Literackiej oraz 20th Century Fox Film Corporation, a także, przez pięć lat, jako robotnik fabryczny. Współpracuje z wieloma pismami amerykańskimi i kanadyjskimi, m. in. z *Commentary*, *The Nation*, *The New Republic*, *Politics*, *Explorations*, *Modern Age* i *Liberation*. Jego książka pt.: *To the End of Thought* ukaże się w przyszłym roku w New Yorku, w wydawnictwie Horizon Press, a jednocześnie we Włoszech. Jack Jones opracowuje artykuł o Otto Rank'u dla będącego w przygotowaniu nowego wydania „Encyclopedia of the Social Sciences”.

O cyganach i katastrofistach (dok.)

„Henio, Wacek, Rzeczyca...”

„Ciężkie myśli człowieka — pisał Czechowicz do Piętaka w lutym 1936-go — który chce być zdobywcą, a za teren działania ma bagno, mieszają się z błahymi rozmówkami, w których rolę partnerów grają Henio, Wacek, Rzeczyca, pan Włodzimierz i Samuel...” (1). Henio — to Domiński, Wacek — Mrozowski, pan Włodzimierz — chyba jeden z braci Stępniewskich, Samuel — to malarz Miklaszewski, bliski Czechowiczowi jeszcze z Lublina. Uderza lekceważący ton, w jakim Czechowicz pisze o swoim otoczeniu. To nie poza: istotnie czuł się niezmiernie od nich wszystkich wyższy i w chwilach szczerości traktował z góry. Jakąż rolę odegrali ci partnerzy-statysty w owym — przyjmuję umowne określenie — „kręgu czechowiczowskim”?

Zacznę od Domińskiego, choćby dlatego, że Czechowicz lubił go najbardziej i pozwalał nawet na „obrazę majestatu”, jako „kochanemu kłapaczowi”. Domiński był kostyczny, przekorny, na pozór oschły, w głębi, gdzieś pod siódmą skórą, mocno sentymentalny, chociaż krył się z tym starannie, tak że niejednego wprowadzał w błąd. Miał manię obalania wszystkich autorytetów i nieraz potrafił być wręcz nieznośny. Zaczepny, często prowokował scysje i awantury, przeważnie z żalonym skutkiem, bo chociaż bardzo odważny, był słabeuszem i nie umiał się bić. Ode mnie oberwał kilkakrotnie, ale też nie raz

(1) Cytuję za Wiesławem Szymańskim, „Ballady przed burzą”, str. 173.

i nie dwa bywałem przez niego wrabiany w grubsze historie i musiałem nadstawiać karku z najgłupszych powodów, byle ratować „kłapacza” z ciężkich opałów.

Gdy miałem już dość jego psich figli, doszło między nami do zerwania (w lecie 1938). Wiedziałem, że mocno to przeboleć, ale wygórowana ambicja długo nie pozwalała mi uczynić gestu pojednania, tym bardziej, że przy różnych okazjach przejeżdżałem się po nim w druku bez litości. Byłem wtedy w wojnie podjazdowej z całą „czechowiczowską” grupą, mimo, że przy przypadkowych spotkaniach zachowywaliśmy pozory poprawności. Terenem moich wypadów był dwutygodnik „Myśl Polska”, gdzie zadomowiłem się na dobre, oraz kolumna literacka „Kurier Porannego”, redagowana — oficjalnie przez Jerzego Hulewicza, faktycznie przez Jerzego Zagórskiego.

Strona atakowana wpadła w zakłopotanie. Przypomnieć trzeba, że z młodych, debiutujących na progu lat trzydziestych, Czechowicz, po odejściu Czuchnowskiego ku problematyce społeczno-politycznej, największe nadzieje wiązał właśnie z Zagórskim. Sam siebie mianował „Wielkim Xięciem Litewskim” (tak — przez wielkie X), w ciszy serca dopowiadając „król polski”, zaś Zagórskiego nazywał „infantem”, ergo następcą na tronie poetyckim. Z trzech debiutów zagarystowskich na pierwszym miejscu stawiał „Ostrze mostu”. Spierałem się z nim, wysuwając „O czasie zastygłym” Miłosza. Ale Czechowicz trwał przy swoim: pierwszy — Zagórski, drugi — Miłosz, a gdzieś w oddali Bujnicki. Rymkiewicz jeszcze się wtedy nie objawił, Putrament w ogóle się nie liczył.

No, więc co? Łobodowski ośmiela się występować przeciw „Wielkiemu Xięciu” i jego dworowi, a ukochany „infant” puszcza to do druku, zaślaniając się Hulewiczem? Zbrodnia przeciw majestatowi, której na domiar złego nie można było ukarać, bo jak i gdzie?! „Pióro”, pomyślane jako miesięcznik, miało, na skutek wydawniczego kunktaktorstwa Mariana Sztajnsberga, wielkie szanse zamienienia się na rocznik: ukazał się tylko pierwszy numer, drugi, już wydrukowany, zginął w pożarach wrześniowej Warszawy.

Wykluwały się wówczas i nawiązywały różne inicjatywy, rodziły interesujące indywidualności twórcze. Myślę z głębokim żalem o takim Józefie Stachowskim, który wojnę przeżył, ale umarł wkrótce po jej zakończeniu; katastrofa przyszła w chwili najtrudniejszej dla każdego poety, gdy doskonały debiut zostaje poddany próbie confirmacji i ustalenia dalszej drogi rozwojowej. Trzeba też wymienić Mariana Niżyńskiego, którego

wszechstronny (2), poetycko rewelacyjny talent zapowiadał wielkie rzeczy. Podobno zginął w absurdalny sposób, przejechany przez niemiecką ciężarówkę. Inna rzecz, że w warunkach „budującego się socjalizmu” Niżyński, skrajny przykład neurotycznej mimozy, nie miałby nic do zrobienia. Głucho o nim we wspomnieniach i omówieniach, a przecież, obok Krzysztofa Baczynskiego, największa to strata, jaką poezja polska poniosła w latach wojennych. Gdyby przeżył, a ewentualnie udało mu się wydostać na Zachód i tam jako tako urządzić, mielibyśmy dziś na emigracji jeszcze jednego poetę dużej miary.

Na Domińskim kończy się lista lokatorów „wspólnego pokoju” w pierwszym wydaniu, jeśli nie liczyć Wacława Mrozowskiego. Ten zjawiał się przy końcu lata 1934-go, oczywiście bez grosza przy duszy i z bardzo mglistym pojęciem co do dalszej przyszłości. Po ukończeniu seminarium mógł bez trudu uzyskać posadę nauczyciela, ale praca gdzieś na zapadłej wsi zupełnie mu nie odpowiadała. Zajął się nim Czechowicz, starając się namówić na pisanie do wydawnictw ZNP. Na początek trzeba było zdobyć dla przybysza nieco gotówki. Wynikła z tego dość zabawna historia.

Czechowicz lubił mistyfikacje, zresztą przeważnie nieszkodliwe. Wiesław Szymański, cytując poetów, którzy drukowali w kolumnie poetyckiej „Zetu”, wymienia Henryka Zasławskiego. Otóż Zasławski w ogóle nie istniał. Był to jeden z licznych pseudonimów Czechowicza. Ilekroć napisał wiersz, we własnym przekonaniu niezbyt udany, rzecz szła do druku pod nazwiskiem Zasławskiego. Ale tym razem zdarzyła się wyjątkowa okazja ukrycia się nie za „martwą duszą”, lecz za żywym pseudonimem.

Jako redaktor związkowego „Miesięcznika Literatury i Sztuki”, Czechowicz nie chciał drukować zbyt wiele, by mu nie zarzucono, że nadużywa swego stanowiska. Mając gotowy artykuł, zaproponował Mrozowskiemu jego podpisanie. Tekst Czechowicza, nazwisko Mrozowskiego, honorarium również dla niego. Przybysz z Chełmna zgodził się z radością i z miejsca zainkasował kilkadziesiąt złotych. Nie pamiętam dokładnie treści tego artykułu, w każdym razie chodziło o jakieś rozważania muzykologiczne, gęsto przetkane wycieczkami w dziedzinę filozofii. Wśród niewtajemniczonych w mistyfikację „debiut” ten dał Mrozowskiemu kilkudniowy koteryjny rozgłos.

Zwłaszcza zainteresował się rzekomym autorem Bolesław Mieliński, często kontaktujący się z Czechowiczem i jego otocze-

(2) Był również wcale tęgim grafikiem i nienajgorszym kompozytorem.

niem. Filozof i meloman, nie mógł nie zwrócić uwagi na młodego seminarzystę, który od razu pierwszym wystąpieniem wykazał duże odczytanie i znajomość zarówno muzyki jak filozofii. Doszło więc do spotkania i rozmowy, w obecności Czechowicza i jeszcze kilku osób. Byłem i ja. Nie trudno domyśleć się, jakie męki przechodził Mrozowski. Już po kilku minutach wyszło na jaw, że nie ma pojęcia ani o poruszonej problematyce, ani o kompozytorach i filozofach cytowanych w artykule. Delikwent bladł i czerwieniał się Miciński patrzył po nas z rosnącym zdumieniem, zaś Czechowicz pykał z fajeczki i sypał do mnie, jako do wprowadzonego w sekret, perskie oko, dusząc się od powstrzymywanego śmiechu. Wreszcie musiał przyznać się do mistyfikacji, po czym wszyscy zgodnie uznali, że wymyślona przeze mnie nazwa „poeta z Cycowa” pasuje do Mrozowskiego jak ulał.

Była wtedy moda na pisanie wierszy o matce. Zawinił w równej mierze wpływ Jesienina („Żyjesz jeszcze, moja starowinko?”), jak i Czechowicz, autor wielu pięknych liryk na ten temat. Oczywiście, Mrozowski nie mógł pozostać w tyle i wydrukował wiersz, w którym melancholijnie deklamował, że matka gdzieś daleko martwi się i płacze, a syn w nieprzyjemnej stolicy spędza noce nad Kantem i Hebblem. Dałem w „Dźwigarach” zgryźliwą notatkę, że czas rzucić k a n t y i zająć się jakąś uczciwą pracą, choćby przy h e b l u. Być może, obsmarowując mnie w swojej „Cyganerii”, Mrozowski chciał wziąć spóźnioną zemstę za tamto. A że zemsta poszła idealnie po linii „zamówienia społecznego”, tym lepiej.

Mrozowski niemal wszystko zawdzięczał Czechowiczowi. Dzięki jego protekcji otrzymał stałą, całkiem dobrze płatną posadę w Centrali Wydawnictw Związku Nauczycieli. Stracił ją, gdy po opisanych już awanturach z „Płomyczkiem”, Machnowski musiał ustąpić. A że Czechowicz odszedł jeszcze wcześniej, zabrakło dwóch głównych protektorów. W gruncie rzeczy posada Mrozowskiego wyglądała raczej na przedwczesną synekurkę, bo zajęcia jego były dość fikcyjne. Czechowicz lubił trzymać przy sobie kogoś zaufanego do wykonywania różnych, mniej czy bardziej delikatnych funkcji. Domiński na przykład, którego z Czechowiczem łączyło bez porównania więcej, nie nadawał się do tego: miał za dużo godności osobistej. Mrozowski był elastyczniejszy; podobnie jak w czasach „wspólnego pokoju” posyłało się go po kielbasę czy piwo, Czechowicz w razie potrzeby dawał mu liściki do któregoś ze „stefanków”. Rola takiego *postillon d'amour* nie psuła „poecie z Cycowa” radosnego światopoczucia.

Niewiele później po Mrozowskim objawił się Artur Rze-

czyca. Kiedy go poznałem, byłem pod lekkim gazem i zacząłem wypytwać, czy pochodzi z Białorusi (skojarzyło mi się z miasteczkiem Rzeczyca w Homelszczyźnie). Aż Domiński krzyknął: „Nie męcz Buksbauma! Abramek pochodzi ze świętej Galilei. Jaka tam Białoruś!” W wielu wspomnieniach „zaczarowany Arturek” nabrał eterycznych cech jegomościa nie z tego świata. „Myślę, że zbrodniarz hitlerowski, który go zabił, zabił dziecko”. „Miły, delikatnie i cicho mówiący jakąś ultrastaranną, literaturoznawczą mową...” „Z okragłą, rumianą buzią, układny, w granatowym ubranku...” „Mały, chudziutki Żyd w okularach... Lubiliśmy go bardzo, mimo że był często uciążliwy...”

Oto cztery świadectwa współczesnych. Sporo w tym prawdy, ale powierzchownej. „Dziecko” — może, ale chyba krewne psotnego Dyzia. Żył przez te pięć warszawskich lat, aż do wojny, jak ten ptak niebieski, nie orząc, nie siejąc. Bo jednak, zarabiając z rzadka jakieś iluzoryczne sumy, potrafił obijać się po Warszawie przez tyle czasu i był jak te automatyczne zabawki, zachwalane przez ulicznych sprzedawców: „Nie je, nie pije, a chodzi i żyje!” Nigdy nie mogłem zorientować się, czy siedzi w nim fenomenalny megaloman, czy wyrachowany kanciarz. Może jedno i drugie, w dziwacznej, nie kontrolowanej przez samego właściciela proporcji. Zestawiał siebie z Joyce’em, przekładał, zresztą nieźle, Ungarettiego, pisał nijakie, pozbawione indywidualności wiersze, które sam określał jako genialne.

Czasem to i owo mu się udawało. Niewątpliwie był zakochany w poezji. Może w innych okolicznościach byłby z niego niezły krytyk. W mojej pamięci pozostał jako bezbronny wróbel, trzepocący skrzydłami na pograniczu nędzy i megalomanii. A wiersze? Więc oto taki utwór: „Światło śpiewa: — Przyjdź Królestwo Twoje!” Koniec. Ktoś usiłował go przekonywać, że owszem, zdanie ładne, mogłoby stać się punktem wyjścia do poematu, albo zakończeniem, ale Arturek z miłym uśmiechem wyższości zapewniał, że w tych pięciu słowach zawarta jest cała metafizyka poetycka. Gorzej było gdy pisał: „Wyprowadź swe serce na spacer”, albo wypełniał butelkę „pianiem koguta”. Niepoprawny Domiński obiecywał z poważną miną, że kupi mu na imieniny obrożę i kaganiec („żeby, jak wyprowadzisz serce na spacer, hycel nie złapał”).

Aż za układny i słodko-grzeczny w stosunku do pisarzy ustabilizowanych i wpływowych, Rzeczyca umiał zachować się opryskliwie i niechętnie wobec początkujących, takich jak on sam, traktując ich z pogardliwą wyższością. Nie znał umiaru przy — już nie wyprasaniu — wymuszaniu pożyczek, jeśli znalazł się w sytuacji wyjątkowo ciężkiej. Normalnie działał we-

dług dobrze opracowanego rozdzielnika; zasada polegała na tym, żeby nie zwracać się do tych samych osób za często: tego można zaatakować raz na dwa tygodnie, tamtego — raz na miesiąc. Jednych oceniał na złoty-dwa, innych na piątkę, albo nawet na dychę. Wyżej aspiracje Rzeczycy sięgały bardzo rzadko i trzeba przyznać, że węż na możliwości pożyczkowe miał mocno wyczulony. Ale niejednokrotnie najlepiej opracowane plany i rachuby brały w łeb.

Ktoregoś wieczoru Rzeczyca zjawia się u Jasińskich. Źle wycelował, bo było już po kolacji. Prosi o kilka złotych. Jasiński mówi, że jest bez forsy, weźmie zaliczkę dopiero jutro. Arturek zwraca się do Wandy (3). „Niestety, mam tylko dwa złote...” „Dwa złote — odpowiada słodko Arturek — w zupełności mi wystarczą”. „Ależ ja nie mam więcej — to na jutrzejsze śniadanie i na tramwaj dla nas obojga!” „Tak — stwierdza rzeczowo Rzeczyca — ale ja nie jadłem obiadu i nie mogę obejść się bez kolacji... Do pracy macie niedaleko, możecie pójść na piechotę”. Piękna Wanda uniosła się gniewem, wyjęła dwuzłotówkę z portmonetki i cisnęła nią w natręta. Arturek podniósł monetę z niezmaconym spokojem, podziękował, cały w ukłonach i uśmiechach, po czym przezornie ulotnił się, nie czekając na dalsze komentarze.

Nie wydał żadnego zbioru, pozostało po nim kilkanaście wierszy, rozrzuconych po czasopismach. Źle pokierowana inteligencja, estetyczny szczebiot, wieczne koczowanie na marginesach życia, dumnie podkreślana deklasacja ze świadomego wyboru, snobistyczne zgrywanie się na homoseksualizm, chociaż nie miał w tym kierunku żadnych predylekcji. „Dostawcą wesołości” i „niepoważnym człowiekiem” nazwał go Marian Jachimowicz w swoich wspomnieniach literackich. Istotnie, Rzeczycę trudno było brać na poważnie. Innym pomagano w imię nadziei w ich przyszłość, Arturkowi chyba tylko do dość pogardliwej litości.

Większość z młodych, którzy mieli jakikolwiek związek ze „wspólnym pokojem”, albo „kręgiem czechowiczowskim”, zginęła z rąk hitlerowców. Niezawsze można było stwierdzić w jakich okolicznościach. O Domińskim na przykład jedni twierdzą, że dostał kulę przy przechodzeniu granicy na Węgry, inni,

(3) Wanda Karczeńska drukowała ówczesnie słabe wiersze o tematyce przeważnie marynistycznej. W powojennych latach dojrzała jako autorka dobrej prozy. Zbigniew Jasiński również wykazywał głównie zainteresowanie marynistyczne. Odwiedził nas parę razy na Dobrej, potem spotkaliśmy się dorywczo w Lublinie. Po przejściu wcale, nawet jak na Polaka, urozmaiconej epopeji wojennej, przeniósł się na stałe do Australii. Jeśli się nie mylę, początki działalności literackiej Jasińskiego związane były z Poznaniem i bodaj z grupą poetycką „Prom”.

że rozstrzelano go w Palmirach. Rzeczyca został zamordowany w Drohobyczu, Ludwik Fryde gdzieś na kresowej wsi, gdzie próbował ukrywać się. Na tę listę trzeba wciągnąć również Władysława Podstawkę, który zginął w Oświęcimiu, podobno na szubienicy (rok 1942).

Debiutował tomem wierszy, „Stopy w niewoli”, dopiero w 1936. Drukował jednak bardzo dużo w czasopiśmie. Gdy w roku 1932 powstał w Lublinie dziennik „Nowa Ziemia Lubelska” (4), Podstawka ogłaszał na jego łamach po trzy, cztery wiersze tygodniowo. Pisał wtedy tradycyjnie, za dużo i za łatwo. Z biegiem czasu jednak jego obrazowanie stawało się śmielsze i bardziej oryginalne, pogłębiał się ostry pesymizm i przecucie nadchodzącej katastrofy. Wacław Gralewski, niegdyś poeta i krytyk „Reflektora”, schlaścił Podstawkę bezlitośnie za zbytne poddawanie się „wpływowi Łobodowskiego”. Były niewątpliwe, zwłaszcza w pierwszych latach, ale nie podejmowalbym się określić, gdzie kończyły się te wpływy, a gdzie zaczynała się liryczna koincydencja.

Dopóki mieszkał w Lublinie, sytuację miał dość ustabilizowaną. Po przeniesieniu się do Warszawy chwycił się różnych zajęć, pracował nawet przez jakiś czas w knajpie przy ulicy Koźiej, stał się stuprocentowym „cyganem” właśnie wtedy, gdy inni zaczynali się statkować. Był to duży, żywiołowy talent, poddany rabunkowej gospodarce. Poszedł do Oświęcimia, nie mając jeszcze trzydziestu lat. Trudno powiedzieć, czy rozwinąłby się i jak, gdyby przeżył obóz koncentracyjny. W przeciwieństwie do wielu innych „cyganów” miał zdrowy chłopski sens i ani odrobiny hysterii, snobizmu, przerafinowania.

Wytknąłem, pisząc o Mrozowskim, modę seryjnego płodzenia wierszy „o matce”. Trzeba przecież uczynić niejedną wyjątek dla tych, którym nie chodziło o modny temat, lecz o potrzebę uczuciową. Między nimi — także dla Podstawki. Oto zakończenie jego wiersza „Do matki”, powstałego bodaj w okresie, gdy młody poeta znalazł się na bruku warszawskim i nie bardzo wiedział co z sobą począć. Sądzę, że autentyczność przeżycia w tym lirycznym drobiazgu nie podlega wątpliwości.

*Marzyłaś: syn daleko i wysoko — biały...
O, matko, jakże wzlecieć, kiedy serce cięży!
Zostanę już do końca w gorzkich dni uprząży.
Płakały twoje oczy i będą płakały.*

(4) „Nowa Ziemia” cieszyła się krótkotrwałym, ale bujnym i skandalicznym żywotem. Wydawca Zajączkowski, major w stanie spoczynku, nadał pismu kierunek legionowo-demokratyczny, o ambicjach zreformowania obozu rządzącego, czyli — jak mawiano w Lublinie z przekąsem — „usadowienia sanacji”.

*Wąwozem iść mi głuchem, ponurym parowem,
i śpiewać, wołać pieśnią żelazem zakrzepłą.
Nie żałuj. Połóż ręce na płonącą głowę.
Na chłody, zawieruchy chcę mieć rąk twych ciepło.*

W przeczuciu katastrofy

„Gna nas wielki niepokój naszego czasu, wahający się między próbami naukowego ujmowania schematu człowieka, dążeniem do znalezienia praw, rządzących żywotami całych narodów i ras, a jednocześnie wspierający poczynania możliwych tego świata gusłami astrologii. Dyktatorzy wierzą w znaki zodiaku, tłumy nie mają czasu ani myśleć, ani wierzyć, żyją i nie mają bóstwa ponad życie. „Mienią się być mędrkami, a to tylko szale ich ogarnął” — powiada Pismo Święte. W tym strasliwym zamęcie, w którym jedyną troską społeczeństw jest, czy wojna będzie dziś, czy jutro, w tej epoce nie do opisanego, wieszczonej przez średniowieczne proroctwa, obliczającej koniec świata na rok 1944, gdzie znaleźć grunt pod stopami? Czego mają dotknąć upadający na nawałnicy, by odżyć, by zaczerpnąć siły nowej?”

Te słowa wyszły spod pióra Czechowicza na niewiele miesięcy przed nadejściem wrześniowej burzy, w której on sam miał swoje trzydziestosześcioletnie życie utracić. W tych słowach odnajdujemy ten sam podskórny nurt, który głucho szumiał w utworach najwybitniejszych przedstawicieli młodego pokolenia. Przeczucie nieuchronnie zbliżającej się katastrofy, u jednych zamącone, o zatartych konturach, u innych bardziej wyraziste, rzucone na konkretne tło historyczne. Wtedy też, gdzieś w połowie lat trzydziestych, ukuto terminy — „katastrofizm”, „katastrofiści”.

Twórczość Czechowicza może najmniej odpowiadała temu pojęciu, gdyż zbliżający się kataklizm przełamywał się w jego wizji zbyt osobiście, po prostu łączył się z dawną, a pogłębiającą się z czasem obsesją śmierci. Najpełniej „katastrofizm” zaznaczył się u poetów wileńskich i to od pierwszych ich wystąpień. Ponieważ przez kilka lat występowali zespołowo, utrwaliło się w krytyce powojennej przekonanie, że właśnie tamtędy przebiegał główny nurt. Zwarcie maszerująca drużyna zawsze robi większe wrażenie, niż liczniejszy lecz bardziej rozpięchły tłum indywidualnych wolontariuszy.

Akcenty katastroficzne były widoczne już w najwcześniejszych młodzieńczych wierszach Miłosza, Zagórskiego, Bujnickiego. Łączył się z tym „niepokojem naszego czasu” ostry protest przeciw rzeczywistości społeczno-politycznej. W pierwszym okresie,

to znaczy do połowy lat trzydziestych, wszyscy katastrofiści radykalizowali, z większym czy mniejszym nasileniem, zanim każdy poszedł własną, indywidualną drogą, Jerzy Zagórski na przykład — ku katolicyzmowi.

W roku 1935 ukazały się dwa tomy wierszy, które nieco późniejsza krytyka uznała za najbardziej reprezentacyjne książki „katastroficzne”: „Przyjście wroga” Zagórskiego i „Rozmowa z ojczyzną” Łobodowskiego. „Przyjście wroga” to poemat, ale ujęty bardzo luźnie, żeby nie powiedzieć — kapryśnie, przeładowany wzburzonymi wizjami, miejscami surrealistycznymi, kiedy indziej nurzającymi się w groźnej eschatologii. Nie brakuje w nich poetyckich nieporozumień, a nawet niezamierzonej groteski, jak owe: „Rzeźnik w Otwocku rąbał świnię, zgrabnie siekierą rąbał w pół...” (5) — ale są także fragmenty o niezwyklej sile wyrazu i czystości lirycznej.

Nie chciałbym narazić się na zarzut nieskromności, muszę jednak napisać i o sobie. Wymieniłem obok „Przyjścia wroga” moją „Rozmowę z ojczyzną”. W półtora roku później wyszedł tom „Demonom nocy”, słabszy zapewne poetycko, ale również utrzymany w tonie „katastroficznym”. Podkreślali ten charakter tacy krytycy, jak Tymon Terlecki i Kazimierz Wyka (obydwaj w „Tygodniku Ilustrowanym” — 1937), Waław Kubacki w „Gazecie Polskiej”), wcześniej jeszcze Władysław Sebyła (w „Pionie”). Nawet odezwał się Ostap Ortwin, rzadko schodzący ze swoich olimpijskich wyżyn ku młodej poezji. Wymieniam recenzje najważniejsze, które najbardziej utkwiły mi w pamięci; było ich znacznie więcej. Artykuł Terleckiego, w którym utrzymywał, że gdyby Cezary Baryka był poetą, pisałby właśnie takie wiersze, sprawił mi wówczas największą satysfakcję.

To bardzo żenujące upominać się samemu o należną pozycję, cóż jednak poradzić, jeśli w kraju jestem na indeksie, jeśli potężna rozmiarami antologia Matuszewskiego i Pollaka, uwzględniająca nie tylko poetów drugo- i trzeciorzędnych, ale i zwykłych grafomanów, nie umieściła mnie nawet w spisie pominiętych, choć uwzględnionych przy dokonywaniu selekcji. Obok mnie identycznego zaszczytu dostąpił Marian Hemar. Posmak jeszcze większego skandalu miało pominięcie Hemara w bardzo obszernej antologii satyry i fraszki międzywojnia. Ktoś, z lekka zawstydzony, wspominał o tym w krakowskim „Życiu Literackim”, dodając zaraz skwapliwie, że banicja ta jest o tyle usprawiedliwiona, iż wynika ze względów „polityczno-pedagogicznych”. Już to na brak genialnych pedagogów komuniści nie mogą się skarżyć!

(5) Cytuję z pamięci więc może niezbyt dokładnie.

Lojalnie przyznaję, że przemilczanie nie jest absolutne, owszem, od czasu do czasu pada i moje nazwisko, prawie zawsze, gdy zdarza się okazja, aby napisać o mnie coś nieprzyjemnego. A już największą wdzięczność jestem winien „Wydawnictwu Lubelskiemu”. We wspomnieniach Mrozowskiego (cytowana już „Cyganeria”) i Wacława Gralewskiego wypadłem wielce małoowniczko. Wystarczy zacytować choćby taki passus: „Tak brzydkiej i odrażającej twarzy jeszcze nie widziałem. Miała coś z małpy i trochę z człowieka...” Nie wiem czy z tymi dwoma panami Wacławami spotkam się jeszcze kiedykolwiek, w każdym razie bardzo bym się na takie spotkanie pisał i cieszył. Wiem, że wypadłoby bardzo zabawnie.

Ale i teraz nie brak wesołej zabawy. Czytam w „Twórczości” (kwiecień 1964) wywiad z Piętakiem, podanym do druku już po jego śmierci przez Jana Śpiewaka. „Ustalmy — mówi Śpiewak — gdzie mieszkałeś w 1934 roku”. „Na Dobrej — pada odpowiedź — razem z Domińskim, Józkiem, Bronisławem Michalskim”. Cóż to za tajemniczy Józek? Czy przypadkiem nie Łobodowski? A więc jednych wymienia się z nazwiska, mnie — tylko z imienia. Nazwisko — trefne.

Albo na przykład, we fragmencie wspomnień Piętaka (też w „Twórczości”) występuję w pewnym miejscu pod imieniem i nazwiskiem; w nieco późniejszym wydaniu książkowym tych wspomnień już zamieniam się w „poetę J.” Otwieram w parę dni później numer innego czasopisma, trafiam na przekłady z Borysa Pasternaka. Rzucam okiem — cóż u diabła?! — toż to moje! Przedruk z emigracyjnego wydania polskiego przekładu „Doktora Żiwago”. Przewracam kartki w poszukiwaniu tłumacza, jest! — „Z rosyjskiego przełożył J.Ł.” No, jakże się tu nie cieszyć!

Pisarz emigracyjny jest w tej sytuacji całkowicie bezbronny. W roku 1935 wydałem tom przekładów z czterech poetów rosyjskich, pod tytułem „U przyjaciół” (Lermontow, Błok, Jesienin, Majakowski). W dwadzieścia kilka lat później Leopold Lewin wydaje tom przekładów, głównie z rosyjskiego, pod identycznym tytułem — „U przyjaciół”. Plagiat czy przypadek? O przypadku nie może być mowy, bo pamiętam doskonale, że w kilka tygodni po wyjściu tej książki była o niej mowa w mieszkaniu Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego i między innymi brał w niej udział Lewin. Więc? Ale zaprotestować, czy choćby tylko poinformować czytelników o nadużyciu — nie podobna.

Jeszcze dowcipniej postąpił Seweryn Pollak. W obszernej antologii „poetów radzieckich” zamieścił w dziale rosyjskim pa-

rę moich starych przekładów z Błoka, gdziekolwiek tylko zmieniając dwa, trzy słowa, czy jakiś rym. Nic bym przeciw temu nie miał, gdyby dołączył do tego króciutką informację: — Przekłady Łobodowskiego, w przeróbce Pollaka. Ale nie. I znowu człowiek jest całkowicie bezradny.

Ale dość tej dygresji. *Ad rem*. Niektórzy przedwojenni po-mniejszyciele młodej poezji machali lekceważąco rękami. Ot, ktoś zaczął zgrywać się na mętny kassandryczny ton i potoczyła się cała lawina. Że niby więcej w tym wzajemnego oddziaływania czy naśladowania, niż autentycznych przeżyć i przeczuc. Ważne jednak, że te przeczucia sprawdziły się, więc nie były pozą, a poza tym tendencje katastroficzne rodziły się w różnych, odległych od siebie ośrodkach zupełnie niezależnie, zatem spontanicznie. Kontakt Lublina z Wilnem początkowo zupełnie nie istniał, więc nie mogło być oddziaływania. Gdy gdzieś koło roku 1933 powstały warunki ku temu, było za późno, bo najwybitniejsi poeci znad Wilii i znad Bystrzycy już się skryształizowali. Co do mnie, pierwsze wiersze „katastroficzne” pisałem przed rokiem 1931, gdy o istnieniu przyszłych żagarystów w ogóle nie wiedziałem.

*Ciemne są nasze mieszkania i nędzne są nasze losy —
głęboka i zapomniana, mchami zarosta studnia;
Wieczorem niebo u góry milczeniem gwiazd zaludnia
i twarda ręka rozpaczy chwytając za włosy.*

— — — — —

*I nie ma na nas wyroku, nie ma na nas osądu,
co by wiechurą się zwałił w tę przestrzeń pustą.
Jest śmierć wyciągająca rękę ku ustom,
jest śmierć
sypiąca popiołem
na twarz konającym łądom.*

Tom „Rozmowa z Ojczyzną” (1935) przyniósł wiele wierszy, mówiących bezpośrednio o zbliżającej się katastrofie. „Nad wrzawą słów i pułków tupotem głuchym szeroka i krwawa łuna wyrasta...” „Starannie na zagładę sposobiony rocznik, mijamy zwiędłe, zamroczone pola”. A kiedy indziej jeszcze wyraźniej, jeszcze ostrzej, bezbłędnie nawet gdy chodzi o przybliżoną datę. Oto kilka urywków z wiersza „Samemu sobie”, pisanego na wiosnę 1934:

*...ciągnie nas ręka wiatru,
jak stryk zarzucony na gardziel
i mamy powagę skazańców w niepewnych ruchach.*

*Za kilka lat obwieszcza
przy trąb i bębnow larum
śmierć nadchodzącą nad miasto z szrapneli wyciem,
w oczy struchlałych mieszczan
zguba zaświeci pożarem,
rozplakatuje wyrok na życie.*

*Znowu napłyną na mokry tor rezerwiści,
granaty wylecą
rywalizować z gwiazdami...*

Czyta się często, że „katastrofiści” miewali mroczne, niesprecyzowane przeczucia, że z trwogą, nieraz z przerażeniem zaglądali za ciemny próg, ale nie nosili w sobie „miary rzeczy-wistości”, która nadchodziła. Czyżby nie znał owej miary Czechowicz, gdy pisał — „zniża się wieczór świata tego, nozdrza wietrzą czerwony udój...”? Wiesław Szymański odmówił Czechowiczowi miana katastrofisty, pisząc, że w jego poezji „można wykazać tylko motywy katastroficzne”. Odróżnienie dość subtelne i chyba mało przydatne.

U Czechowicza, Miłosza, Zagórskiego, Rymkiewicza, u mnie wreszcie — nie brakowało utworów, które nie tylko przewidywały przyszłość, ale również z góry ją osądzały i potępiały. W jesieni 1938 napisałem wiersz pod tytułem „Noc nad Warszawą”, wydrukowany potem w „Skamandrze” (styczeń-marzec 1939). Myślę, że mam prawo, na poparcie uprzedniej opinii, do zacytowania najważniejszych fragmentów tego wiersza.

*W dobie kupców, szalbierzy, tchórzów i żołdaków,
fałszerzy słów dzwoniących i nikczemnych czynów,
gdy żaden dzień nie szczędzi złowróżebnych znaków,
dokąd iść, gdzie dorabiać się wieńca z wawrzynu
na skronie zniechęcone?*

*Pustka się rozwarła,
przerażeniem śmiertelnym napływa do gardła,
obsiała wszystkie drogi, zaludniła miasta.
I w tej pustce pieśń nasza nad mrokiem wyrasta,
niestłuchana, żałobna, widnieje z daleka,
jak dłoń zaszypanego w zawiei człowieka.*

*Biją pod senną ziemią niespokojne tętna,
mgły północnej jesieni kłębią się w kotlinie,
widzimy:*

*mroczny jeździec pośród nocy stąpa,
koń zziąjany i czarny mętą wodę pije,
ptactwo się budzi, trwożne wyciągając szyje,
ludzkie tupoty słysząc, a ziemia nieskapa
na krew, nasienia czeka.*

*Tak północ się karmi
przeczcuciem nadchodzących pochodów i armii.*

*Nim w mroku się wypełnią słowa przepowiedni
i ziemia się odrodzi w krwawej zawierusze,
zdeptany burą łuną ginie dzień powszedni,
łamią się ludzkie serca i truchleją dusze;
dźwięczą srebrniki brudne; nikczemnym sztandarom
próżno skrzydła przyprawiasz, fanatyczna wiaro!
I echo bezsilności drży w powrotnych krokach
w życie, nieprzepsalone sumieniem ni wstydem,
i nad trumnami domów budzi się epoka
posępna jak ulica, którą wolno idę...*

U innych niezawsze ta pewność katastrofy i jej antycypowany osąd wypowiadały się w sposób równie kategoriyczny i bezpośredni, najczęściej wyroczne słowa dudniły na samym dnie, pod zwałami metafor, rzucały chińskie cienie na ściany nie spodziewających się niczego domów, na drzewa „rozkwitłe w środku nocy”, na obłoki, już pocięte spojrzeniem lęku, zanim je pocięły światła wojennych reflektorów.

„Czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć, nim się kolumny stolic znów podźwigną nade mną...?” (Czechowicz). „Niczego nie rozstrzygną słupy płomienne w rzędzie, kładą się, jest kosa, będzie wicher...” (idem). „Na ziemi dym, umarłe chmury i nad rzekami z popiołu tlejące skrzydła i cofa się zatrute słońce, a potępienia brzask wychodzi z mórz... (Miłosz). „Tylko widzę trumny, trumny jak łodzie na wezbranej głębinie...” (Bujnicki). „Na kołowrocie historii strzępi się dziejów nic i trwożne serce spotyka ciemna, cmentarna noc...” (Dominiński). „Przepada świat jedyny śpiewu i kochania — przy wrotach przed płomieniem staje groźny anioł, wskazując mieczem drogę smutku i męczarni...” (Podstawka).

Ale także konkretniej i brutalniej, jak u Władysława Sebyły: „Rozgwar motorów z nieboskłonu i krok miarowy — wzywa łask Boga mocniejszych batalionów...” —, jak w „Bajce o wojnie” Zagórskiego, w „Tropicielu” Rymkiewicza.

Jak widzimy, wcale szeroki wachlarz nazwisk, pochodzących z różnych środowisk poetyckich. Uderza brak na tej liście przedstawicieli awangardy krakowskiej, u której momenty katastroficzne występowały niezmiernie rzadko, albo wręcz świeciły nieobecnością. Peiper i Przyboś to przede wszystkim racjonalści, a wiemy przecież jak bardzo bezsilny okazał się racjonalizm wobec apokaliptycznej tragedii naszego czasu. Nic dziwnego, że jej nadejścia nie przeczuli.

Ignacy Fik, krakowski awangardysta drugiego, czy może nawet trzeciego rzutu, słaby poeta, ale interesujący krytyk, usiłujący zdobyć „pierwszej awangardy” ożenić z dialektyką marksistowską, na rok przed wojną ostro zaatakował „katastrofistów” (głównie Zagórskiego i Miłosza), przypisując im nawrót do romantyzmu i „grzech anielstwa”. Że niby zjawisko wojny widzą przede wszystkim w kategoriach eschatologicznych. Istotnie! Za to Fik ujrzał ją w kategoriach wyłącznie społeczno-politycznych. „Wojna — zapytywał drwiąco — kiedyż przestanie się nią u nas mydlić oczy? Jakież wartości ona zburzyła? Trzy potęgi zaborcze i wiarę w kapitalizm”.

Krakowski marksista nie dojrzał innych rzeczy, które zburzyła pierwsza wojna światowa, w całości lub częściowo, pozostawiając dokończenie dzieła zniszczenia swej następczyni: humanizmu, liberalizmu i wielu innych „naiwnych”izmów, odziedziczonych po wieku XIX-ym. Niestety, ów wiek przekazał nam w spadku jeszcze inne pozycje, których ciężar odczuwamy na własnej skórze po dziś dzień.

Tu pozorna dygresja — pozorna, gdyż „niejasnym przecuciom katastroficznym” dodaje argument publicystyczny, odpuszczając jednocześnie „grzech anielstwa”, z którego tak bardzo natrząsał się Ignacy Fik. Mam na myśli polemikę Jerzego Zagórskiego, jednego z najbardziej eksponowanych „katastrofistów”, z Janem Paradowskim.

Paradowski ogłosił w „Wiadomościach Literackich” artykuł, zatytułowany bodajże „Pochwała XIX stulecia” (6). Zestawiając minioną epokę (do roku 1914) z latami międzywojnia, autor podkreślał postępującą tolerancję i humanizm dziewiętnastowieczny i ubolewał, że nasze czasy odrzucają te wartości, rzucając się w objęcia szaleństw totalitarnych. Niewątpliwie Paradowski pragnął ostrzec przed pewnymi tendencjami, nurtującymi ówczesną polską rzeczywistość, ale wypowiedź jego wypadła wielce melancholijnie i pesymistycznie, sprawiała

(6) Nie pamiętam dokładnie — „pochwała” czy „obrona”, co zresztą na jedno wychodzi.

wrażenie wieńca nieśmiertelników, złożonych na grobie niepowrotnej przeszłości.

Zagórski bardzo się tą elegijną apologią przejął, tym bardziej, że wysoko cenił i szanował pisarstwo Parandowskiego. Polemiczna odpowiedź, wydrukowana w „Kurierze Porannym” (znowu nie pamiętam w jesieni 1938 czy na wiosnę 1939), była w swej argumentacji dość nierówna. Główny tenor artykułu sprowadzał się do stwierdzenia, że ujemne zjawiska naszego czasu tkwiły w zarodku w wieku ubiegłym. Powierzchnia wyglądała łagodnie i zachęcająco, ale pod nią drążyły organizm Europy rozliczne choroby, których ostre objawy dały się odczuć dopiero teraz. Jakże zachwycać się przodkami, którzy pozostawili nam taki spadek! Raczej reagujemy jak w słynnej „Dumie” Lermontowa: „gorzkim szyderstwem oszukanego syna z rodzica, który z b a n k r u t o w a ł”.

W tym krytycyzmie Zagórski nie był odosobniony. Wcześniej jeszcze Jerzy Braun w „Zecie” wyprowadzał dwie „zarazy XX stulecia”, komunizm i faszyzm, ze źródeł dziewiętnastowiecznych, nazywając obydwa kierunki „strasznymi dziećmi Hegla”. Miał więc „katastrofizm” i swoje uzasadnienia racjonalistyczne, wbrew temu, co krótkowzrocznie zarzucali mu przeciwnicy, z cytowanym już Fikiem na czele.

Kazimierz Wyka, pisząc w „Twórczości” w rok po wojnie (maj 1946) o tomie Miłosza „Ocalenie” (weszyły do niego także przedwojenne wiersze z „Trzech zim”), próbował jednocześnie dać syntezę katastrofizmu i wystąpić w roli jego obrońcy. Udało mu się to połowicznie. Słusznie jednak zaprotestował przeciw prymitywnej interpretacji poezji katastroficznej jako „świadectwa bezsilnej rozpacz, jako ucieczki od historii i rozumu w eschatologię” (7).

Wyka z pełną racją wskazał, że „element katastroficzny jest elementem o c z y s z c z a j ą c y m”. „Groza i katastrofa — pisał nieco dalej — spadająca na nieczysty świat w takich wizjach, czy apokalipsach jest zawsze aprobowana przez tego, kto wizję tworzy. Zanim nieczysty świat zginie rzeczywiście, najpierw *in effigie* jest niszczone przez nienawidzącą go, a rozgorączkowaną wy-

(7) Jakąż tam „ucieczka od historii i rozumu”, skoro nprz. autora tych wspomnień stać było na przewidzenie antypolskiego sojuszu hitlerowsko-sowieckiego już wczesną wiosną 1939-go roku, a więc na pięć miesięcy przed paktem Ribbentrop-Mołotow, *vide* skonfiskowany artykuł w „Wiadomościach Literackich”.

A znowu autorem *jedynego* artykułu, w którym dokładnie został opisany przyszły przebieg kampanii wrześniowej, był K.W. Zawodziński, teoretyk wersyfikacji i krytyk poetycki. Prawda, jakie to zabawne?

obrażnię. Dzieje się to, by po zniszczeniu nastąpiło wyzwolenie i oczyszczenie. Jest to katastrofizm, żeby tak rzec, służebny”.

Ale Wyka pisał cytowane słowa w warunkach powoli narastającego skrępowania, które rychło miało przerodzić się w ordynarny przymus i terror administracyjny, więc nie obeszło się bez tęgiej warzachwi marksistowskiego dziegiu. Marksieści ze wszelką cenę szukali korzeni katastrofizmu w socjologii „Mit eschatologiczny — pisał w „Kuźnicy” S.A. Majewski, którego opinię Wyka przytacza w tejże recenzji — powstaje w środowisku społecznym, nie widzącym przed sobą przyszłości, to znaczy, w takich społeczeństwach, w których upadek klasy rządzącej jest równoznaczny z upadkiem państwa, tej najwyższej formy organizacyjnej społeczeństwa”.

Po przyznaniu tej prymitywnie tandetnej formułce zasadniczej racji, Wyka popadł w równie zasadniczą sprzeczność. Tylko o jednym Miłoszu napisał, że niekiedy przejawia się w jego poezji poczucie katastrofy jako o c z y s z c z e n i a. Ale tylko „niekiedy” i w niewyraźnym kształcie. O innych twierdził kategorycznie, że wieszczą zagładę, ale jej nie udzielają moralnej i uczuciowej aprobaty. „Są w sieci przeczucia, ale przeczucie nie oczyszcza”. Wyka dodał, że tylko taka interpretacja „jest zgodna z tekstami poetów”.

Czyżby? A cóż znaczy wiersz „nim ziemia się o d r o d z i w krwawej zawierusze” z cytowanej powyżej „Nocy nad Warszawą”, albo czechowiczowskie, bardziej metaforyczne: „mówię wam... runą mury Jerycha...”? Najzupełniej jednoznaczny jest tekst Miłosza: „Po trzykroć muszą zwyciężyć kłamliwi, zanim się prawda wielka nie ożywi...”. Wyka go przytacza, ale uważa za odstępstwo, nie za regułę. To opinia zbyt dowolna, aby mogła być prawdziwą.

A cóż z socjologią? Wysłunięto argumenty: jeden gospodarczy, drugi — polityczny. Wielki kryzys gospodarczy lat 1929-34 i groźba nadciągającego faszyzmu. Powiedzmy, że katastrofizm poetycki wykryształizował się i okrzepł w latach, gdy wielki kryzys już się przesilał, zaś mroczne przeczucia nabierały jasności w ostatnich latach przed wojną, kiedy kraj zaczął szybko wydobywać się z gospodarczego marazmu. Na wykresie graficznym linie nie koincydują.

Skoro już wleźliśmy w socjologię, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że niemal wszystkim „katastrofistom” powodziło się finansowo w tym ostatnim okresie dobrze, niektórym bardzo dobrze. Także ustabilizowali się społecznie. Jeżeli więc „byt określa świadomość”, katastroficzne nastawienia powinny były słabnąć. A tu akurat odwrotnie — wzrastały. Więc kto by zechciał

upierać się przy sprawdzianach socjologicznych, musi zdobyć się na operowanie narzędziami bardziej precyzyjnymi.

Poeci owego pokolenia nie byli kanarkami ani słowikami. Czytali dzienniki, czujnie śledzili wydarzenia polityczne. „Oda na spadek funta” — taki tytuł w debiutanckim tomie młodego liryka musi zastanowić. Jednak wróżb i przeczuć nie można wmontować w żaden wehikuł ideologiczny. Kto tego próbował, boleśnie parzył sobie ręce. Marksista rozstrzyga takie sytuacje bez trudu: zdeklasowali się, więc nie poszli z mieszczańskim faszyzmem; nie stać ich było na właściwą krystalizację ideową, więc nie doszłusowali do proletariatu, świadomego właściwego kierunku dziejów.

Tu i ówdzie czytam o podziale na „czarnych” i „czerwonych”. Na linii tego podziału mieli rzekomo miotać się zrozpaczeni poeci i, nie mogąc wybrać, rzucali się na oślep w katastroficzną eschatologię. Wydaje mi się, że młoda poezja polska wkroczyłaby, gdyby nie wojna, w okres płodnego uspokojenia i dojrzałości. Ale czy wolno snuć takie przypuszczenia, skoro wszyscy czuliśmy — niektórzy wiedzieli poza wszelką wątpliwością — że nadejście katastrofy jest nieodwołalne? Świadomość tym bardziej tragiczna, że niejeden z nas dostrzegał budzące radość zmiany w życiu społeczeństwa, często niezależne od prowadzącej góry, a nieraz nawet sprzeczne z jej nastawieniem. Żaden socjolog nie wziął jeszcze na warsztat owych ostatnich lat 1938-39. Zanim zaczęły kiełkować, już spadł na nie huragan ognia i żelaza. Dotyczy to również ówczesnej młodej poezji. Czytelnik zechce zważyć, że w fatalnym wrześniu 1939 roku tylko nieliczni z pokolenia „katastrofistów” przekroczyli granicę trzydziestu lat. Dla wielu przekroczenie tej granicy zakończyło wszelkie rozrachunki z życiem doczesnym.

Postscriptum bardziej osobiste

Jeszcze kilka słów na własny temat. Trudno, gdy inni fałszują czyjaś biografię, zainteresowanemu wolno protestować i prostować. Lata płyną, przyjdzie dzień, gdy będzie już po niewczasie. Coraz to cytowałem w tych wspomnieniach „Cyganerię” Mrozowskiego, w której o mieszkańcach „wspólnego pokoju” najwięcej. Ja sam występuję w niej w kilkudziesięciu miejscach, przy czym swoistemu przedstawieniu okoliczności mego zerwania z komunizmem autor poświęcił całe sześć stron.

Nazwałem „Cyganerię” książką nieuczciwą i paszkwilancką — trzeba to udowodnić. Jest niechlujna w szczegółach, Mrozow-

ski nawet nie zadał sobie trudu skonfrontowania dat i sprawdzenia nazwisk. Tak np. na stronie 26 Witoldowi Chomiczowi przerabia imię na Paweł, zaś na stronie 221 podaje, że „Gospodę pod złotą kaczką na Królewskiej prowadziła pani Tomaszowa Arciszewska”. Oczywiście, żona wybitnego działacza socjalistycznego nie miała nic wspólnego ze „Złotą kaczką”; chodzi o panią Zofię, zamężną za pułkownikiem, Franciszkiem Adamem Arciszewskim. Od takich niedokładności w „Cyganerii” aż się roi.

Załóżmy, że nie było w tym zlej woli — zwykłe niechlujstwo (8). Niemniej, jeśli chodzi o mnie, Mrozowski zmyśla z całą świadomością. I przy tej okazji tak zaplątał się w faktach i datach, że zapewne już sam nie potrafiłby połapać się w swoich łągarstwach. Chodzi mi głównie o wydarzenia pierwszych trzech miesięcy roku 1934, o zasadniczym znaczeniu dla moich dalszych losów. Mrozowski wypisał na ten temat całą sheherezadę.

W styczniu przewieziono mnie z Równego do wojskowego szpitala okręgowego w Chełmie. W szpitalu równieńskim nie było Roentgena i chirurg nie mógł stwierdzić, gdzie utkwiała kula. Okazało się, że ześliznęła się wzdłuż żeber i zatrzymała się w przeponie brzusznej. Po kilku dniach odwiedził mnie redaktor chełmskiej „Kameny”, K.A. Jaworski, który nieco później spowodował wizytę Mrozowskiego.

„Pogoda była piękna — opowiada nasz bajkopisarz — wyszliśmy więc do ogrodu szpitalnego... Wiosna chełmska była w pełni...” Istotnie! Stał trzaskający mróz, ogród zavalony śniegiem, zaś Łobodowski przez pierwszy tydzień w ogóle nie był w stanie poruszyć się, cóż dopiero chadzać na spacer. Ale to jeszcze głupstwo. Z dalszej lektury okazuje się, że Mrozowski wizytę z końca stycznia 1934 roku przeniósł na maj 1933. I znowu spróbuję być wyrozumiałym. Mogły mu pomylić się daty, bądź co bądź tyle już lat upłynęło od tego czasu. Może to nieświadome przekręcenie...

Ba! O kilka stron dalej Mrozowski z całą powagą opisuje, jak wkrótce potem, tejże wiosny, zjawił się w Warszawie, gdzie spotkał się z Czechowiczem i Domańskim. „Teraz dopiero — zmyśla nasz filut — przypomniałem sobie, że nie powiedziałem o wypadku Łobodowskiego. Byli przekonani, że żartuję, choć mówiłem serio. Później byli bardzo przejęci. Pytali o szczegóły, których, niestety, nie znałem. Do dziś zresztą nikt ich dokładnie nie zna. Domański zaczął dowcipkować na temat niedoszedłego samobójcy...”

(8) Równie niechlujny jest w swoich wspomnieniach literackich z tychże lat Jerzy Putrament, *Pół wieku*, Tom I.

Tu już nie może być mowy o zawodnej pamięci, ani przypadkowej pomyłce, tu mamy do czynienia z bezczelnym łgarstwem. Czechowicz i Domiński nie żyją, Łobodowski siedzi w Madrycie, prostować na miejscu nie jest w stanie. A jakże było naprawdę?

W drugiej połowie lutego, niby już wykurowany, ale jeszcze poruszający się z pewnym trudem (kula pozostała w przeponie i dolegała), wróciłem do podchorążówki, gdzie zastałem wiadomość, że jestem przeniesiony do kompanii 45 P.S.K. Dzięki przychylnemu stosunkowi dowódcy kompanii otrzymałem dwutygodniowy urlop zdrowotny, co zbieгло się z zaproszeniem do wzięcia udziału we wspomnianym już wieczorze poetyckim, „Najazd awangardy na Warszawę”. Popołudniu tegoż dnia, gdy miałem odmeldować się u sierżanta-szefa, przyszedł rozkaz osadzenia mnie w więzieniu, a po czterdziestu ośmiu godzinach, już w Lublinie, zapoznałem się z aktem oskarżenia. Przy uprzedniej rewizji znaleziono w szafce sporo rękopisów, na podstawie których uznano, że uprawiałem w podchorążówce propagandę antypaństwową. Ano, pięknie!

W wieczorze, rzecz prosta, osobistego udziału nie wziąłem, ale odczytano parę moich wierszy, w tym „Piłsudskiego”. Wśród słuchaczy już rozeszła się wiadomość o moim uwięzieniu. Z miejsca zainteresowała się całą sprawą obecna na sali Kazimiera Iłłakowiczówna i nazajutrz zaczęła działać. Niezawodna Iłła-Ałła zaagitowała Ignacego Matuszewskiego, ówczesnego redaktora „Gazety Polskiej”, uderzyła do wyższych wojskowych. Czechowicz ze swojej strony również poruszył różne sprężyny. Poszły interwencje i naciski do Lublina. Dowódcą O.K. był wtedy generał Dobrodzicki. Nie bardzo wiedział co z tym fantem począć, aż ktoś z jego otoczenia wpadł na szczęśliwy pomysł, żeby sprawdzić, czy akt oskarżenia został już mi wręczony, bo jeżeli nie, wyjście znajdzie się bez trudu.

Istotnie, prokurator oskarżenia jeszcze nie wygotował: wertowanie wierszy zabrało mu zbyt dużo czasu. Dobrodzicki podpisał rozkaz, usuwający mnie z wojska na okres pięcioletni, bo tyle wynosiły zawieszenia różnych wyroków, po czym sprawę przekazano sądowi cywilnemu, a mnie zwolniono z więzienia. W parę miesięcy później sędzia śledczy w Łucku sprawę umorzył. Podpis Dobrodzickiego, złożony pod tym rozkazem, był bodaj ostatnim w jego życiu: generał zmarł w niewiele dni po opisanych wypadkach.

Jeszcze w więzieniu otrzymałem parę listów od Czechowicza, informujących o przebiegu starań. W kwietniu na święta Wielkiejnocy zebrała się prawie cała dawna paczka lubelska:

Czechowicz, Domiński, Miklaszewski, Wójcik, Madej i ja, a po tygodniu już byłem w Warszawie. A tu Mrozowski opowiada, że nikt o niczym nie wiedział, że to dopiero on poinformował wszystkich o moich przypadkach! I to w maju, gdy już było dawno po całej sprawie, wcale głośnej w środowisku nie tylko literackim.

Podobnych zmyślań nie oszczędził Mrozowski innym, opisywanym przez niego pisarzom. Ciekawe — „Cyganeria” wyszła w dość wysokim, jak na stosunki polskie, bo dziesięciotysięcznym nakładzie. Obracające się w kręgu tych samych spraw i zagadnień wspomnienia Piętaka i „Ballady przed burzą” Szymańskiego otrzymały tylko po trzy tysiące. Książki te potraktowane więc zostały przez wydawców w sposób wręcz odwrotny do ich wartości dokumentarnej i literackiej.

I nie bez kozery. Z kart „Cyganerii” wyłania się rozpaczliwy obraz młodego środowiska literackiego tamtych lat. Nędzą, pluskwą, pijaństwo, awantury, brak stałej pracy zarobkowej, represje polityczne. Widzicie — w takich strasznych warunkach musieli żyć i pracować młodzi pisarze w Polsce kapitalistycznej! A do tego autor starannie opluł Łobodowskiego, więc zasłużył na wysoki nakład. Na takie zbożne cele papieru nie brakuje!



Nie roszczę sobie pretensji do wyczerpania materiału przedstawionego w „Cyganach i katastrofistach”. Sądzę przecież, że dorzuciłem sporo istotnych informacji i że w jakimś stopniu udało mi się oddać atmosferę środowiska. Nie mogłem uniknąć tu i ówdzie tonu polemicznego, gdyż należało prostować błędy i pomyłki, zarówno merytoryczne, jak interpretacyjne, a znalazłem ich w cytowanych książkach i artykułach niemało.

Być może, i ja sam popełniłem jakieś drobne błędy, starałem się jednak pisać tylko o tych sprawach, które dobrze zapamiętałem. Gdy nie byłem czegoś pewny, unikałem wypowiedzi kategorycznych. Mogą się te wspomnienia okazać pożyteczne i dla czytelnika krajowego. „Kultura” wprawdzie nie ma debitu, ale mimo wszystko do Polski dociera. Miałem na to dowód bardzo niedawno, gdy autor artykułu o Czechowiczu, wydrukowanego na łamach pisma komunistycznego w dwudziestopięciolecie śmierci, uwzględnił jedną z moich poprawek („Kultura” Nr 7/201-8/202). Naturalnie, źródła wołał nie podawać, ale dobre i to.

Egzorcyzmy

On żyje. Niczego sobie nie uroiłem. Wiem o czym mówię. Widziałem go na własne oczy. Rozmawiałem z nim, Jeszcze mi w uszach świszczy jego głos. Leczyłem go nawet. Jeszcze czuję na sobie starczy oddech. Ilekroć podawał mi rękę, szybko wycierałem ją w gumowy fartuch: ten uścisk sklejał mi palce trupim jadem. Tak, to na pewno był on. Mam na to dowody. Nie tylko poszlaki, ale konkretne dowody. Mimo to doktor Felix zlekceważył sobie moje odkrycie, przeraził się „gazeciarskiej sensacji”. Przestrzegł mnie, żebym o tej sprawie nie mówił i nie pisał, gdyż mogę się tylko „niepotrzebnie ośmieszyć”. Zresztą nie chodzi w tym wypadku o mnie czy o doktora Felixa, lecz o prawdę historyczną, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Czytałem niedawno, że słowa „prawda” i „historia” właściwie nic nie znaczą; człowiek wymyślił je, by jeszcze bardziej sobie dokuczyć. A mnie prócz terroru pojęć oderwanych dokucza fizyczne istnienie pięknoducha w kitlu, doktora Felixa, obłudnego stryja Henryka w Kolonii i tego arcyłotra zakrystianina, który uciekł w przede dniu zdemaskowania. Wiele innych spraw też mnie od dawna nęka. Nie jestem z siebie zadowolony. Więc nic tylko — pisać.

Pamiętnik, konfesjonał z papieru, wylęgarnia obłudy, zajęcie dla pensjonarek, koło ratunkowe dla zahamowanych ekszhibicjonistów. Dotychczas nie miałem na nic czasu: kułem, smagany ambicją własną i niecierpliwością rodziców, uważających moje studium medyczne za lokatę oszczędności, które jak najrychlej powinny przynieść odsetki. Dopiero teraz, za granicą, gdy letnie piwo w pobliskim *pubie* i lepka mgła za oknem powiększają moją samotność, zapisuję te kartki.

Pewnie bym nigdy nie chwycił za pióro, gdyby nie ucieczka Santusa. Czy to mój przyjazd wypłoszył starego borsuka z nory?

— *Sie haben hier nichts zu suchen* — powiedział zakryśtianin przed ucieczką, i chyba miał rację: niemiecki lekarz na praktyce w angielskim ośrodku zdrowia dla polskich rozbitków — prawdopodobieństwo takiej sytuacji może się wydawać wątpliwe, niczym fabuła odcinkowej powieści; tam również „nieoczekiwany zbieg okoliczności” rządzi losami bohaterów. W rzeczy samej dostać się tutaj nie było łatwo. Nieuczynnej z natury opatrności należało dopomóc własną przedsiębiorczością: bohater potrzebował protekcji swego stryja. Dość wstydliva to historia, i wcale nie jestem pewien czy wypada się popisywać niedyskrecją. Tym bardziej, że rzeczywiście nie ma się czym chwalić.

Przedziwne słowo „gdyby”! Może zapowiadać przekładnię spraw nieznanych, może być kluczem do niezamierzonej groteski. Gdyby mój stryj Henryk nie był kiedyś zagorzałym hitlerowcem, nie pracowałby dzisiaj w urzędzie odszkodowań dla ofiar hitleryzmu. Gdyby pewien Polak z Londynu, który zeszłego lata w pensjonacie nad Adriatykiem na uprzejme *Buon appetito* mego stryja nie odpowiedział dziarskim *Mahlzeit!*, pewnie nie wyjechałbym na praktykę zagraniczną do Anglii. Ważny szczegół techniczny: pensjonat miał dwie jadalnie. Gdyby ten cudzoziemiec wszedł w inne drzwi, nie dokonałbym jednego z najbardziej sensacyjnych odkryć naszego czasu, ale o tym za chwilę.

Już przy pierwszej butelce Chianti wyszło na jaw, że nasza przygodna urlopową znajomość w czasie wojny cierpiała w Buchenwaldzie, a teraz ma poważne trudności z otrzymaniem odszkodowania, gdyż, jak mi później wyjaśnił stryj-rzeczoznawca, petent w „inkryminowanym czasokresie” był za młody, by zdawać sobie sprawę z różnic zachodzących między ideologią narodowego socjalizmu a prawdziwą demokracją; nie cierpiał więc świadomie, z pobudek światopoglądowych, tylko tak sobie. Przy drugiej butelce stryj mój, rozmarzony winem, słońcem i szumem morza, zauważył, że ludzi z niewyraźną przeszłością nie powinno się u nas odsuwać od rządzenia krajem, gdyż właśnie niewyraźna przeszłość rodzi w człowieku potrzebę ekspiacji za grzechy i, jak się obrazowo wyraził, staje się „niewidzialną ostrogą” wbija na długie lata w sumienie, motorem moralnego postępu jednostki i społeczeństwa. — „Życie w ogóle jest skomplikowane” — zadumał się stryj nad kleksem wina, nie większym od kropelki krwi. — „To praw-

da — przywótórzył tamten. — Mój syn w Warszawie przed ośmiu laty nosił w pochodzie kukłę „zdrajcy” Tito; w tym zaś roku niósł transparent z napisem: „Niech żyje Tito!”; pytam się: alboż to syn mój, za przeproszeniem zanieczyścił sobie życiorys?” — „Nie zanieczyścił — poglądził go po ręce mój stryj — takie jest życie”.

Wspólne przeżycia łączą narody; jagoda winna obala granice: nad ranem, opasani ramieniem, niczym para kochanków, chwiejnym krokiem wyszli na plażę przypatrzeć się wschodowi słońca nad morzem. Ten Polak utrzymywał, że Niemcy i Słowianie mają wiele cech wspólnych; na przykład cenią honor i odwagę, kochają przyrodę i muzykę, umieją się szczerze śmiać i płakać; dwa narody obdarzone duszą; *gute Soldaten*. Usiedli w twierdzy ulepionej z piasku i zaróżowieni adriatycką jutrzenką, przesypując muszelki z ręki do ręki, wspominali dawne dzieje. — *Warschau... schöne Stadt* — uśmiechał się stryj. — *Hübsche Frauen...* — *Schöne Stadt* — wtórował ten z Londynu. — *...Krakau auch — Krakau auch...* Polak nagle nachmurzył się: *Auschwitz nix gut.* — *Nix gut!* — wzdychał mój stryj, a w jego wypłowiałych oczach błysnęły dwie małe łezki; rzekłbyś dwa ziarenka ryżu, którym tak hojnie karmiono nas w pensjonacie, przykleiły mu się do powiek. — *Hitler Teufel!* — bełkotał cudzoziemiec, z każdym łykiem gorzej mówiący po niemiecku. — *Ein Teufel, ein Teufel!* — unosił się mój stryj. — *Globke Scheisse!* — bił butelką w piach ten Polak, ale mój stryj, chociaż pijany, wołał nie przyłączać się do manifestacji; otarł więc łezki i rzekł wymijająco: — *Krieg nix gut, Frieden gut!* Słońce już wynurzyło się z wody, pusta butelka poskakiwała na fali, gdy stryj, strzelając szelkami na gimnastycznej koszulce, zaczął się użalać przed schorowanym kacetowcem: — „Nam też było ciężko, *lieber Freund*. Was bili, to prawda, nas zaś zżerało poczucie bezsilności i przymus wykonywania nie-ludzkich rozkazów; tylko ten, kto sam przebył tę ciernistą drogę, potrafi zrozumieć, czym jest konflikt sumienia”. — „Ja cię rozumiem, bracie — mamrotał winem zamroczony Słowianin — tyś też swoje przeszedł. Heinrich, grabula!”. Zapadli w mocny, pijacki sen; a kiedy pierwsi letnicy pojawili się na plaży, pobiegli do morza; tarzali się w wodzie, opryskiwali z radosnym kwikiem; gdyby nie siwe czupryny, fałdy na brzuchu i żylaki na łydkach, można by ich wziąć za uczniów na wagarach.

Słowem: polubili się, a pod sam koniec urlopu, kiedy już uzgodnili swe poglądy na temat Wspólnego Rynku, wzmocnienia Paktu Atlantyckiego, dziejowej szansy w postaci kon-

fliktu Moskwa—Pekin, drugiego soboru watykańskiego, szkoldliwości spędzania płodu, niecelowości zniesienia celibatu i bezsennie wypraw na księżyc, wyjaśniło się jeszcze, że córka tego sympatycznego męczennika z Buchenwaldu wyszła za mąż za Anglika, wyższego urzędnika *Ministry of Health*, i to w dodatku referenta od międzynarodowej wymiany narybku lekarskiego. Toteż nie zdziwiłem się zbytnio, gdy zwolennik przyjaźni polsko-niemieckiej tuż przed naszym wyjazdem wyłożył karty na stół: — „Porozmawiajmy jak ludzie którzy wiedzą na jakiej żyją planecie — niemczyzna Buchenwaldczyka uległa naglej poprawie — jeżeli stryj pana, osobistość wpływowa, rozpatrzy mój wniosek, kto wie czy nie uda nam się załatwić panu płatnej praktyki w jednym z najnowocześniejszych ośrodków zdrowia na Wyspach Brytyjskich; *fair play* przede wszystkim; mój uczynny zięć...”

Z początku sądziłem, że stryj Henryk, człowiek z zasadami, przy całej swej dobroduszości i sympatii dla narodu który wydał Chopina, zacznie się wykręcać przepisami, ale okazało się, że nie doceniłem ducha przemian, jakiemu uległo u nas starsze pokolenie. — „Trzeba ludziom pomagać” — uśmiechnął się życzliwie — jesteśmy zamożnym państwem, a kto jak kto, ale ten człowiek, tak szlachetny i organicznie niezdolny do nienawiści, z pewnością zasługuje na nasze poparcie”. Widząc zdumienie na mej twarzy, zaczął szarżować: — „Chwalić Boga, etatowi urzędnicy już się u nas nie powołują na etykę zawodową: może się wreszcie staniemy społeczeństwem bardziej ludzkim; więcej nieposłuszeństwa wobec władzy, więcej korupcji i łapownictwa; *Unordnung muss sein!*” I ze swoistym poczuciem humoru dorzucił: — „Tyleśmy już rozdali pieniędzy różnym... Indianom, że nie zaszkodzi pomoc czasem chrześcijaninowi, zmagającemu się z czerwonym niebezpieczeństwem; jakby nie było, płyniemy w tej samej, przedziurawionej, łodzi”. Jedna z ostatnich fotografii stryja, opublikowana w prasie, uwiecznia go na pokładzie *Lorelei*; niedzielna przejażdżka parostatkiem po Renie; grupka rabinów, którzy przybyli z „wycieczką odpuszczenia”; stryj przyjaźnie otacza ich ramieniem; pięć uśmiechów wycelowanych w obiektyw; „z Szawła Paweł” — powiadają w Kolonii bez przymrużenia oka, zamiast od razu zajrzeć do encyklopedii: „Kameleon, gad nadržewny z rodziny jaszczurek o tej samej nazwie (*Chamaeleontidae*) o chwytym ogonie i kończynach, szybko zmienia barwę ciała pod wpływem warunków zewnętrznych”.

W przypływie niezadowolenia z samego siebie mam niekiedy wielką ochotę mojemu stryjowi, specjaliście od odszko-

dowań za „inkryminowany czasokres”, wylać resztkę Mosela w niewinnie uśmiechniętą buzię. Zwłaszcza gdy produkuje się w rodzinnym kółku jako wesolek-antysemita. Ale nie czynię tego, moralny słabeusz, gdyż stryj mój jest człowiekiem zamożnym i wobec rodziny szczodrym aż do rozrzutności. „Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze człek się podli”. A skoro nikt nie lubi się przyznawać do oportunistu, który (nie bez słuszności, przyznaję) uważany jest za ułomność charakteru, uśmierzam swe skrupuły mniej lub bardziej niezręcznymi wybiegami. Zastanawiam się, na przykład, czy mój nieszczęsny stryj rzeczywiście może w pełni odpowiadać za swoją mentalność, skoro tyle różnych i niezawsze od niego zależnych czynników wpłynęło na jej ukształtowanie? Określone procesy historyczne, uwarunkowane, jak się to powiada, takim a nie innym układem stosunków społecznych i gospodarczych — strzelam ślepą amunicją z ciężkiej artylerii, — to niby nic? Ach, gdybyż to można było zmieniać swych rodaków jak brudną bieliznę po sobotniej kąpeli! — „Nie sądzicie,” to najwznioślejsze zdanie w Ewangelii — powiada czasem mój koloński stryj z miną nowonarodzonego Jezuska. Podobną minę robi, gdy wypadnie mu zatwierdzić wniosek pokacetowego wraka. Wolnym, niemal liturgicznym gestem (rzekłbyś: balet księżowskich palców przed ołtarzem) składa swój czytelny podpis na aktach sprawy, przypieczętowując to małe misterium uwagą na tyle głośną, by słyszało ją całe biuro: — „Nie ma takiej sumy, która by mogła wynagrodzić cierpienie ludzkie. Pieniądz jest w tym wypadku li tylko symbolem, mającym duże znaczenie wychowawcze dla naszego narodu”. Po tych słowach brak jeszcze tylko jednego gestu: żeby mój stryj ujął biurowy kałamarz w obie dłonie, wznosił toast na cześć sześciu milionów pomordowanych Żydów i wychylił ten kielich pojednania z wzniesionymi ku portretowi nowego kanclerza oczami. Przybyłby nam nowy sakrament: cudowna przemiana krwi ludzkiej w atrament.

Jechać do Clifton Park czy zostać w Kolonii? Wahałem się, póki raz jeszcze, tym razem na imieninach ojca, nie posłyszałem jakże swojskiej konwersacji przyjaciół naszej rodziny; nazajutrz rano ogarnął mnie niesmak, marzyłem tylko o jednym: czym prędzej wyżyć ścierkę pamięci z brudnej wody, obmyć się z rozprysku znajomych słów: *jeszcze nie wiadomo co historia — w imię bezstronności stwierdzić należy — po tylu latach — nie jestem antysemitą ale — równie dobrze mogło się to wydarzyć w każdym innym kraju — a nawet gdybym wiedział, to przecież — nie powinno się wrywać wydarzeń z*

kontekstu czasu — z jednej strony, z drugiej strony — jednakowoż — natomiast — bądź co bądź — z uwagi na. Nawet mój młodszy brat, wychowanek nowej, już przewietrzonej szkoły, zauważył przemądrzałe: „Po co drukować w gazetach opisy okrucieństw popełnianych w obozach? Wystarczy zajrzeć do pierwszego lepszego szpitala dla chorych na raka, by poznać inferno”. — „Słusznie — rozległo się kilka głosów — trafne spostrzeżenie!” A mój zacny, życiem zmęczony ojciec? Przyglądałem mu się niedawno przy śniadaniu. Właśnie czytał gazetę: najpierw wpatrzył się w artykuł: „Nie wszyscy przywódcy murzyńscy w Ameryce chcą czekać do wyborów”, następnie przeniósł wzrok na dłuższy reportaż „Sonda księżycowa zdała egzamin na piątkę z plusem”, przeczytał jeszcze depeczę agencji prasowej „Tajfun Emilia szaleje nad Zatoką Meksykańską”, natomiast przy tytule: „Oprawcy z Oświęcimia przed sądem” zgrabnie uciekł oczami na sąsiednią szpalte: „Bułgaria, kraj stulatków, przyśle nam więcej jogurtu i owczego sera!”.

Sprzed stacji kolejowej autobus w stronę morza odchodzi co pół godziny; trzeba przejechać przez miasteczko z turystycznego prospektu; wysiada się za stacją benzynową, tą kapliczką przydrożną naszych czasów; przystanek przy afiszu *Guinness is good for you*; dwie minuty marszu aleją, i stajemy przed żywopłotem za którym uwijają się pielęgniarze przebrani za ogrodników; oto królestwo dr. Felixa i, o czym pierwszego dnia jeszcze nie wiedziałem, kryjówka zakrystianina; a tam, w głębi, za kaplicą już maszeruje „chory na powrót” Olo, maskotka uzdrowiska; deszcze nie deszcz, mgła nie mgła, upał nie upał, z przerwami na sen i posiłki już od dwóch lat maszeruje dookoła budynku, z gazetą lub liściem łopianu na głowie — „Dokąd tak, Olo, na piechtę zapychasz?” — pytają go czasem przez grzeczność. — „Do ojczyzny wolnej i niepodległej” — odpowiada, nie odrywając oczu od wydeptanej ścieżki. A za węglem garażu czai się smutny ogniomistrz-miłośnik poezji, by przez trąbkę ukręconą z gazety ostrzec przybysza: — „Jam jest sen marnotrawny! Uwaga na czarny księżyc! Kur zapiał po raz czwarty! To klakson wieczności!”

Zaraz po przyjeździe zacząłem się dopytywać o genezę instytucji, w której obecnie odbywam swój niezwykły nowicjat. Jeden z kuracjuszy wyjaśnił mi, że tuż po zakończeniu wojny król Jerzy Szósty zaprosił do swego pałacu żołnierzy polskich, tych co tak mężnie bili się z Niemcami; przywitał ich na progu, grzecznie uchylając korony; królowa w nowej sukni i jej uśmiechnięte córki wręczyły im po bukietiku niezapominajek; młodszym bohaterom marszałek dworu rozdał ciastka z kremem;

jednemu zaś żołnierzycowi, który w czternastej wiośnie życia zniszczył czołg nieprzyjaciela, król pozwolił na chwilę usiąść na złotym tronie i pobawić się berłem; gdy orkiestra pałacowa przestała grać krakowiaka, król tak powiedział: — „Przyjaciele, wiele dla was zrobić nie możemy; nie możemy, na przykład, zapewnić waszemu pięknemu krajowi niepodległości i demokracji, skoro na sam dźwięk słowa „Stalin” dostajemy migreny, ale w uznaniu dla poniesionych przez was ofiar możemy zaoferować się tymi patriotami, którzy nabawili się czarnej melancholii; mamy taki domek z ogródkiem...”

Ale czas przejść do sprawy. Powtarzam: on żyje. Widziałem go na własne oczy. Rozmawiałem z nim kilka razy. Lękliwy niedowiarek dr Felix nie ma się co natrzasać z mojego odkrycia. Oświadczam raz jeszcze, że w połowie grudnia ubiegłego roku, w miejscowości Clifton Park w hrabstwie Sussex, ja, Hansjakob Teichmann, lat 26, z zawodu adept sztuki lekarskiej, stałe miejsce zamieszkania: Kolonia nad Renem, Tirolerweg 16, natrafiłem na ślad człowieka, który unieszczęśliwił miliony ludzi na świecie i okrył Niemcy hańbą. Co tam „Niemcy”! Mnie okrył hańbą. I dlatego taki dr Felix, pozując na „rycerskiego przeciwnika”, proponuje mi kilka dodatkowych dni wolnych na święta, bym mógł ze stryjem Henrykiem przywitać Bożą Dziecinę w hoteliku „Touropy” na Wyspach Kanaryjskich. — „Nie dajmy się szantażować liryce domów towarowych i umownościom kalendarza” — odpowiadam wymijająco. Nie znoszę tej ostentacyjnej życzliwości. Mam wrażenie, że zmierza ona do jedynego celu: żeby mnie zawstydzić. Od wybuchu wojny minęło ćwierć wieku, we wrześniu 39 roku ssałem kciuk w kołysce, nie jestem więc żadnym „przeciwnikiem” i niebardzo rozumiem, po co ten nieustanny popis szarmanckich gestów. Wolę już szczerzy odruch warunkowy tego patrioty w berecie, który przed kilku dniami zamierzył się na mnie szczudłem z okrzykiem: „Masz łotrze! Za spalenie Warszawy!”. — „Ambiwalencja uczuciowa, typowa dla schizotypików” — wyjaśniono mi uprzejmie. Czy mi się to podoba czy nie (raczej mi się nie podoba) jestem Niemcem, co zmusza mnie do szczególnej delikatności w obęjsiu z cudzoziemcami. Nie, to nie kompleks ani skrupulatne sumienie. Moje pokolenie już się szczęśliwie wyzwała z kompleksów, to kwestia taktu. I dlatego bez sprzeciwu muszę wysłuchiwać życzliwych uwag mego zwierzchnika, że „w naszym zawodzie o pomyłkę łatwo” a „zmęczenie jest złym doradcą”. Odzywa się do mnie tonem tak ciepłym, iż wydaje mi się nieraz, że słyszę stryja Henryka w obłoczku wody kolońskiej i *Player's finest Virginia*” wypytującego petentów

o szczegóły, dotyczące „inkryminowanego czasokresu”: — „Ilu członków rodziny Pana (-i) odniosło obrażenia cielesne bądź też poniosło śmierć w wyniku metod, stosowanych przez wyżej wymienione organa władz państwowych lub partyjnych?”.

W chwilach wolnych od leczenia pacjentów i wygłaszania referatów na międzynarodowych zjazdach nasz lekarz naczelny para się literaturą, ściślej mówiąc: uprawia prozę refleksyjno-nastrojową. Na ostatnim wieczorze autorskim, który w świetlicy zgromadził bodaj wszystkich pacjentów i pielęgniarzy, do uszu audytorium doszły zdania wypielęgowane, pełne higienicznej zadumy nad losem człowieka: *Odmykanie powiek — czytał mój przełożony — odmykanie trumiennego wieku; jeszcze nie wyciekł z nas sen; leżymy z zamkniętymi oczami, a już kładzie się na piersi kamień nowego dnia; i wciąż te same pytania cisną się natrętnie jak muchy zmarłemu do oczodołów: skąd i dokąd? Przez chwilę czujesz słodkawy zapach cmentarza od pokoleń dźwiganego w sobie; zmarli: zatruty płód; ta nieszczęsna planeta — siedziałem w pierwszym rzędzie i czułem jak baryton dr. Felixa nasiąka wonią eukaliptusowego cukierka — mogłaby wirować swobodniej, gdyby nie obciążono jej grobami; choćbyś potłukł zegar i podarł kalendarz, zbrodnia i tak się przedawnia...* — „Relatywizm moralny — zauważył szeptem brodacze Collins, kasjer naszego uzdrowiska. — *I don't like it*”. — „Wnikliwie!” — błyszczały oczy maszynistkom z wydziału administracyjnego, a mnie w czasie występów naczelnego lekarza olśniło odkrycie, że zwierzęta nie pisują ani prozą ani wierszem. Czyżby literatura była ceną, jaką człowiek, zdrajca przyrody, płaci za przejście z pierwotnej pozycji poziomej do pionowej? I nagle dziwnie bliski stał mi się pewien nieznamy przeciwnik mego szefa, ów krytyk literacki, który ostatni tomik rozważań dr. Felixa omówił w kilku nic nie znaczących zdaniach, i to w recenzji zbiorowej, za jednym zamachem oceniającej tuzin najrozmaitszych autorów. — „Ohyda — irytował się Felix — barbarzyństwo przypominające zbiorowy ślub dwustu par w jednym kościele lub chowanie zmarłych we wspólnej mogile; każdy ma prawo do własnego ślubu, własnego pogrzebu i własnej recenzji”.

Wspominam o tym szczególe, by podkreślić, że lekarzowi stojącemu na czele placówki o tak niezwykłych zadaniach jak nasza, nie wolno rozpraszać swych wysiłków na sprawy nie związane z zawodem, który, bądź co bądź, powinien być powołaniem. Zresztą nie kto inny a właśnie sam dr Felix przywitał mnie na progu Clifton Park wzniosłym zdaniem: — „Życie ludzi niszczy, a my ich odbudowujemy, od fundamentu aż

po dach!” — „Ja też jestem lekarzem — powiedział kiedyś stryj Henryk — nasz urząd leczy rany. Jakie to bolesne, że śmiertelność wśród byłych więźniów jest czterokrotnie większa niż wśród ludzi, którzy nie przeszli przez obozy”. Ach, gdybyś mu w tym momencie puder zdmuchnął z twarzy i przyjrzał się okrągłej buźce pod światło, dostrzegł byś na czole samarytanina znamię niezmywalne: brunatne cętki w kształcie mikrowswastyk!

Jeszcze kilka nocy, spędzonych na rozmyślaniu nad niezwykłościami otaczającego nas świata, a te dwie twarze (dwie? może cztery? może więcej?) nałożą się na siebie; wybije godzina sobowtorów, koloński rzeczoznawca od odszkodowań i tutejszy ekspert od melancholii staną się jedną osobą; ale jeszcze prom nie zerwany, teksty ról się nie mieszają, charakterystator nie myli szminek; na razie widzę przed sobą rozdygotane ręce zakrystianina, którymi przytyka do swoich oczu umyślnie zapomniany przeze mnie w altanie egzemplarz tygodnika *Christ und Welt*. Przez szczelinę w desce podpatrywałem starucha z ciekawością chłopca, który wrzucił rybie muchę do akwarium. Ileż podobnych papierków lakmusowych zużyłem do wykrycia składu chemicznego sędziwego łotra nad łotrami, by w końcu usłyszeć z ust mego szefa i łaskawcy werdykt nieoczekiwany: „Zaszczuł pan niewinnego człowieka!”

Wspomniałem już, że „rycerski przeciwnik” (uśmieszek na lisiej twarzy, badawcze spojrzenie spod binokli) podsunął mi myśl wyjazdu na święta. Ciekawe dlaczego? Nagle uprzytomniłem sobie, że wraz ze stryjem Henrykiem może być w zмовie z tajemniczym zakrystianinem; oni już dobrze wiedzą kim jest świętobliwy gagatek; ślepy by przejrzał tę grę; ktoś (domyślam się kto) rad by uśpić moją czujność, wyprowadzić mnie w pole, przyjść Santusowi z pomocą, ostrzec go przed niebezpieczeństwem, przygotować ucieczkę, zmylić pogoń, wywłaszczyć mnie z odkrycia, ukraść mi palmę pierwszeństwa, a w końcu wmówić mi obsesję, monomanię, białe myszki bez kropli alkoholu.

Albo taka, na pozór niewinna, intryga ukuta przy pomocy tępego narzędzia w postaci kasjera! Mr. Collins (nawet lubię tego pogodnego brodacza ze skórą wszytą w rękawy marynarki, by się łokcie nie przetarły na biurku) ostrzegł mnie „życzliwie” (oni wszyscy są tutaj dla mnie aż za bardzo życzliwi, i to mnie męczy ponad wytrzymałość!), że jeśli nie przestanę się dopatrywać w bliźnich przyczajonych przestępców, nabawię się jeszcze... manii prześladowczej! Trudno tę „dobrą radę”, z pewnością podsuniętą kasjerowi przez dr. Felixa, nie nazwać szan-

tażem. — „Podajemy panu rękę, Herr Teichmann — powiedział brodaczy przy *cup of tea* — a pan od razu łapie za szkło powiększające, by ucieszyć podejrzliwe oko śladami ospy; i zaraz woła pan z triumfem: „Trąd!”; pomyślałby kto, że nieprzyjemne odkrycia stają się dla pana duchowym chlorofilem; ale zrozumieć, to wybaczyć; więc rozumiem: motywy poszukiwań są szlachetne; nadwrażliwość bierze się z poczucia winy i chęci zadośćuczynienia; mimo to, młody moralisto, czy wolno przesadzać? Kto chce naprawiać krzywdy, wyrządzone przez złoczyńców, ten się w pewnym sensie poczuwa do wspólnoty ze złoczyńcami; cóż może pana łączyć z tamtymi opryszkami?” — „Ależ oni występowali także i w moim imieniu, mówili moim językiem, wyrosli z tej samej ziemi — niepotrzebnie wdałem się w jeszcze jeden dialog ślepego z głuchym — więc jestem za nich współodpowiedzialny!” — „*Rubbish!* — odparł kasjer — przecież nie pan, młody człowieku, udzielał im mandatu; rację ma doktor Felix, gdy wypowiada się przeciwko odpowiedzialności zbiorowej; owszem — można mówić o zbiorowym poczuciu wstydu, ale to zupełnie co innego...” — „Nie mówmy o Felixie — przerwałem nieuprzejmie — znam ciekawsze tematy!” — „Doszło już do tego — westchnął Mr. Collins — że nawet humanitarysta Felix, Żyd z Budapesztu, człowiek który całą rodzinę stracił w czasie wojny, jawi się panu w mundurze gestapowca!” Ach, mógłbym pocziwemu Anglikowi otworzyć oczy na humanitarystę roztaczającego opiekuńcze skrzydła nad zbrodniarzem w ministranckiej komży, ale cóż on, człowiek z innego gwiazdozbioru, wie o tych sprawach? Łaskawy ton naczelnego lekarza, przyjazne poklepywanie mnie po ramieniu ani naiwne pośrednictwo Mr. Collinsa nie rozbroją mnie tak łatwo; mam swój pogląd na myśliciela w kitlu, krzepiącego pacjentów maksymami w rodzaju: „Śmierci bać się nie trzeba, skoro i tak połowę życia spędzamy we śnie”; wiem też co sądzić o kulturze umysłowej człowieka, który swoją suczkę nazwał „Klitajmnestra”; ale to drobiazg w porównaniu z myślą, jaka od dłuższego czasu, zwłaszcza nad ranem, nie daje mi spokoju: że każdy z nas mógłby być kim innym, gdyby nie był sobą, że może jest już kim innym lub będzie nim za kilka minut; czym jest nasze „ego” jeśli nie fikcją gramatyczną” — mawiał mój stryj; więc może to właśnie ja jestem zakłamanym stryjem Henrykiem, diabłem Santusem, kabotyńcem Felixem, obrotnym cierpiętnikiem z Buchenwaldu, zacnym Mr. Collinsem, a nie zapadającym się powoli w lotnym piasku Hansjakobem Teichmannem? Cóż, poza przypadkiem, wyznaczyło granicę między mną a nie-mną? „Ludzie są jak klocki do zabawy

lub kamyki w mozaice — łaśli się wtedy, we Włoszech, ów pomysłowy petent do mojego stryja — dadzą się wymienić; mogło się być, na przykład, zdarzyć, że moja matka, zamiast za Polaka, wyszłaby za Niemca, a pańska matka za Polaka; a wtedy, kto wie, może to ja bym był strażnikiem w obozie, a pan moim jeńcem? Loteryjka, *Herr Oberregierungsrat*, loteryjka”.

Krążę nad swoim odkryciem jak jastrząb nad upatrzoną ofiarą, umyślnie odwlekam moment nazwania rzeczy po imieniu, chronię się w dygresję, chowam za marginesowy zapissek, ale dłużej już milczeć nie mogę. Człowiek na którego w „pawilonie dla zasępionych” (ach, te taniutkie eufemizmy dr. Felixa!) wołano Santus, istotnie miał w sobie coś z jarmarcznego oleodruku. Ujrawszy go po raz pierwszy (właśnie odkurzał w kaplicy posąg Matki Boskiej miotką z kogucich piór), pomyślałem sobie, że handlarze dewocjonaliami z biegiem lat upodobniają się do sprzedawanego przez siebie kiczu. Z lekka przygarbiony, w płócienniej czapce z celofanowym daszkiem, hodował herbaciane róże w prywatnym ogródku naczelnego lekarza. Dyrygując niewidzialną orkiestrą, spacerował między klonami w parku. A kiedy na progu kaplicy wygrzewał się w skąnym, zimowym słońcu i rozdygotaną dłonią skubał siwą sierść na rozchełstanej piersi, już nie kojarzył mi się z zakrystianinem, ogrodnikiem, czy emerytowanym listonoszem: przypominał zmęczonego polowaniem legawca. O, miał się czym zmęczyć: był czas, że nie próżnował! W kartotece figuruje jako Kowalski (depresja, stany lękowe). Ostatniego dnia wojny, jak mnie poinformował kasjer Collins, miano go, silnie poparzonego, w kombinie królewskiego lotnictwa brytyjskiego wyłowić z morza w pobliżu Isle of Wight; medalion rozpoznawczy przepadł bez śladu; tylko różaniec znaleziono w kieszeni i pięciolistną koniczynekę z bursztynu; a rabin Davidson, który też leżał przez jakiś czas w lazarecie pod Hastings, miał rozbitka rozpoznać bez trudu: — „Mam wrażenie — zawołał — że gdzieś już widziałem tego człowieka! To z pewnością major Kowalski!”

A może to tylko plotka, nieodłączna towarzysząca szpitalnej nudy, jak utrzymuje wiecznie wyrozumiały dr Felix? Nic podobnego! Kasjer Collins nie jest sensatem ani mitomanem, a przeszłość naszych podopiecznych z reguły była barwna i burzliwa; w samym tylko baraku „Jutro będzie lepiej” można znaleźć kilkanaście życiorysów-scenariuszów filmowych. — „Abstrahując od moralnej oceny tamtego okresu — rzeczy nieraz stryj Henryk — czasy były naprawdę ciekawe: czuło się łopot historii”. Nie mam, niestety, dostępu do aktów personalnych zakrystianina; wiem jednak z wiarogodnego źródła, że domniemany bohater przestwo-

rzy (czy przypadkiem nie był za stary na walczącego Ikara?) początkowo uchodził za niemowę; ktoś (czy nie sam Felix? warto by kiedyś wyświecić tę zagadkę) zanotował czerwonym ołówkiem „paraliż strun głosowych”; dopiero od kilku lat Santus coś tam mamrocze w swym *pidgin English* i w komży ministranta wyśpiewuje zachrypnięte *Deo gratias*.

Pewnie bym nigdy nie zwrócił uwagi na starego dziwaka, gdyby nie przypadkowe odkrycie, że ów Santus vel Kowalski jest moim... rodakiem, a więc, o zgrozo, należy do naszej „niemieckiej wspólnoty”. Zawijasy w rodzaju „więź plemienna”, instynkt narodowy”, „jesteśmy jednej krwi”, „stanowimy jedną wielką rodzinę”, czego mój stryj nigdy nie zrozumie, nie tylko napawają mnie lękiem, ale i budzą we mnie wstręt. Jak się to zaczęło? Któregoś wieczora Santus, potknąwszy się o butlę, zawołał po niemiecku *Scheisse*, i tak się to wszystko zaczęło. Tknięty złym przeczuciem, z miejsca zasięgnąłem porady językoznawców, (bo i tacy się u nas leczą), czy inne narody europejskie mogły od Niemców przejąć to słowo; okazuje się, że mogły; Europa nie jest okrętem o komorach wodoszczelnych; zwłaszcza na wschodzie, na Pomorzu i na Górnym Śląsku, pod wpływem półtora-wiecznego promieniowania naszej kultury rzeczownik *die Scheisse* uległ spolszczeniu na „szajsę”; innymi słowy: nawet rdzenny Polak, major Kowalski, w przypiływie gniewu mógł się posłużyć językiem zachodniego sąsiada. Filologiczna nić Ariadny pękła. Mimo to postanowiłem zakrystiania nie spuszczać z oka.

Podjejrliwym szczęście sprzyja: w niespełna tydzień później, wczesnym rankiem, na dwie godziny przed eksplozją budzika, posłyszałem strzępy starczego śpiewu; przez sen słyszę nieraz lepiej niż na jawie. Ubrałem się w pośpiechu i pobiegłem w stronę altany; za przepierzeniem z falistej blachy Santus vel Kowalski nucił, coś za odkrycie, po niemiecku! Przyłożyłem ucho do ściany, by nie uronić zachrypniętych dźwięków. Łapiąc oddech między słowami, staruch teutońskie wyśpiewywał godzinki: *Ein treues Herz dem Heimatlande, gen Feindes-
trug ein Heldenschwert! So klingt der Schwur am Donaustran-
de, so ist's des Fürstenstammes wert!...*

Tuś mi, jagniątko! Symulant zdemaskowany! Mamy cię w rękę, „panie Kowalski”: zdradziła cię fanfara, patriotyczny kicz naddunajski, atawizm ogródkowego karła. Żywy upiór błysnął spróchniałym kłębem spod torfu. Koszmarne wykopalisko, ale i ulga niewymowna, że ten wąż oślizgły, co od lat synów Laokoona dławi w uścisku, zaraz legnie, mieczem przepołowiony, Trzeba działać! Szybko i bezlitośnie. Ująć go, związać, egzor-

cyzmować, odstawić do miasta, w smole wykąpać, kijem zatłuc na miejscu, kołkiem mu plecy przebić, żywcem do pieca wrzucić, kopyto mu odrąbać, by czarnego śladu nie wypalił na kościelnej posadzce. Nie! Pod sąd go oddać! Czas wypłuć żabę od dawna w gardle uwięzłą, i nazwać go wreszcie po imieniu! Cóż kiedy słowo przekłętę w ostatniej chwili w ustach się przewraca! „To... R e l t i h!” — zawołałem.

Czym prędzej zwierzyłem się doktorowi Felixowi ze swego odkrycia, ale zbył mnie ironicznym błyskiem oka spod binokli, uśmiechnął się z niedowierzaniem, wzruszył ramionami. Na próżno wyjaśniałem mu, zadyszany, że wiek się zgadza, kolor oczu, kształt czaszki i nosa, głos łatwy do spamiętania, jeszcze dzisiaj rozbrzmiewający na płytach... To on! To on!

— „Wolne żarty — oblał mnie zimną wodą — mieliśmy tu już takich pięciu czy sześciu, panie kolego”. Słowo „kolega” wymówił tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że nie uważa mnie za swego kolegę, lecz za obce ciało w zespole; i chociaż do lisiego pyszczka przykleił uśmiech stewardessy, w odezwanie tym odczułem naganę dla mojej gorliwości; za granicą dość chętnie pomawia się Niemców o przesadną obowiązkowość wobec zwierzchników, zwłaszcza obcych. — „Ależ ten pseudozakrystianin w przystępie dobrego humoru bije się dłonią po udzie — tłumaczyłem Felixowi z rosnącym zniecierpliwieniem — znamy ten ruch ze starych kronik filmowych. I niechaj nas przypadkiem nie wprowadza w błąd kantata na cześć rodu *Thurn und Taxis*, to maskarada. Santus wcale nie wywodzi się z Ratysbony. Trzeba być ślepcem, żeby nie widzieć, że to w ogóle nie jest Santus ani Ikar Kowalski!” — „Założmy nawet, że dokumenty się pomyliły, historiografia zawiodła, i że nasz zacny major rzeczywiście jest tym diabeł wcielonym za jakiego go pan bierze. — pogłodził mnie Felix po rękawie (nienawidzę tego gestu!) — zastanówmy się: cóż świata po odkryciu, które niczego nie zmienia? — „Niech mu się pan dobrze przyjrzy — upierałem się przy swoim — te worki pod oczami, dawniej retuszowane na znaczkach pocztowych! I ręce, z przyzwyczajenia skrzyżowane na podbrzuszu.

Wszystko na nic. Naczelny lekarz zlekceważył sobie moje odkrycie, widząc w nim pogoń za sensacją lub zwykłe przywidzenie niewyspanego. — „Fantazja, młody człowieku — przetarł binokle w irchową szmateczkę — a może zmęczenie, w każdym razie nie rewelacja, lecz niewypał, gazeciarski potwór z Loch Ness. Ale ja się na pana nie gniewam, każdy z nas ugina się pod jakimś niewidocznym ciężarem, mociuje się ze światem jak może, a już wam, młodym Niemcom, spadkobiercom mimo wo-

li, na pewno niełatwo wydobyć się z ciemnicy przeszłości...” — „Nie jestem Niemcem! — zawołałem, wzburzony (jeszcze dzisiaj wstydzę się tego kiksa) — jestem... nieszczęśliwym człowiekiem!” — „Ale doktor Felix nie przyjął mego niemieckiego wybuchu do wiadomości. — „Santus, nasz zacny i zasłużony Santus — ciągnął spokojnie dalej, przy czym nienaturalnym spokojem umyślnie podkreślał, że przyzwyczajony jest do złego wychowania swych rozmówców — to święty człowiek, wierzcie mi, to baranek z masła, aniołek z cukru; i ja go nie spuszcza z oka: aureola siwego puchu upodobnia go do ewangelisty z obrazu Dürera, co piątek leży krzyżem w kaplicy, co niedzielę przystępuje do sakramentów, gołębie karmi bułeczką, ślimaka nie przydepcie na ścieżce; wiem, wiem, jest aż za wyraźny w swej typowości, wybredny obserwator nie lubi stereotypów, ale te akcesoria są prawdziwe; możecie pociągnąć za brodę, nie odklei się; ja znam tego człowieka i ręczę za niego; dajcie mu spokój, kolego!”

Nie, nie dałem mu spokoju. Jeszcze tej samej nocy, czego się bynajmniej nie wstydzę, wywlokłem go z łóżka. Próbował się szamotać w obłoku nocnej koszuli. Coś tam krzyczał, już nie pamiętam w jakim języku, zresztą to już nieważne. Pamiętam jeszcze, że złapałem go za szkaplerz, a może wysmagałem znalezionym pod poduszką różańcem, szklany groch rozsypał się po podłodze; nie zważając na latające ze strachu oczka, przycisnąłem go kolanem do ściany baraku. — „Gadaj, jak się nazywasz! Przyznaj się, łotrze, kim jesteś!”

Co się dalej stało, nie wiem. W pewnej chwili przeraził mnie własny dyszkant: — „Podnieś ramię w górę, stryju od odszkodowań — krzyczałem — i powtarzaj za mną: *Sieg heil! Sieg heil! Sieg heil!*”

— „Biedny staruszek — próbowano mnie później wziąć na współzucie — przeraził się nocnej napaści, stracił głowę, uciekł za żywopłot. Bez pieniędzy, bez papierów, bez ciepłej bielizny. Policja helikopterami przeszukuje całe hrabstwo. Jeśli się nie odnajdzie, będzie go pan miał na sumieniu”.

Proszę bardzo: będę go miał na sumieniu. Odwróćcie role, zróbcie z niego ofiarę a ze mnie prześladowcę; przenieście mnie na jego pawilon; przywłaszczcie sobie moją tożsamość; sam już chwilami nie wiem kim jestem; mówcie o moim odkryciu na głos lub je przemilczcie; ja i tak wiem, że on żyje.

Chciałbym jeszcze dodać, że od tamtej sceny, potrzebnej jak burza przeczyszczająca powietrze, niejedno się wyjaśniło: spostrzegłem, że człowiek, chociaż kameleon, z natury swej nie jest wymienny, maski nie nakładają się na siebie, i tak cudownie na-

wrócony stryj Henryk jest cudownie nawróconym stryjem Henrykiem, pobłażliwie uśmiechnięty doktor Felix jest pobłażliwie uśmiechniętym doktorem Felixem, pomysłowy męczennik z Buchenwaldu jest pomysłowym męczennikiem z Buchenwaldu, a ja, Hansjakob Teichmann, który nie chciałem z tym wszystkim mieć nic wspólnego, znowu jestem Hansjakobem Teichmannem, a więc pomyślniej, doprawdy, skończyć się nie mogło, ale czy to prawda?

Tadeusz NOWAKOWSKI

MORELOWSKI JAN

SĘDZIA ZA KRATAMI

Wspomnienia z lat 1939-1942

Przedmowę napisał

Józef WITTLIN

Cena książki wynosi \$ 2.50, z przesyłką \$ 2.70.

Główny skład książki:

KSIEGARNIA POLISH BOOK IMPORTING Co.,
156, Fifth Ave., New York City.

**OSTATNIE
WIADOMOŚCI**

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Archiwum polityczne

Upadek Chruszczowa

Wewnętrzno-polityczne skutki usunięcia Chruszczowa

16 października rb. prasa sowiecka zaskoczyła cały świat wiadomością o upadku Chruszczowa. Bez podziękowania, bez jakiegokolwiek uznania jego zasług wobec państwa sowieckiego i komunizmu, Chruszczow — rzekomo ze względów zdrowotnych — musiał ustąpić stanowisko pierwszego sekretarza KC KPZS 58-letniemu Leonidowi Breżniewowi zaś stanowisko przewodniczącego Rady Ministrów 60-letniemu Leonidowi Kosyginowi. Zanim zajmę się tymi ważnymi nie tylko dla Związku Sowieckiego sprawami, spróbuję odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: jakie siły współdziałały w Związku Sowieckim i w całym sowieckim społeczeństwie, aby spowodować upadek Chruszczowa, przeprowadzony w sposób tak zaskakujący.

W Związku Sowieckim istnieją w dalszym ciągu silne grupy stalinowskie względnie neo-stalinowskie. Znaczenie tych grup jest na Zachodzie często niedoceniane. Spotykamy je nie tylko w niektórych komórkach aparatu partyjnego, ale także w Akademii Nauk, w redakcjach czasopism literackich, w szkołach i w niektórych organizacjach społecznych. Wrogie nastawienie tych grup w stosunku do Chruszczowa i do wszystkiego tego, co się określa mianem chruszczowizmu, było oczywiste. Z drugiej strony w Związku Sowieckim działają znaczne siły rewizjonistyczne, które w zakresie destalinizacji i zmian w sowieckim systemie idą dalej niż Chruszczow. Ponadto, silne grupy technokratów i gospodarczych menedżerów od lat starają się uwolnić gospodarkę od dyktatu aparatu partyjnego i zmodernizować „socjalistyczne kierownictwo” na zasadzie współczesnych naukowo-technicznych osiągnięć. Czy siły te brały udział w upadku Chruszczowa?

Trzeba temu wyraźnie zaprzeczyć. Upadek Chruszczowa został spowodowany wyłącznie przez jego współpracowników i wieloletnich przyjaciół.

Narastająca izolacja Chruszczowa

Generalny sekretarz KP Finlandii, Ville Pessi, zazwyczaj dobrze poinformowany o tym co się dzieje na Kremlu, oświadczył 17 października rb. że ma wrażenie iż Chruszczow był ostatnio „bardzo często izolowany”. Narastającą niechęć do Chruszczowa wewnątrz aparatu partyjnego można było zauważyć od 1962 r. Gdy w tymże roku Chruszczow ogłosił reformę aparatu partyjnego, popadł w otwarty konflikt z całym legionem rejonowych sekretarzy partyjnych. Zapoczątkowana w tymże 1962 roku reforma rolnictwa napotkała na opór wielu rolniczych technokratów, a przede wszystkim przewodniczących kołchozów i sowchozów. Kampania Chruszczowa przeciwko istniejącemu systemowi „trawo-polnemu” zmobilizowała przeciwko niemu zarówno sowieckich agronomów jak i znaczną część naukowców z dziedziny rolnictwa. Kampania przeciwko literatom spowodowała na przełomie 1962/1963 utworzenie się przeciwko niemu zwartego frontu młodych pisarzy i artystów. Nieprzemyślane i prymitywne oświadczenia na temat antysemityzmu w Związku Sowieckim wzmocniły istniejącą nieufność sowieckich Żydów i tych postępowych kół społeczeństwa, które antysemityzm uważają za przestępstwo i żądają jego bezwzględnego wykorzenia. Chruszczow ponadto krytykował stale różne instytucje i urzędy administracyjno-gospodarcze.

Po okresie decentralizacji (poczynając od reformy z 1958 r.) przerzucił się do super-centralizmu (reformy z 1963 r.). Utworzył nową centralę polityki gospodarczej — Najwyższą Radę Gospodarczą Związku Sowieckiego — ze specjalistą od spraw zbrojeniowych, Ustinowem, na czele. Rozczarowało to wielu myślących postępowo techników i menadżerów gospodarczych.

Powody można by wyliczać dalej, ale wydaje się, że niechęć do Chruszczowa wewnątrz sowieckiej elity biurokratyczno-partyjnej wypływała przede wszystkim z 3 powodów.

1) *Konflikt pomiędzy Chruszczowem a kierownictwem KP Ukrainy.* W całej ostrości zaistniał on w końcu 1961 roku, kiedy to Chruszczow próbował zdyskredytować przy pomocy różnych nieuczciwych chwytów Podgórnego, ówczesnego sekretarza ukraińskiej partii. Postawił mu szereg nieuzasadnionych zarzutów a nawet nazwał go oszustem. Jednakże próba likwidacji Podgórnego na Ukrainie nie udała się. Gdy w czerwcu 1963 r. Podgórny awansował na sekretarza KC KPZS Chruszczow na pewno nie pozyskał sobie w centrali partyjnej nowego przyjaciela, przeciwnie musiał poczynić pewne ustępstwa na rzecz kierownictwa Ukraińskiej KP.

2) *Konflikt Chruszczowa z KC Sowieckiej Federalnej Rep. Rosyjskiej.* Konflikt ten był następnym krokiem do jego upadku. Centralną osobą w tym zatargu był G.I. Woronow, przewodniczący Rady Ministrów RSFSR, a jednocześnie pierwszy zastępca przewodniczącego biura KC KPZS dla spraw RSFSR. Woronow jest wykwalifikowanym specjalistą rolnym i wielu ekspertów uważało że jego fachowe kwalifikacje znacznie przewyższają kwalifikacje Chruszczowa. O konflikcie pomiędzy Woronowem a Chruszczowem kursowały różne plotki już w końcu 1963 r. Jest faktem, że już w kwietniu tegoż roku Chruszczow próbował Woronowa zlikwidować. Organy kontroli partyjnej zorganizowały na terenie Orenburga czystkę, w wyniku której W.A. Szurygin, jeden z najbliższych współpracowników Woronowa, został usunięty ze stanowiska 1-go sekretarza Okr. Komitetu Partyjnego w Orenburgu dla spraw rolnictwa. Należy nadmienić, że sam Woronow był w 1961 r. pierwszym sekretarzem okręgowym w Orenburgu. Szczytowym punktem ataku Chruszczowa było wykrucie w Orenburgu rzekomego skandalu z Sz.Sz. Chajrulinem, dyrektorem Naukowego Instytutu Badawczego Gospodarki Hodowlanej w Orenburgu. Chajrulina, szkolnego kolegę Woronowa, uznano za hochsztaplera, naukowego dyletanta, człowieka pozbawionego zasad moralnych i td. (według sprawozdania w „Prawdzie” z 3 maja 1964). Wszystko wskazywało wówczas na to, że następny atak będzie skierowany przeciwko Woronowowi. Jednakże do upadku Woronowa nie doszło, gdyż poparł go cały rząd Republiki Rosyjskiej i wielu członków biura KC KPZS dla spraw RSFSR.

3) *Konflikty między Chruszczowem i Komitetem do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego-KGB* stanowiły, jak się wydaje, również poważny element w zaostrzeniu i tak niezdrowej atmosfery w Prezydium KC KPZS i całej moskiewskiej centrali partyjnej.

Znany zamach iperytowy na pracownika niemieckiej ambasy, Schwirkinanna, rzuca pewne światło na tę sprawę. Że Chruszczow był niezadowolony z szefa KGB — Semiczastnego, świadczy o tym awans jednego z najbardziej zaufanych współpracowników Chruszczowa, N.S. Zacharowa, na pierwszego zastępcę przewodniczącego Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Państwowego, zaraz po wspomnianym zamachu („Prawda” z 2 października br.) Chodzi tu o oficera bezpieczeństwa, średniego pokolenia, który był ściśle związany z Chruszczowem, choćby już z tego powodu, że organizował osobiste bezpieczeństwo Chruszczowa w czasie jego wyjazdów zagranicznych. Jak wiadomo, Chruszczow chciał zneutralizować sprawę Schwirkmanna pewnymi ustępstwami na rzecz Bonn i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Semiczastnego, jako odpowiedzialnego za zamach, wybrano na kozła ofiarnego. Ale przez to posunięcie stracił Chruszczow oparcie w KGB i wywołał tam niezadowolenie i opozycję.

Wprowadzony przez Chruszczowa w ostatnim czasie styl pracy stworzył ponadto niezdolną atmosferę w kierownictwie KPZS. Według informacji z prywatnych źródeł, Chruszczow w ostatnich czasach nie potrafił załatwiać dostatecznie szybko bieżących spraw, a nawet w pewnym sensie swoimi długimi i nierzeczowymi przemówieniami torpedował posiedzenia, zwoływane dla rozstrzygnięcia najpilniejszych zagadnień. Jego próżność i częste naruszanie zasady kolegialności spowodowały, że nawet jego najbliższy współpracownik, Mikojan, zwrócił się przeciwko niemu. Oficjalne sprawozdania potwierdzają niezwykajny styl pracy Chruszczowa. Wynika z nich, na przykład, że w pierwszej połowie rb., tj. od 1 stycznia do 30 czerwca 1964 r. Chruszczow wygłosił 87 wielkich przemówień. Już ten sam fakt charakteryzuje atmosferę jaką wytwarzał wokół siebie, a która uniemożliwiała rzeczową współpracę. W moskiewskiej elicie partyjnej panuje przekonanie, że ta chorobliwa skłonność do przewlekłych przemówień jest niebezpieczną oznaką starczej sklerozy i że usunięcie Chruszczowa leżało w bezpośrednim interesie partii.

Niezdolny styl pracy Chruszczowa wpłynął także niekorzystnie na stosunki sowiecko-chińskie. Należy zaznaczyć, że gwałtowne zaostrzenie się tych stosunków w dniu 14 października rb., w większym stopniu jest może wynikiem tego właśnie stylu pracy niż różnicy poglądów na podstawowe problemy, istniejące między Pekinem a Moskwą. Opublikowanie memorandum Togliattiego miało bardzo poważne znaczenie. Kierownictwo sowieckie po raz pierwszy zdało sobie jasno sprawę z tego, że KPZS jest w dużym stopniu izolowana we własnym obozie. Nie ma wątpliwości, że stanowisko włoskich komunistów z ich świadomym dążeniem do rewizji marksizmu-leninizmu jest przeciwieństwem stanowiska chińskiego. Krytyka włoskiej KP w stosunku do sowieckiego kierownictwa nie dotyczy podstawowych zasad teoretycznych i nie jest wyrazem sympatii dla Pekinu; świadczy ona wyłącznie o krytycznym nastawieniu włoskich komunistów do nietolerancyjnej i pełnej sprzeczności postawy Chruszczowa, która ten konflikt zaostrzyła.

Należy rozróżnić dwa odmienne aspekty konfliktu sowiecko-chińskiego: *po pierwsze* zaostrzenie różnic ideologicznych i powstanie przepaści nie do przebycia pomiędzy dwoma systemami dążącymi do panowania nad światem i *po drugie* — demagogiczne wypadki i kłopotliwie obrażający żargon Chruszczowa, którym zatruł on atmosferę wielkiej polemiki.

Im bardziej zbliżał się termin wyznaczonej na grudzień konferencji przygotowawczej dla zwołania międzynarodowego Zjazdu wszystkich partii komunistycznych, tym bardziej, w świetle memorandum Togliattiego, stawało się oczywiste dla kierownictwa sowieckiego, że istniejący styl pracy politycznej musi być zmieniony. Chruszczow nie jest wyłącznie odpowiedzialny za za-

ostrzenie się ideologicznego konfliktu z Pekinem, ale to Chruszczow wpłynął na drastyczne formy tego konfliktu.

Czy współczesnym państwem może rządzić „kucharka”?

Upadku Chruszczowa nie można tłumaczyć wyłącznie „sprzysiężeniem” w jego najbliższym otoczeniu. Gdy w kwietniu br. obchodzono 70-lecie Chruszczowa nazwałem go w jednym z moich artykułów „przejściowym papieżem sowieckiego komunizmu”. W przejściowych okresach historycznych grają zwykle rolę dwa fakторы: z jednej strony ustalanie warunków, które odróżniają daną epokę od poprzedniej, z drugiej zaś zastanawianie się nad tym do czego może okres przejściowy doprowadzić. Zajęcie przez Chruszczowa czołowego stanowiska w Związku Sowieckim można tylko częściowo wytłumaczyć sobie jego osobistymi kwalifikacjami i zręcznością w walce o władzę. Jak zawsze w takich wypadkach, ważniejsze jest społeczne tło przemian. Na przykład Malenkov był znacznie bardziej przebiegłym i doświadczonym aparatchikiem niż Chruszczow, a Mołotow był o wiele bardziej znany i popularny. Tym niemniej ani oni, ani wielu innych nie mogło wysunąć się na czoło w tamtym okresie, gdyż w międzyczasie zmienił się w Związku Sowieckim społeczny układ stosunków, do którego nie potrafili się oni dostosować.

Zamiast autorytawnego, dyktatorskiego systemu, w którym biurokracja grała tylko rolę kierowanego z góry instrumentu, wyłania się w Związku Sowieckim panowanie „oświeconej biurokracji” partyjnej. *Korzenie tych przemian tkwią w niezwykle skomplikowanym stosunku sowieckich komunistów do zagadnień nowoczesnego świata.* Już od roku 1953 zaczęli oni pojmować, z każdym rokiem więcej, że prawne zabezpieczenie ich panowania w sowieckim społeczeństwie musi być przeprowadzone w innym układzie, niż to miało miejsce za czasów Lenina, a w szczególności za czasów Stalina. Budowa komunizmu w jednym kraju i to w dodatku w krótkim czasie, oznacza, biorąc formalnie, rozwinięcie tezy Lenina o pogłębianiu wewnętrznej rewolucji od góry. Chruszczow jednakże był pierwszym sowieckim przywódcą, który powiedział bardzo dobitnie: chodzi nie o ideały, które w dalekiej przyszłości mają być osiągnięte, ale o wyraźną poprawę bytu *obecnego* sowieckiego pokolenia. Chruszczowowi udało się w wielu wypadkach usunąć przerosty stalinizmu oraz poprzez szereg poważnych, aczkolwiek niezawsze konsekwentnych, reform poprawić system sowiecki. Jak się chwalił, przeprowadził te zmiany bez zbystniego urażenia inaczej myślących biurokratów partyjnych. Jednocześnie uległy zmianie metody rządzenia biurokracji partyjnej. Zmiany te nie miały jednakże charakteru konsekwentnego ale przebiegały zygzakowato. Bardzo często sam Chruszczow przekreślał to, co dopiero niedawno stworzył. Taki przebieg wypad-

ków potwierdza wyraźnie fakt, że w roku 1953 wśród postalinowskich przywódców sowieckich nie było nikogo kto by bardziej niż Chruszczow nadawał się do przeprowadzenia możliwie „bezbolesnej operacji”. W tym pierwszym okresie przejściowym wady i słabości Chruszczowa wydawały się jego zaletami.

Przemiany społeczne są jednak procesem, który tylko w pewnym stopniu zależy od subiektywnych elementów, do których można zaliczyć posunięcia Chruszczowa. Śmierć Stalina nie wywołała — jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — przejścia władzy przez oświeconą biurokrację. Wypadki w Związku Sowieckim zbiegają się w ostatnich czasach z wielką naukowo-techniczną rewolucją, która z każdym dniem coraz bardziej oddziałuje na nasz sposób myślenia. Terrorystyczny system rządów Stalina symbolizuje w pierwszym rzędzie panujące w naszym stuleciu barbarzyństwo. Gdyby system ten utrzymał się do dnia dzisiejszego, nie tylko popadłby w konflikt ze społeczeństwem, ale ponadto musiałby wywołać zacofanie w każdej dziedzinie. Chruszczow zrozumiał zmienioną sytuację i dlatego historyk musi go uważać nie tylko za inicjatora destalinizacji i reformatora sowieckiego systemu rządów, ale także za tego przywódcę sowieckiego, który zrobił wiele dla modernizacji nauki w Związku Sowieckim. Jemu zawdzięczają sowieccy naukowcy możliwość korzystania z międzynarodowej wymiany doświadczeń i współpracy w zakresie badań i techniki.

Z tego punktu widzenia interesujące jest spojrzenie wstecz na 10 lat panowania Chruszczowa. Tam gdzie Chruszczow usuwał przerosty systemu stalinowskiego, nawet jego „półśrodki” miały poważne znaczenie. Tam jednak, gdzie trzeba było rozwiązywać nowe problemy nowoczesnego społeczeństwa, jego improwizacje i półśrodki nie tylko nie dawały pozytywnych rezultatów, ale nawet wprowadzały chaos. Sam Chruszczow przekonywał się niejednokrotnie, że jego projekty które z początku zdawały się zapowiadać gwałtowne przemiany i poprawę, po krótkim czasie przewracają się jak domki z kart. Weźmy na przykład sytuację na odcinku rolnictwa: w latach 1953-1958 nastąpił wybitny wzrost produkcji rolnej, ale zaraz potem stagnacja, która przerodziła się w kryzys żywnościowy. Wprawdzie w 1964 r. liczy się na dobre zbiory zwłaszcza w Kazachstanie, gdzie zapowiadał się rekordowy urodzaj po wielu latach nieurodzaju, ale zwodnicze są informacje które te sukcesy produkcyjne przypisują działaniu różnych środków zaradczych, zastosowanych w rolnictwie sowieckim, jak na przykład lepsze płace, zmiany planu i tp. Nawet ostatnie posunięcia Chruszczowa, który włączył kołchoźników do systemu ubezpieczeń społecznych — co niewątpliwie uznać należy za najbardziej skuteczny z dotychczasowych środków zaradczych — nie mogło wywołać radykalnego wzrostu produkcji. Podobny kołowrotek można zaobserwować i w przemyśle w 1958 r. Chruszczow zdecydował decentralizację administracji gospodarczej. Utworzono

wówczas ponad sto Narodowych Rad Gospodarczych, rozwiązano wiele ministerstw branżowych i przez pewien okres głoszono pełne nadziei hasło: władze terenowe winny posiadać o wiele większe prawa do samodzielności i lokalnej inicjatywy. Wszystko to jednak, krok za krokiem, ulegało zmianie i poprzez reformę z 1963 r. nastąpił powrót do supercentralizmu.

Nie wchodząc w szczegóły, możemy stwierdzić na podstawie znanych faktów, że te niepowodzenia Chruszczowa jak również jego zatargi z wysokimi funkcjonariuszami, czy nawet całymi organizacjami partyjnymi, wywołały w stosunku do niego niechęć oświeconej biurokracji. Poniższy przykład ilustruje o jak bardzo poważne i delikatne chodziło problemy: na osobiste żądanie Chruszczowa wstawiono do nowego programu partyjnego bombastyczną deklarację, że w ciągu najbliższych 20 lat zostanie w Związku Sowieckim zbudowany komunizm. Jednakże sowiecko-ukraiński cybernetyk, prof. Hłuszkow, obliczył niedawno, że jeżeli dotychczasowy sowiecki system planowania i statystyki nie zostanie niezwłocznie zmodernizowany, zaś system informacji gospodarczej nie będzie wyposażony w nowoczesne urządzenia, to w 1980 r. reżym sowiecki dojdzie nie do komunizmu, ale do nieobliczalnej katastrofy; mianowicie cała ludność Związku Sowieckiego, z wyjątkiem niepełnoletnich, będzie musiała być zatrudniona w administracji. Komentarze są tu zbędne.

Być może, że sowieccy komuniści nie zdają sobie jeszcze jasno sprawy z tego jak całkowicie błędną jest jedna z głównych tez Lenina, która brzmi: problemy administracyjne współczesnego państwa będą się coraz bardziej upraszczać, wiele jego skomplikowanych funkcji przejmą organizacje społeczne, a prowadzenie spraw państwowych stanie się tak proste, że — jak to napisał Lenin dosłownie — nawet kucharka będzie mogła pełnić urząd prezydenta. Naturalnie nie można Chruszczowa porównywać z kucharką, ale w pewnym sensie odpowiadał on uproszczeniu Lenina o szefie rządu. Cynicy mają częściowo rację twierdząc, że najprawdopodobniej po raz ostatni w historii sowieckiej zaszedł fakt, że stanowisko szefa rządu zajmował ktoś, komu brakowało gruntownego wykształcenia akademickiego, a który chłopskim rozumem usiłował nadrobić nieznaną skomplikowanych zagadnień nowoczesnej gospodarki, nauki i kultury, który jednym słowem był właśnie tą kucharką*).

Wewnętrzno-polityczne skutki upadku Chruszczowa

Przyszłość okaże jak będą się rozwijały nowe stosunki w

*) Dramatyczną ilustracją tej tezy jest Polska Ludowa, gdzie całe kierownictwo składa się z kucharek a brak „oświeconej” biurokracji partyjnej. Ilość ludzi z uniwersyteckim wykształceniem w kierownictwie partyjnym na wszystkich szczeblach jest znikoma. (Red.)

Związku Sowieckim. Już jednak w pierwszych 3 tygodniach po upadku Chruszczowa wystąpiły pewne symptomy, które zasługują na uwagę. Nowi gospodarze na Kremlu oświadczyli w „Prawdzie” z 17 października, że będą się trzymać linii wytyczonej na XX i XXII zjazdach Partii. Tak zwana pokojowa koegzystencja pozostaje nadal generalną linią sowieckiej polityki zagranicznej. W tym oświadczeniu mówi się o konieczności wzmocnienia przodującej roli partii „we wszystkich dziedzinach nauki i kultury”. Bez wymieniania Chruszczowa po imieniu, „Prawda” z 17 października dała do zrozumienia, że jego głównym błędem było właśnie naruszenie „leninowskiej zasady kolektywnego kierownictwa”. Już z tego pierwszego oświadczenia nowego sowieckiego kierownictwa zdaje się wypływać ważna wskazówka co do dalszego rozwoju sytuacji w Związku Sowieckim. Artykuł w „Prawdzie” potępia subiektywizm i nieliczenie się z pewnymi ekonomicznymi prawidłowościami oraz osiągnięciami nauki:

„Partia leninowska jest wrogiem każdego subiektywizmu... fantazjowanie, przedwczesne wyciąganie wniosków, pospieszne, oderwane od rzeczywistości decyzje i działania, samochwalstwo i pusta gadanina, skłonność do administrowania oraz ignorowanie osiągnięć naukowych i praktycznego doświadczenia są jej obce”.

Duże znaczenie należy przypisać mowie Kosygina, którą wygłosił w Moskwie, 19-go października, na uroczystej akademii ku czci trzech sowieckich astronautów. W mowie tej uzupełnił on kilkoma wyjaśnieniami artykuł „Prawdy” z 17 października. Partia, według Kosygina, chce nie tylko zdobywać przestworza, ale także chce się troszczyć o życie na ziemi, chce budować mieszkania, szkoły i td. Najważniejszym zadaniem partii jest „zapewnić stały wzrost standartu życiowego i dobrobytu narodu sowieckiego”. Szczególnie znamienne jest również następujące sformułowanie Kosygina:

„rozwiązanie tego zadania jest nie do pomyślenia bez stałego wzrostu produktywności pracy i nieustannego doskonalenia procesu pracy i naukowego kierownictwa całym życiem społecznym”.

Pierwsze reakcje sowieckich kół gospodarczych, zamieszczone w fachowych czasopismach, są utrzymane w tym samym tonie. „Ekonomiczeskaja Gazeta”, na przykład, komentowała w dniu 24 października br. w charakterystyczny sposób oświadczenia nowych przywódców; podkreślała ona przede wszystkim konieczność stosowania „pełnej rzeczowości” jako podstawy całej polityki gospodarczej. Znamienne są zachęty, ogłaszane już w pierwszych dniach po upadku Chruszczowa, pod adresem sowieckich technokratów i socjalistycznych menadżerów. Sowicka publicystyka jeszcze nigdy tak silnie nie podkreślała zna-

czenia nauki jako najwyższej instancji przy rozwiązywaniu skomplikowanych zagadnień społecznych i gospodarczych.

Jeszcze jedna interesująca cecha przemian wydarzeń w Związku Sowieckim godna jest podkreślenia. Po śmierci Stalina proklamowano powrót do „leninowskiej zasady kolektywnego kierownictwa”. Ostatnie wydarzenia przesuwają jednak ten problem na inny plan. Wszystko co Nowe i Postępowe związane jest w obecnej sytuacji z tym, że upadek Chruszczowa stworzył precedens który będzie obowiązywał jego następców.

Chruszczow był bardziej doświadczonym i bardziej popularnym przywódcą aniżeli Breżniew. Upadek spowodowany naruszeniem zasady kolektywnego kierownictwa oznacza, że wszyscy jego następcy muszą przestrzegać ustalonego dla nich zakresu władzy i stanowi wstępny warunek dalszej kariery dla nowych przywódców sowieckich.

Po raz pierwszy w nowej historii Związku Sowieckiego daje się zauważyć pewien postęp w demokratyzacji najwyższych instancji partyjnych. Bardzo charakterystyczna była reakcja tych instancji na zachowanie się Chruszczowa. Te niewątpliwie dramatyczne wydarzenia mają różne aspekty. Sposób i metody, przy pomocy których obalono Chruszczowa są bez wątpienia parodią zasad demokratycznych, ale został on obalony większością KC KPZS, które liczy 174 członków. Charakterystyczne jest również to, że kierownictwo partyjne zareagowało zgodnie wtedy kiedy uznało, że Chruszczow zagraża zbiorowej decyzji. Jest to ważne zarówno z punktu widzenia struktury i charakteru przyszłego kierownictwa partyjnego, jak również pod kątem rozwoju myśli politycznej w sowieckim społeczeństwie. Sam Chruszczow często propagował ograniczenie zakresu władzy przywódców na rzecz zasady kolegiałności i właśnie jego osobisty upadek okazał się konieczny, aby podkreślić wagę tej zasady: o stwierdzenie, że chodzi tutaj o sprawę, którą każdy sowiecki przywódca musi brać na serio.

Nowy układ sowieckiego kierownictwa

Na Zachodzie szeroko rozpowszechnia się wieści, że to złośliwy Susłow zainscenizował obalenie Chruszczowa i że jest on dzisiaj tzw. najsilniejszym człowiekiem w Związku Sowieckim. Jeżeli nawet jest prawdą, że Susłow wygłosił główny referat przeciwko Chruszczowowi na październikowym Plenum KC KPZS to jednak, te wnioski są fałszywe. Ileż to razy Susłow grał już rolę rzecznika linii partyjnej! Gdy Stalin usiłował zlikwidować wybitnego teoretyka gospodarczego, Wozniesińskiego, Susłow na łamach „Prawdy” i na licznych zebraniach w Moskwie oskarżał go o wszystkie możliwe przestępstwa. Ileż oszczerczych artykułów napisał Susłow przeciwko jugosłowiańskim komunistom, gdy za czasów Stalina doszło do rozłamu pomiędzy Moskwą a

Belgradem. Jeśli idzie o najnowszą przeszłość to wśród sowieckich publikacji wymierzonych przeciwko Chinom nie ma ostrzejszej i złośliwszej, niż mowa Susłowa z marca br.

Wydaje się, że przy obaleniu Chruszczowa, zwłaszcza jeżeli idzie o techniczne rozwiązanie tej sprawy, szczególną rolę odegrał Mikojan. Jest on jedynym sowieckim przywódcą popularnym wśród szerokich mas. Fakt, że już w połowie br. 70-letni i cieszący się nie najlepszym zdrowiem Mikojan został mianowany przewodniczącym Prezydium Najwyższego Sowietu ZSSR dowodzi, że już wtedy panowało przekonanie wśród sowieckich przywódców, iż zmiana kierownictwa partii musi być przeprowadzona w cieniu Mikojana. Za bieżącą politykę partii i państwa odpowiedzialni są dzisiaj Breżniew i Kosygin. Breżniew, aparatczyk który swą karierę rozpoczął pod opieką Chruszczowa, posiada co prawda doświadczenie funkcjonariusza partyjnego, ale ma tylko bardzo powierzchowne wykształcenie techniczne. Breżniew prawie nigdy nie wygłaszał większych przemówień i nie pisał poważniejszych artykułów, posiada jednak pewne „zalety”, które od niedawna nabrały znaczenia wśród sowieckich przywódców: jest starannie ubrany, ma dobre maniery, nadzwyczaj lotny umysł; wielu zachodnich polityków, którzy mieli z nim do czynienia, chwali jego osobisty urok. Trudno go uważać za polityka żadnego władzy. Typowa dla Chruszczowa, skłonność do krańcowości jest mu całkowicie obca.

Natomiast Kosygin jest bez wątpienia najbardziej interesującą osobistością wśród sowieckich przywódców. Nie pochodzi z aparatu partyjnego. W przeciwieństwie do pochodzącego z ukraińskiej prowincji Breżniewa, Kosygin spędził pierwsze 35 lat swego życia w Leningradzie. Już za czasów Stalina zrobił karierę jako zdolny menadżer gospodarczy. Przez wiele lat był komisarzem ludowym dla przemysłu GOS-planu Związku Sowieckiego. Jego pozycja zachwiała się w marcu 1963 r. kiedy to całe kierownictwo gospodarki zostało przekazane Najwyższej Narodowej Radzie Gospodarczej ZSSR. Pozostał jednak w dalszym ciągu pierwszym zastępcą przewodniczącego Rady Ministrów ZSSR i członkiem prezydium KC KPZS — co prawda bez operatywnych funkcji na odcinku gospodarczym. Kosygin cieszy się wielkim autorytetem wśród menadżerów gospodarczych i technicznej inteligencji.

Twierdzi się, że nie ma większego przedsiębiorstwa w Związku Sowieckim, którego by Kosygin nie odwiedził. Pozostaje on w osobistym kontakcie z setkami sławnych specjalistów. W czasie wojny był co prawda ciężko chory i musiał poddać się operacji żołądka, ale jego niezwykła aktywność i wytrwałość zdają się świadczyć, że całkowicie przezwyciężył chorobę.

Przez rozdział władzy pomiędzy partią i państwem, przez mianowanie Breżniewa przywódcą partii, a Kosygina szefem rządu, powstał dualizm władzy na najwyższym szczeblu. Historia Związku Sowieckiego zna tylko krótkie okresy, w których ist-

niała podobna sytuacja. System totalitarnego panowania partii wytwarza naturalną tendencję do unii personalnej, to jest do tego, że I-szy sekretarz partii staje się szefem rządu. Czy obecny dualizm utrzyma się? Czy unia personalna zostanie przywrócona? Jest to zagadnienie zasadnicze. Jestem zdania, że obecne zmiany w systemie władzy są konsekwencją zmian społecznych oraz nowego układu organizacyjnych i strukturalnych form społecznych. W Związku Sowieckim, podobnie jak w społeczeństwach zachodnich, każdej modernizacji towarzyszy konsekwentny społeczny podział pracy. Postęp gospodarczy socjologicznie wyraża się w takiej formie, że tworzą się coraz silniejsze grupy społeczne o wspólnych interesach, które wprowadzie propagują pewne programy gospodarcze, ale równocześnie wysuwają żądania odpowiednich przemian politycznych. Z tego punktu widzenia także i w Związku Sowieckim powstaje społeczeństwo „pluralistyczne”. Decydującym elementem tego zagadnienia są próby modernizacji przedsiębrane przez „socjalistycznych menadżerów”. Próby te mają wprowadzić na cel „budowę komunizmu”, ale widzą ten cel nie poprzez okulary doktryny, lecz w świetle praktyki gospodarczej i współczesnych wymogów nauki i techniki. Jakie znaczenie należy przypisać temu zjawisku? Kosygin nie jest sam, za nim stoją coraz bardziej dynamiczni i w wielu wypadkach niekonformistycznie nastawieni menadżerowie gospodarczy. Proroctwa są zawsze rzeczą ryzykowną, ale gdy ma się przed oczami wyżej przytoczone tło społeczne, to można dojść do wniosku, że podział władzy na najwyższym szczeblu pomiędzy państwo i partię jest skutkiem pewnej społecznej przemiany, która zaczęła się jeszcze za czasów Chruszczowa.

Trudno przypuszczać, że obecne kierownictwo sowieckie nie zdaje sobie sprawy z tych problemów. Wszystko wskazuje, że napięcia pomiędzy aparatem partyjnym, państwowym i gospodarczym powstawać będą w przyszłości nie na skutek prób Breżniewa, aby te trzy aparaty skoncentrować w swoim ręku, ale w wyniku poszukiwania środków do rozładowania sprzeczności, które w nowych warunkach są jeszcze trudniejsze do uniknięcia niż dawniej.

Otwartym problemem jest ciągle obrachunek ze stalinizmem. Charakterystyczne jest, że w okresie rządów Chruszczowa, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, w sowieckiej prasie pełno było biografii ofiar terroru stalinowskiego. W pierwszych dniach października ukazało się natomiast ledwie kilka biografii w tej liczbie biografia zamordowanego w 1950 marszałka sowieckiego lotnictwa S.A. Chodiakowa — Chanferjanza. Przeglądając prasę po upadku Chruszczowa, trzeba stwierdzić ze zdumieniem, że publikacji tych zaniechano. Dlaczego tak się dzieje można dość łatwo ustalić. Znaczną liczbę byłych funkcjonariuszy partyjnych, wypuszczonych w okresie Chruszczowa z obozów koncentracyjnych, zatrudniono w archiwach partyjnych. Przeważnie chodzi tu o kilkuset starych bolszewików, świadków zbrodni Stalina.

To oni starali się o opublikowanie tych biografii. Politycznie orientowali się całkowicie na Chruszczowa, gdyż jemu zawdzięczali wolność. Obalenie Chruszczowa zaskoczyło ich i spowodowało wśród nich nastroje paniczne. I tu leży przyczyna wstrzymania tych publikacji. Podałem ten przykład, aby wykazać jak wiele musi zrobić reżym, żeby odzyskać zaufanie różnych warstw społeczeństwa w takich sprawach jak np. obrachunek ze stalinistami.



W niniejszym artykule ograniczam się wyłącznie do skutków upadku Chruszczowa z punktu widzenia stosunków wewnętrzno-sowieckich. Nie omawiam w tej chwili skutków upadku Chruszczowa dla światowego ruchu komunistycznego. Na ten temat chcę powiedzieć na razie tylko kilka słów.

Upadek Chruszczowa wytworzył na terenie międzynarodowego komunizmu sytuację w najwyższym stopniu skomplikowaną i nieprzyjemną dla przywódców sowieckich. Co prawda napięte stosunki pomiędzy Moskwą i Pekinem powinny się nieco rozładować, ale nie może być mowy o całkowitym usunięciu przeciwności w zasadniczych sprawach. Decydującą rolę grają tu dwa elementy: KPZS — nawet bez Chruszczowa — czuje się w dalszym ciągu związana z linią partyjną, ustaloną na XX i XXII Zjazdach Partii, podczas gdy chińscy komuniści żądają rewizji tej linii. Ponadto konflikt między Moskwą a Pekinem ze sporu czysto ideologicznego przemienił się w rywalizację dwóch państw dążących do panowania nad światem. Nieprzyjemną sytuację dla kierowników sowieckich potęguje fakt, że różne partie komunistyczne, które nawet krytykowały taktykę Chruszczowa, nie chcą uznać sposobu i metod jego obalenia; wyrażają mu w dalszym ciągu swoje uznanie. Zmiany w stosunkach pomiędzy partiami komunistycznymi są wprawdzie przyjmowane z zadowoleniem, ale partie nastawione rewizjonistycznie ciągle są zaniepokojone rozwojem stosunków sowiecko-chińskich.

Jeśli idzie o kraje demokracji ludowych, to niepokój powstały w kierownictwach partyjnych tych krajów po upadku Chruszczowa ma różne przyczyny. Często gra rolę czysto osobista przyjaźń przywódców partyjnych, jaka łączyła ich z Chruszczowem; niektórzy przywódcy nagle zobaczyli siebie samych w roli małych Chruszczowów, gdyż i oni także często naruszali zasadę kolektywnego kierownictwa. Główny powód do niepokoju w tych krajach wypływa skąd inąd: z upadkiem Chruszczowa zmieniają się całkowicie kryteria oceny działalności partii komunistycznych w demokracjach ludowych; aparat gospodarczy w tych krajach musi pracować lepiej i wydajniej, należy przyspieszyć modernizację społeczeństwa. Z tego punktu widzenia szczególnie sytuacja Polski Ludowej jest nie do pozazdroszczenia. W

porównaniu z innymi demokracjami ludowymi Polska, która w 1956 r. wyróżniała się dynamicznym rozwojem, wykazuje obecnie o wiele słabsze osiągnięcia gospodarcze w porównaniu z Węgrami, NRD, Czechosłowacją i Rumunią. Dostosowanie się polskiego reżymu do nowego etapu nie zapowiada się łatwo.

Borys LEWICKYJ

Dwa dokumenty

Osiem lat, które się liczą

Przeglądając stare roczniki „Mondo Operaio” redaktor naczelny tego miesięcznika, towarzysz Gaetano Arfè odnalazł te dwa listy, które ogłaszamy. Autorami ich są Michał Andrejewicz Susłow i Pietro Nenni; zdaniem wszystkich Susłow jest sprawcą upadku Chruszczowa; Nenni zaś pierwszy wskazał włoskiej klasie pracującej przyczynę, która w systemie sowieckim spowodowała biurokratyczną i polityczną degenerację ZSSR. Nenni przesłał Susłowowi swe słynne studium: „Światła i cienie XX-go Kongresu w Moskwie”. Susłow odpowiada na nie (i to jest pierwszy list, który ogłaszamy), odrzucając krytykę systemu, utrzymując, że Nenni przypisuje „w sposób całkowicie niesprawiedliwy błędy, które były właściwe Stalinowi, całemu życiu partii i społeczeństwa sowieckiego” i zapewniając, że „praca nad wprowadzeniem w życie zasad Lenina, nad rozwojem demokracji w partii i w Sowietach, nad wzmocnieniem legalizmu i td. weszła w stadium realizacji w związku z nowymi postępami twórczej inicjatywy mas narodowych naszego kraju”. Trafiając w sedno sprawy i nawiązując do długich polemik, które poczynawszy od 21-go roku toczyły się między socjalistami a komunistami na temat demokracji w życiu partii i państw socjalistycznych, Nenni stwierdza, że „błędy, nadużycia władzy i przestępstwa, które ujawnił XX Kongres były na pewno znane wielu ludziom, wielu towarzyszom, którzy nie dysponowali jednak ani odpowiednimi środkami, ani możliwościami napiętnowania ich, to znaczy nie dysponowali ani wolnością słowa i prasy, ani wolnością trybuny parlamentarnej i politycznej. W tych warunkach samowola i nadużycia stały się systemem rządzenia. I można obawiać się, że owa samowola i owe nadużycia istnieć będą w przyszłości tak, jak istniały wczoraj,

o ile ujawnieniu 'wstydlwych faktów' okresu stalinowskiego nie będzie towarzyszyć pełna i całkowita odnowa demokracji i wolności".

Od pierwszego do ostatniego słowa te dwa dokumenty posiadają charakter zaskakującej i palącej aktualności. Ale prawdziwego znaczenia nabierają one dopiero dzięki datom: list Susłowa nosi datę 3 sierpnia 1956 roku, a list Nenniego 24 października 1956 roku. Osiem lat. Osiem lat minęło od ich napisania, a nic, lub prawie nic nie zmieniło się w świecie komunistycznym w Moskwie i w Rzymie. Moskwa się de-chruszczowizuje, tak jak destalinizowała się wczoraj; w Rzymie włoska partia komunistyczna oświadcza, iż jest pełna krytycznej troski, zapewnia, że należy pogłębić w teorii i w praktyce „nierozzerwalne” związki między socjalizmem a demokracją i wysyła delegację do Moskwy, aby uzyskać odpowiednie wyjaśnienia, zupełnie tak samo, jak osiem lat temu śledziła z niepokojem i krytycznym nastawieniem sposób, w jaki przeprowadzano destalinizację, zapewniała, że należy rozwijać demokratyzację partii i wysyłała delegację do Moskwy z prośbą o wyjaśnienia.

Franco Gerardi.

List Susłowa

Moskwa, 3 sierpnia 1956

Drogi towarzysz Nenni,

Najpierw pragnę podziękować osobiście jako też w imieniu innych towarzyszy z Prezydium Centralnego Komitetu za wasz list.

Dotarł on do Moskwy 10-go lipca, to znaczy z poważnym opóźnieniem, z powodu którego mocno ubolewam. Jest mi również niezmiernie przykro, że na skutek wyjazdu do Francji, gdzie przewodniczyłem kongresowi francuskiej partii komunistycznej, musiałem opóźnić odpowiedź.

W związku z tym listem wypada stwierdzić, że wasz artykuł z „Mondo Operaio” wywołał duże zdziwienie i smutek, głównie z powodu uwag krytycznych, które zresztą zostały rozwinięte i w liście. Wiąże się to z faktem zajęcia w artykule szeregu stanowisk, które, naszym zdaniem, są niesłuszne i z którymi w żadnym wypadku nie możemy się pogodzić. Do tego rodzaju stanowisk zaliczają się w pierwszym rzędzie twierdzenia o degeneracji państwa sowieckiego, o zlikwidowaniu zasad demokratycznych w partii i państwie, o przekształceniu dyktatury proletariatu w dyktaturę partii, a następnie w dyk-

(1) „Światła i cienie XX-go Kongresu w Moskwie”. Artykuł ukazał się w „Mondo Operaio” w marcu 1956.

taturę Stalina, o zaniku wolności politycznej i treści demokratycznej w partii, w Sowietach i w innych organach państwowych a także o kryzysie w łonie systemu sowieckiego i partii, który miał jakoby rozpocząć się w Moskwie w związku z XX-tym Kongresem.

Uderzyło nas, że w wyżej wymienionym artykule widzicie jedynie praktycznie negatywne konsekwencje kultu Stalina nie dostrzegając, niestety, różnorodnego i naprawdę demokratycznego życia naszej partii i naszego ludu, ani też gigantycznych, historycznych zwycięstw socjalizmu w ZSSR; a może pomijać to wszystko na umyślnie. Daje to jednak artykułowi charakter jednostronny i nieobiektywny.

29-go lipca, to znaczy w miesiąc po ogłoszeniu rezolucji Komitetu Centralnego sowieckiej partii komunistycznej zawierającej odpowiedzi na liczne pytania, z których wiele znajdowało się w waszym artykule, w „Mondo Operaio” (2) ukazał się drugi artykuł, który powracając do zasadniczego stanowiska wyrażonego w pierwszym, idzie dalej w negatywnym ustosunkowaniu się do systemu sowieckiego zarzucając mu niezgodność z koncepcjami demokratycznymi, poddaje w wątpliwość historyczną skuteczność sowieckiego systemu monopartyjnego, w ramach którego została całkowicie zniesiona walka klas i wreszcie utrzymuje, że jedność i charakter monolityczny ZSSR są po prostu jego wadami.

Niewątpliwie, ten drugi artykuł ułatwił w poważnej mierze wznowienie antysowieckiej propagandy burżuazyjnej, która rozwinęła się na skutek oskarżenia kultu osobowości; a propaganda ta wyraźnie straciła na sile pod wpływem nowych elementów, jakie zastosowano w działalności sowieckiej.

Nie ukrywam, że mieliśmy zamiar odpowiedzieć publicznie na wasze artykuły, lecz powstrzymał nas niepokój, że w obecnym momencie nasza interwencja może narazić jedność tych sił, które walczą o pokój i bronią interesów mas pracujących. A wy tymczasem przystępujecie, niestety, do krytyki życia wewnętrznego ZSSR przypisując w sposób całkowicie niesprawiedliwy wady, które były właściwe Stalinowi, całemu życiu partii i społeczeństwa sowieckiego.

Myślimy, że przyczyny tego należy szukać w waszej niedostatecznej znajomości odrębności życia w Związku Sowieckim, a w szczególności jego rozwoju w ostatnich latach.

Pragnę stwierdzić, że rozumiemy trudności, jakie — na skutek naszej akcji podjętej dla zlikwidowania kultu osobowości i jego konsekwencji, — przypadły w udziale waszej partii i wobec których stanęła włoska partia komunistyczna. Życie jednak potwierdzi nasze przekonanie, że trudności naszych przyjaciół mają charakter tymczasowy: będą one pokonane z powodzeniem i to w stosunkowo krótkim czasie. W przyszłości, będzie

(2) „Sprawozdanie Chruszczowa i dyskusja nad komunizmem”, wydrukowany w „Mondo Operaio” w czerwcu 1956.

można przedyskutować to wszystko w sposób obszerniejszy i konstruktywny, z korzyścią dla rezultatów naszej wspólnej akcji.

Praca nad wprowadzeniem w życie zasad Lenina, nad rozwojem demokracji w partii i w Sowietach, nad wzmocnieniem legalizmu i td. weszła już w stadium realizacji w związku z nowymi postępami twórczej inicjatywy mas narodowych naszego kraju. Akcja państwa sowieckiego i naszej partii w celu złagodzenia napięcia międzynarodowego i wzmocnienia pokoju odniosła już duże sukcesy: wszystko to spotyka się z większym zrozumieniem, przyciąga coraz liczniejsze rzesze osób, usuwa wahania i wątpliwości, wyjaśnia niejasności, na które natrafiały pewne grupy naszych przyjaciół.

Istnieją oczywiście zagadnienia ogólne i szczegółowe, które wymagają późniejszych wyjaśnień. Jesteśmy też zawsze gotowi przestudiować z wami w cztery oczy, — w sposób dokładny i bez tajemnic — pełne znaczenie tych problemów, tak jak to się dzieje między towarzyszami. Pragniemy skorzystać z okazji, aby ponowić zaproszenie żebyście spędzili wakacje między nami, w naszym kraju, na przykład na Krymie, albo na Kaukazie, co dałoby sposobność do przeprowadzenia takiej dyskusji. Podobną możliwość stworzyłaby decyzja kierownictwa waszej partii wysłania do ZSSR delegacji o odpowiednim składzie.

Zgadzamy się całkowicie z waszym przekonaniem o niezachwianej politycznej jedności świata pracy, o wzmocnieniu i jednolitości pełnych chwały partii proletariatu włoskiego: my wszyscy pragniemy pełnego powodzenia w tej ważnej sprawie.

Z pozdrowieniami od towarzysza

M. Susłow.

List Nenniego

Rzym, 24 października 1956

Drogi towarzyszu Susłow,

Proszę mi wybaczyć duże opóźnienie z jakim odpowiadam na wasz list z 3-go sierpnia. Dotarł on do mnie późno, wakacje letnie, a także fakt, że obecnie uwaga moja jest skoncentrowana na sprawie zjednoczenia socjalistycznego we Włoszech, tłumaczą to opóźnienie.

Zresztą fakt, że trudny i delikatny problem zjednoczenia socjalistycznego stanął przed nami w sposób nieco gwałtowny i niespodziewany został w części wywołany XX Kongresem w Moskwie i „tajnym” sprawozdaniem towarzysza Chruszczowa, w

tym sensie w każdym razie, że jeden i drugi spowodowały pewne przewartościowanie w łonie socjal-demokracji.

Zdaję sobie sprawę z tego, że stanowisko jakie zająłem w sprawie XX-go Kongresu zdziwiło i zasmuciło, jak mówicie, towarzyszy sowieckich. Ale dla nas było rzeczą na pewno znacznie trudniejszą zrozumieć XX Kongres i sprawozdanie Chruszczowa.

Jeszcze dzisiaj zadaję sobie pytanie (w związku z wydarzeniami w Warszawie i w Budapeszcie) czy owa metoda nie powinna ulec zmianie, to znaczy czy przede wszystkim — a przynajmniej chwilowo — nie należałoby, równoległe do masowych ataków na stalinizm, rozwijać w krajach gdzie komuniści są u władzy demokratyzację partii, państwa i zwyczajów, rzeczy, które narzucają się dzisiaj w formie gwałtownej i wymykającej się kontroli.

Jeżeli poza tym mieliście zamiar nie sięgać do sedna problemów, nie obalać nadbudowy politycznej i biurokratycznej by stworzyć na jej miejsce autentyczną formę życia demokratycznego, nie reformować od szczytu do dna systemu organizacyjnego w przemyśle i w rolnictwie, w produkcji i pracy w ogóle, to dla mnie przynajmniej jest rzeczą szczególnie trudną zrozumieć do czego dążyliście i do czego dążyć.

Co się tyczy mojego sądu o XX-ym Kongresie, a w szczególności krytyki systemu i dyktatury, to pragnąłbym, abyście wzięli pod uwagę fakt, że ani ja, ani socjaliści włoscy w ogóle, nie zrezygnowaliśmy nigdy z wypowiedzania tego rodzaju krytyk, mimo iż występowaliśmy lojalnie i otwarcie w obronie Rewolucji październikowej i Związku Sowieckiego za każdym razem kiedy trzeba było stawić czoła koalicji interesów imperialistycznych i reakcyjnych.

Po śmierci Lenina "Avanti" pod moim kierownictwem występowała często przeciwko biurokratyzacji Sowietów, przeciwko stopniowemu zaduszaniu życia demokratycznego w partii, degeneracji policyjnej aparatu państwowego.

W serii artykułów we wrześniu i październiku 1938 roku „Nuovo Avanti” stwierdzało w Paryżu, że procesy, które odbywały się w owej epoce, były niczym innym jak zwykłą formą legalnego morderstwa, wadą systemu.

Pakt sowiecko-niemiecki w 1939 roku wywołał również, jak wiecie, nasze protesty.

Krytyki i zastrzeżenia zamilkły, co było słuszne, podczas wojny, która zakończona została zwycięsko dzięki decydującej pomocy Związku Sowieckiego. Zamilkły też po wojnie i po wspólnym zwycięstwie kiedy państwa kapitalistyczne z ich doktryną Trumana i wynikłym z niej przekształceniem sojuszków, z Paktem Atlantycznym i wyścigiem zbrojeń wznowiły politykę okrażenia Związku Sowieckiego, Chin i demokracji ludowych.

Tym niemniej w ostatnich latach nie przestaliśmy widzieć negatywnych aspektów niektórych wydarzeń w Związku Sowiec-

kim, a przede wszystkim wydarzeń politycznych i ekonomicznych w demokracjach ludowych.

Nie wiedzieliśmy nic — lub bardzo mało — o powojennych przestępstwach Stalina, o masowych deportacjach, mordowaniu całych narodów, a jednak byliśmy świadomi niebezpieczeństwa jakie tkwiło w fakcie utrzymania się przy życiu swoistego komunizmu wojennego, zaduszającego życie demokratyczne.

Mimo, że nie wiedzieliśmy, iż procesy Rajka, Kostowa, Slanskiego były zwykłymi przestępstwami państwa, oburzającymi machinacjami polityki sowieckiej i przywódców komunistycznych Węgier, Rumunii i Czechosłowacji, to jednak natrafialiśmy na ogromne trudności, aby wobec samych siebie znaleźć logiczne wytłumaczenie dla procesów i wyroków opartych na metodzie spowiedzi.

Wydawało się nam, że szukanie przyczyn i wyjaśnień dla tych i analogicznych faktów w sytuacji światowej, w imperialistycznej polityce okrażenia, w groźbie trzeciej wojny światowej, w wewnętrznej psychozie wywołanej tą groźbą — było zgodne z rzeczywistością.

Dlatego, gdy występowaliśmy przeciwko blokom wojskowym, przeciwko wyścigowi zbrojeń, przeciwko bezwzględności atlantyckiej, wiedzieliśmy, że walczymy o pokój, a także o nowe życie demokratyczne we wszystkich krajach na świecie.

Z tego punktu widzenia oskarżenie stalinizmu podjęte przez XX-ty Kongres było na pewno aktem odwagi. Wydaje mi się jednak rzeczą niemożliwą aby Kongres i jego Komitet Centralny nie zdawali sobie sprawy z tego, że obalając mit Stalina, poddają dyskusji strukturę prawną i polityczną państwa, koncepcję i praktyczne wykonanie zasady monopartii, metody zarządzania aktywnością ekonomiczną i społeczną, jednym słowem — cały system. Tak samo poddawano dyskusji pojęcie dyktatury proletariatu, sposób i formę, w jakiej została ona wprowadzona w Związku Sowieckim i była nieudolnie naśladowana w demokracjach ludowych.

Nie sądzę, towarzyszu Susłow, abym mógł przyjąć tezę Komitetu Centralnego sowieckiej partii komunistycznej i waszą, jakoby nie miała istnieć, przynajmniej w dwudziestoleciu od 1934 roku do śmierci Stalina, degeneracja państwa sowieckiego, życia demokratycznego partii i organizacji masowych i jakoby dyktatura proletariatu nie przekształcała się w dyktaturę partii i w dyktaturę aparatu biurokratycznego i policyjnego.

Okropne wydarzenia okresu stalinowskiego nie zmieniły oczywiście natury państwa sowieckiego tam, gdzie opiera się ono na zsocjalizowaniu (można by to lepiej powiedzieć: na zetatyzowaniu) środków produkcji i wymiany. Tym niemniej przyczyny degeneracji partii i państwa były wywołane nie tyle dążeniem Stalina do władzy osobistej i tyranii, nie tyle machinacjami Berii, ile brakiem systemu gwarancji prawnych, zabezpieczających przed nadużyciami władzy, i przede wszystkim brakiem

życia demokratycznego i wolności w partii, państwie i społeczeństwie.

Błędy, nadużycia władzy i przestępstwa, które ujawnił XX-ty Kongres były na pewno znane wielu ludziom, wielu towarzyszom, którzy nie dysponowali jednak ani odpowiednimi środkami, ani możliwościami napiętnowania ich, to znaczy nie dysponowali wolnością słowa i prasy, wolnością trybuny politycznej i parlamentarnej. W tych warunkach samowola i nadużycia stały się systemem rządzenia. I można obawiać się, że owa samowola i owe nadużycia istnieć będą w przyszłości, tak jak istniały wczoraj, o ile ujawnieniu „wstydliwych faktów” okresu stalinowskiego nie będzie towarzyszyć pełna i całkowita odnowa demokracji i wolności.

To, co dzieje się w Warszawie i w Budapeszcie, to, co przygotowuje się w Pradze i w innych stolicach dowodzi do jakiego stopnia oskarżenie stalinizmu nie jest czymś oderwanym, wyczerpującym się samoistnie, lecz czymś, co niesie w sobie głęboką przemianę życia publicznego oraz struktury politycznej i ekonomicznej.

Jeżeli chodzi o mnie, to uważam za swój obowiązek, za obowiązek socjalistów włoskich, popierać wszystkimi środkami jakimi dysponujemy, proces demokratyzacji. Wierzę, że obecnie od osiągnięć w tej dziedzinie zależeć będzie skonsolidowanie się socjalizmu w krajach, które w przeciwnym razie stanęłyby w obliczu niebezpieczeństwa zwykłej i prostej odnowy kapitalizmu, który byłby odpowiedzią na błędy i przestępstwa starej grupy przywódców komunistycznych.

Na pewno byłbym bardzo szczęśliwy gdybym mógł przedyskutować te problemy z Wami, towarzysz Susłow i z towarzyszami sowieckimi. Lecz w chwili obecnej nie widzę możliwości wyjazdu z Włoch.

Mam nadzieję, że stanie się to możliwe niedługo i pragnę jednocześnie wyrazić Wam moją wiarę, że uda się nam szybko przezwyciężyć nasze obecne różnice w poglądach.

Proszę przyjąć towarzysz Susłow moje pozdrowienia

wasz

Pietro Nenni

P. S. List ten wysyłam po tragicznych wypadkach w Budapeszcie, które wydobyły na jaw niewybaczalne błędy, jakie popełniała grupa węgierskich przywódców komunistycznych. Wydaje się, że sytuacja na Węgrzech była niesłychanie poważna od co najmniej trzech lat. Rehabilitacja Rajka i wynikający stąd upadek Rakosiego wytworzyły przepaść między partią a krajem. Kilka miesięcy temu Nagy miał jeszcze możliwość przerzucenia mostu nad tą przepaścią.

Ale rzeczy szły własnym biegiem i doprowadziły do dra-

matu powstania i interwencji wojsk sowieckich. Od dziesiątków lat biliśmy się przeciwko obcej interwencji. W pierwszym dziesięcioleciu Rewolucji bolszewickiej jednym z podstawowych ideałów naszej walki było hasło: precz z obcymi wojskami. Obcymi są również wojska sowieckie na Węgrzech (3). Rewolucje mają prawo bronić się zarówno przy pomocy sądów dozących, jak przy pomocy sił zbrojnych, ale w wypadku Budapesztu tymi siłami zbrojnymi powinni być robotnicy węgierscy. Niestety tak nie było. I nie możemy aprobować tego wszystkiego co wydarzyło się i co się dzieje.

(3) Powstanie węgierskie nie było jeszcze stłumione czołgami sowieckimi. Stało się to 4 listopada 1956 roku.

Kronika angielska

LITERATURA A TECHNOLOGIA

Uprawiając zawodowo dziennikarstwo od lat 34 — muszę na samym wstępie zaznaczyć, że do tzw. literatury pięknej jestem uprzedzony. Pomimo tego, że w redakcji IKC zajmowałem wyższe stanowisko niż Jalu Kurk — kochany Jalu nie taił, że uważa się za coś niepomrotnie lepszego od „żurnalisty”, nawet nie pozbawionego pewnych zdolności i rozgarnięcia.

Jako patriotyczna chłopczyzna wychowana na Mickiewiczach i Słowackich ów „podział klasowy” przyjmowałem z pokorą jako rzecz oczywistą i nie podlegającą dyskusji. W późniejszych latach rozmaici młodzieńcy z wyżyn jednego tomiku poezji spozierali na mnie pobłażliwie — w najlepszym razie z życzliwym protekcjonalizmem.

Od czasów kiedy potulnie przyznawałem rację Jalu Kurkowi, że tzw. literatura piękna z definicji jest czymś wyższym od publicystyki czy esejistyki — poglądy moje w tej sprawie uległy radykalnej zmianie.

Gdy zacząłem wnikać w tzw. koła literackie dokonałem zdumiewającego odkrycia. Przekonałem się mianowicie, że wykształcenie wielu pisarzy — a w szczególności poetów — często pozostawia wiele do życzenia. Nie tylko publicysta lecz nawet szeregowy dziennikarz, jeżeli chce zdobyć pewną pozycję w swoim zawodzie, musi czytać, czytać i czytać. Natomiast ignorancstwo u poety to tylko jeden wdzięk więcej. Talent wystarcza. Lecz czy wystarcza?

Wysuwam pogląd, że w epoce rewolucji technologicznej literatura nie nadąża za tempem wydarzeń i pracuje z półwiekowym opóźnieniem.

Sięgnijmy po przykłady. Czesław Miłosz zdobył światowy rozgłos nie jako poeta, lecz jako autor „Zniewolonego Umysłu”. Jest to tom esejów na pograniczu publicystyki. Sartre — najświeższej daty literacki laureat na-

grody Nobla — zawdzięcza swą pozycję nie powieściom i sztukom, których poziom jest różny — lecz esejom filozoficznym i dialektycznym. Innymi słowy poeta staje się głośny w chwili gdy przestaje być poetą, a dramaturg i powieściopisarz sięga po laury z chwilą gdy staje się eseistą i dialektykiem. Dlaczego?

Osobiście nie mogę oprzeć się wrażeniu, że istnieje olbrzymia dysproporcja pomiędzy formami prozy literackiej a problematyką i kształtem naszej epoki.

Malarstwo abstrakcyjne czy muzyka atonalna są intymnie związane z 20-tym wiekiem. Pomiedzy obrazem abstrakcyjnym współczesnego malarza a „Hołdem Pruskim” Matejki jest tak olbrzymia przepaść, że w tej perspektywie „Transatlantyk” Gombrowicza wydaje się niemal następnym tomem „Listów z Podróży” Henryka Sienkiewicza.

Jeżeli ktoś nie chce być opóźniony przez ów niedowład a raczej „nie-dokształt” formy powieściowej — odkręca pióro i pisze esej. Tak postępuje Sartre, Miłosz i dziesiątki innych.

Ileż razy słyszałem z ust literatów następujący okrzyk: „Ach, zostawmy politykę i sprawy ideologiczne dziennikarzom!” Nikt nie wymaga od literata by zajmował się polityką. Lecz co dziś rozumieć należy przez politykę? Polityka to jest ekonomia, historia, socjologia, filozofia, a nawet religia. To jest skomplikowana żywa tkanka współczesności. Można wyodrębnić jednostkę z kontekstu społecznego lecz nie można jej zrozumieć poza ramami owego układu. Pragnę przez to powiedzieć, że gdyby Prus dziś pisał powieść typu „Lalki” — musiałby sobie przyswoić niewspółmiernie większy potencjał wiedzy niż przed 80 laty. Ktoś powie, że Wokulscy są dziś tacy sami, a może nawet mniej ciekawi, niż w ubiegłym stuleciu. Dzisiejszy Wokulski może być mniej interesujący niż jego prototyp z „Lalki” — lecz od czasów Prusa nasza wiedza o człowieku niezmierznie wzrosła a warsztat badawczy, który niegdyś był biurkiem z lampą naftową — dziś jest organizacją i instytucją.

To jest punkt ważny, ponieważ wielu moich znajomych pisarzy — w dyskusjach wysuwało pogląd, że Człowiek przez wielkie C w swej istocie jest zawsze ten sam.

Weźmy typową scenkę. Panienska w oknie wypatruje listonosza z listem od kochanka. Mimo, że nad jej domem przelatują odrzutowe samoloty, sens sceny wydaje się odwieczny w swoim schematyzmie. Panienska może być bez porównania głupsza i gorzej wykształcona od swojej babki, która kiedyś w podobny ranek wypatrywała również listu od kochanka. Lecz o współczesnej panience wiemy nieporównanie więcej niż o jej babce. Ludzie mało ciekawi są dziś znacznie ciekawsi niż ich nudni pra-ojcowie — ponieważ dzięki nauce na temat ich przeciętności i bezbarwności można powiedzieć niezmiernie wiele interesujących rzeczy.

Ostatnim szansem obrony literatów są tzw. wartości odwieczne, zawsze aktualne. W takim wypadku punktem odniesienia nie jest oczywiście rok 1964 — lecz 2000 lat naszej cywilizacji. Owe wartości — spoza zasięgu czasu i nauki — w błysku intuicji definiuje geniusz pisarza. Od szekspirowskiego *to be or not to be* po mickiewiczowskie „czterdzieści i cztery” — można by ułożyć potężny tom „wzniosłości”, które ludzie powtarzają setkami lat z nabożeństwem godnym lepszej sprawy.

Nie ulega jednak wątpliwości, że wielu pisarzy wyprzedzali czasami swoją epokę i wykazywali zdumiewającą intuicję poznawczą. Lecz dziś nikt nie oczekuje od pisarza ani wielkich syntez ani profetycznej wizji. Rząd dusz należy dziś niepodzielnie do nauki. Ostatni z literackich proroków: Spengler, Orwell, Aldous Huxley — na szczęście pomylili się sromotnie. Zachód nie zmierza ani do katastrofy ani do bezdusznego *brave new world* pomimo, że literatura przestała być tym, czym była ongiś.

Kryzys w literaturze dotyczy nie tylko formy lecz i pozycji jaką piśmiennictwo zajmowało w życiu społecznym. Jeżeli rzucić okiem na periodyk typu „Encounter” — wszystko co jest współczesne, ważne, istotne, niejako samorzutnie przybiera formę eseju. Literacka pozycja eseju różnie jak na drożdżach i być może w przyszłości wielu pisarzy będą przede wszystkim eseistami. W ten sposób esej odciąża czystą literaturę piękną od pogardzanej polityki i problematyki społecznej. Wówczas — być może — „czysta proza literacka” zleje się z poezją.

Zdaniem Michel Butora technologia wpływa na rozwój zarówno sztuk plastycznych jak muzyki i literatury. Jednak ów wpływ na literaturę może być diametralnie różny od wpływu na plastykę czy muzykę.

W świecie zautomatyzowanym, pokratkowanym, wielbiącym precyzję i ścisłość — nowa literatura winna tworzyć wartość rekompensacyjną.

Osobiście sądzę jednak, że w epoce ku której zmierzamy — do najwyższej rangi dojdą znów pisarze, którzy mają *a story to tell*, którzy mają coś do opowiedzenia i umieją to zrobić.

Socjologia literatury jest w powijkach. Historycy i krytycy literatury interesują się tylko dziełem i twórcą — nigdy odbiorcą, zwłaszcza odbiorcą masowym.

W zmechanizowanym świecie głód fabuły jest jeszcze większy niż w epokach poprzednich. Ludzie wykazują nieograniczone zapotrzebowanie na *story*, na opowieści. Człowiek jest zwierzęciem, które kocha bajki. Literatura piękna — względnie za piękną się podająca — przestała spełniać tę wzniosłą funkcję społeczną. Dostarczycielami „opowieści” stali się autorzy *science fiction* i niezliczona plejada reporterów. Książki podróżnicze cieszą się rosnącą popularnością.

Wymienić wreszcie należy wschodzącą gwiazdę literatury — powieść polityczną.

Jest paradoksem, że powieść polityczna nie zrodziła się w świecie komunistycznym. Nawoływanie Sartre'a by socjalizm — owo „największe doświadczenie naszych czasów” — znalazł wreszcie godny wyraz w wielkim dziele literackim, pozostało bez echa. (Jeżeli były jakie echa to wiedzą o nich tylko cenzorzy).

W polskiej literaturze — tak krajowej jak i zagranicznej — do rzadkości należy zbeletryzowany reportaż dokumentacyjny. Powieść polityczna jest gatunkiem nieznany.

Ojczyzną powieści politycznej jest Ameryka. Wystarczy wymienić „Seven Days in May”, „Capitol Hill”, „Advice and Consent” i dziesiątki innych.

Osobiście za najwybitniejszego reprezentanta powieści politycznej uważam C.P. Snow'a, sejentystę, podsekretarza stanu w ministerstwie technologii, menadżera przemysłowego i autora cyklu powieściowego pt. „Strangers and Brothers”. Snow stanowi renesansową kombinację zawodów i po-

wołań i oczywiście już to wystarcza, by fachowi literaci patrzyli na niego krzywym okiem.

„Corridors of Power” jest dziewiątą książką z cyklu „Strangers and Brothers”. Lecz nawet jeżeli się przyjmie, że Snow nie jest zawodowym powieściopisarzem a tylko amatorem — wypada stwierdzić, że ów cykl, a szczególnie powieść ostatnią, mógł napisać tylko pisarz-amator. Zawodowy literat nie miałby bowiem możliwości zaobserwowania mechanizmu władzy, oraz ludzi, którzy ów żywy mechanizm tworzą. Wyższość Snow’a nad amerykańskimi autorami powieści politycznych polega na tym, że nie jest reporterem, który śledzi — ale jest tym, którego śledzą reporterzy. W swoim oficjalnym wcieleniu Snow jest parom Anglii, członkiem rządu — aktorem na scenie, którą opisuje jako powieściopisarz.

Wydaje mi się, że wiek technologii spowoduje wielkie zróżnicowanie w literaturze. Powstanie „czysta” literatura kompensaty, trudna i dostępna dla nielicznych. Dostępna dla nielicznych ponieważ w naszym technologicznym świecie coraz mniej ludzi odczuwa potrzebę rekompensaty. Literatura „rekompensacyjna” pisana jest, i będzie pisana nadal przez literatów i dla literatów.

Pisarze przystosowani do epoki, zaangażowani, pasjonujący się współczesną problematyką — udoskonalą esej i nadadzą mu różnorodne nowe formy.

Przyszłość należy do opowiadania — (*story*) i do eseju. W tej perspektywie z twórców emigracyjnych nowoczesnym pisarzem jest G. Herling-Grudziński. Jest jasno i bez niedomówień zaangażowany. Píše opowiadania i eseje. W obu tych formach osiągnął poziom mistrzowski.

Miłosz jest również pisarzem zaangażowanym. Byłoby jednak łatwiej powiedzieć „przeciw” czemu jest zaangażowany niż „za czym” jest zaangażowany. Miłosz tylko w sensie formalnym jest pisarzem emigracyjnym. W gruncie rzeczy jest do dziś pisarzem krajowym, który mieszka zagranicą. Podobnie jak wielu pisarzy krajowych jest zbyt intymnie, zbyt blisko, zbyt rodzinnie związany z dramatem epoki.

Czytając Miłosza odnoszę wrażenie, że na dnie duszy kolebie książkę, której nie pisze, bo i po co? Na emigracji nikt by jej nie zrozumiał — a w kraju nikt by jej nie wydał. Jestem przekonany, że w Polsce jest wielu pisarzy w identycznej sytuacji. Nie wierzą byśmy w pełni zrozumieli książkę „największego doświadczenia naszych czasów”, a gdyby miała być napisana specjalnie dla emigracyjnych „zapidników” — nie byłaby tym dziełem, który rysuje się w ich wyobraźni. Więc lepiej przepychać się przez cenzurę i pisać dla właściwego czytelnika, niż pisać bez cenzury dla czytelnika, który nie rozróżnia „A” od „B”.

W tym wypadku nie jest istotne, że pewien procent emigrantów odróżnia „A” od „B”. Istotne jest natomiast, że w opinii większości pisarzy krajowych pokolenia Miłosza — i samego Miłosza — tylko ludzie, którzy w pewnej formie przeżyli owo historyczne „największe doświadczenie” — rozumieją owego doświadczenia atmosferę, język skojarzeniowy i głąd *katharsis*.

Tego ognia oczyszczającego nie jest w możności wyprodukować geniusz pisarza. Z tej przyczyny wszystkie wypowiedzi apostatów są nieprawdopodobnie blade i beztreściwe. Weźmy np. klasyczną książkę sprzed 15 la-

ty pt. „The God that Failed”. Przerzuciłem ów tom powtórnie przed kilku dniami. To nie tylko „czerwony bóg” zawiodł. Ci, którzy go słusznie opuścili również zawiedli. I nie mogło być inaczej. Ów „God that failed” był zjawiskiem historyczno-społecznym i *katharsis* możliwa jest tylko w analogicznym kontekście. Autentyczny, rewolucyjny „Październik” mógłby wydobyć na powierzchnię oczyszczający płomień. *Katharsis* nie można wyprodukować przy biurku. Ów płomień oczyszczający musi być ruchem rewolucyjno-społecznym w historycznej skali.

Pisarze, którzy odeszli od „czerwonego boga” — nie zdołali sobie — na ogół — przyswoić podstawowej tezy marksizmu, że są dramaty, które nie znają ani indywidualnego oczyszczenia, ani indywidualnego zbawienia. Do tych wielkich dramatów należy komunizm i — choć to dziwnie zabrzmiało — katolicyzm.

Można z rzymskiego kościoła wystąpić, lecz wystąpiwszy nie można się oczyścić — ponieważ indywidualnie nie można w kościele niczego zmienić. Dla apostatów katolickich i komunistycznych nie ma *katharsis*. Ponieważ *katharsis* musiałaby oznaczać zwycięstwo herezji apostaty, a zwycięstwo słusznej herezji jest procesem ewolucyjnym i społecznym nigdy zaś oczyszczającym osiągnięciem jednostki.

Wspólny wysiłek i pasja zaangażowanych jednostek są konieczne, by popychać młyńskie koła ewolucji w kierunku postępu, który jest naszym zbiorowym zbawieniem.

GEN. KAZIMIERZ WIŚNIEWSKI

W dniu 4 listopada br. zmarł w Londynie gen. Kazimierz Wiśniowski. Ubył jeden z wybitnych i światłych wyższych wojskowych Drugiej Rzeczypospolitej.

Gen. Wiśniowski zajmował wiele wybitnych stanowisk. Przed wojną był oficerem sztabu gen. Sosnkowskiego. W czasie kampanii wrześniowej dostał się do niewoli sowieckiej. Był więziony na Łubiance. Po wyjściu Wojska Polskiego z Sowietów, gen. Wiśniowski objął stanowisko Szefa Sztabu 2-go Korpusu.

Nie mnie, podporucznikowi — który swą jedyną gwiazdkę otrzymał na 3 miesiące przed zakończeniem wojny — porywać się na zbilansowanie zasług zmarłego Generała. Zrobią to inni, bardziej powołani. W tej notatce chciałbym tylko dać wyraz wielkiej wdzięczności i przyjaźni jaką członkowie zespołu „Kultury” odczuwali zawsze dla gen. Wiśniowskiego.

W okresie, kiedy wszyscy mówili o nowej wojnie — kiedy w biuletynach kombatanckich przestrzegano przed kupowaniem domów w Londynie bo zostaną obrócone w gruz bombardowaniami — gen. Wiśniowski był jednym z tych co trzeźwo oceniali sytuację i dzięki temu rozumiał potrzebę akcji długofalowej, o której myśleliśmy już w roku 1945 szukając możliwości utworzenia Instytutu Literackiego i wydawania pisma.

W różnych okresach pomagała nam garść osób, które zachowujemy w wdzięcznej pamięci. Bez życzliwej pomocy przyjaciół i Czytelników byłoby nam trudno zakupić dom w Maisons Laffitte, który jest dziś siedzibą Instytutu Literackiego. Lecz nie pomniejszając w niczym zasług na-

szych przyjaciół i Czytelników wolno zauważyć, że „Kultura” stanowiła już wówczas pewne osiągnięcie, które warto było poprzeć. Natomiast gen. Wiśniowski pomógł nam wówczas, kiedy pomocy i zachęty potrzebowaliśmy najbardziej, to znaczy w chwili startu z punktu zerowego. I był jedynym.

Przyjacielski, bliski stosunek i żywe zainteresowanie „Kulturą” gen. Wiśniowski zachował do końca.

Nasz miesięcznik można oceniać rozmaicie — zależnie od poglądów politycznych, upodobań literackich itp. — lecz 206-ty zeszyt „Kultury” oraz ponad 100 tomów „Biblioteki Kultury” stanowią pozycję i dorobek bezsporny. I dlatego sądzę, że nie będzie w tym ani frazesu ani przesady, gdy stwierdzimy, że generał Wiśniowski dobrze zasłużył się kulturze polskiej na obczyźnie.

LONDYŃCZYK

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

EWOLUCJONIZM

Broszura ta, która ukaże się w najbliższym czasie w ramach

BIBLIOTEKI «KULTURY»

zawierać będzie następujące rozdziały:

WSTĘP

REFLEKSJE ĆWIERĆWIECZA

POLSKA-ROSJA-AMERYKA

GEOIDEOLOGIA

STRONA BIERNA

MODEL ROKU 19??

Najnowsza historia Polski

Po prostu miłość

Nie zamierzam odtwarzać tu całości życia Wandy Wasilewskiej; jak zresztą okaże się z mych dalszych wywodów, nie jest to nam wcale potrzebne; nam — to znaczy ludziom, związanym z polskim życiem politycznym albo z polską literaturą i krytyką literacką. W roku 1945 Wanda Wasilewska odeszła ostatecznie z polskiego życia. Do roku 1939 Wasilewska żyła życiem polskim; od roku 1945 żyła życiem Związku Sowieckiego; pomiędzy tymi dwoma okresami był okres przejściowy lat 1939-1945, w którym jednak decyzja przeobrażenia się w „sowieckiego człowieka” była już bardzo wyraźnie powzięta. Oto więc temat, który stoi przed nami: jak się to przeobrażenie dokonało, jak było ono w ogóle możliwe?

Rodzice Wandy Wasilewskiej, Leon i (również) Wanda pracowali sobie na trwałe miejsce w historii polskiego ruchu socjalistycznego. Cała emigracyjna działalność PPS b. zaboru rosyjskiego: przez pięć lat w Londynie, przez jedenaście lat w Krakowie, była ściśle związana z nadludzkim poświęceniem i wytrwałością obojga Wasilewskich. Na nich, w ogromnej mierze, stał „Przedświt” i „Robotnik”, drukarnia i skład wydawnictw, publicystyka partyjna. Leon Wasilewski słusznie zaliczał sam siebie do „starych partyjników”, właściwych twórców PPS. Po raz pierwszy zetknął się z Piłsudskim na jesieni 1896 roku w Petersburgu; współpraca i bliskość polityczna trwała przez lat 30. W swej książce, „Piłsudski jakim go znałem”, określił Wasilewski swój stosunek do Piłsudskiego następującymi słowami: „...że towarzysz Wiktor był najwybitniejszym wodzem ówczesnej PPS, o tym nikt w partii nie wątpił”. Ocena ta jeszcze i dzisiaj jest trafna. Nigdy jednak nie przerzucał Wasilewski oceny powyższej na lata powojenne. Twierdzenie, jakoby Wa-

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

silewski wysiadł z socjalistycznego tramwaju na przystanku niepodległości, jest po prostu nonsensem. Był blisko Piłsudskiego w różnych pracach państwowych, ale przestał się z nim identyfikować politycznie. Po raz ostatni spotkał się z nim w niedzielę poprzedzającą wypadki majowe roku 1926. W chwili, w której w PPS nastąpił rozłam roku 1929, Wasilewski rozstał się politycznie z przyjaciółmi lat młodych, pozostał z większością PPS, opozycyjną w stosunku do Piłsudskiego, został nawet wybrany przewodniczącym Rady Naczelnej PPS i sprawował tę funkcję aż do swego zgonu w roku 1936. Co wcale nie przeszkadzało mu w pracy na stanowisku historyka polskiego ruchu niepodległościowego. Był jednym z niewielu ludzi, którzy mieli zarówno przygotowanie naukowe i doświadczenie pisarskie, jak i znajomość ludzi i wydarzeń i mogli ocalić dla historii przeszłość prac i walk niepodległościowych. Był tedy na swym miejscu jako redaktor kwartalnika „Niepodległość”, zredagował też dwa pierwsze tomy „Pism — Mów — Rozkazów” Józefa Piłsudskiego, właśnie tomy, obejmujące okres działalności Piłsudskiego jako przywódcy PPS.

Dom rodzicielski Wasilewskiej wyrzył na niej trwały ślad — oprócz odziedziczonych po ojcu skłonności i zdolności pisarskich — tylko jednym: wprowadził ją w życie ruchu socjalistycznego. Takich rodzinnych powiązań było w owym czasie w środowisku studenckim w Krakowie kilka; wymienię Stanisława Kunickiego, Ryszarda Wasserbergera, siebie samego, Leokadię Dehnelównę i Zofię Haeckerównę, zresztą koleżankę szkolną Wasilewskiej. Gdy w roku 1923 dziewczęta te zdały maturę i jesienią zapisały się na uniwersytet, zupełnie naturalne było, że obie wstąpiły do Sekcji Akademickiej PPS. Byłem jej przewodniczącym i tak rozpoczęła się moja znajomość z Wasilewską, więcej, przyjaźń — w pewnych okresach czasu bardzo zażyła i serdeczna. W czasie jednej z wizyt w mieszkaniu Wasilewskich przy Rynku Dębnickim, zauważyłem w pokoju Dziunki gęsto zapisany zeszyt. Były to poezje, świetne w formie, jedyne w swoim rodzaju. Zabrałem zeszyt z sobą, wybrałem z niego trzy poematy i pod łącznym tytułem „Ballady tatrzańskie” ogłosiłem w „Płomieniach”, piśmie młodzieżowym, którego byłem założycielem, wydawcą i redaktorem. Złożone kuryśwą, zajęły całą stronę w numerze z czerwca 1924 roku. Był to ostatni numer tego pisma. Nikt nigdy o tych wierszach nie wspominał, nie weszły w skład „pism zebranych” Wasilewskiej, nie ma ich w bibliografiach jej prac. Jeśli jednak chodzi o walory czysto literackie jej twórczości, stawiam te trzy ballady najwyżej, chociaż były to utwory 18-letniej dziewczyny.

Żadnych inklinacji w kierunku komunizmu czy też Rosji Sowieckiej młoda Wasilewska nie miała. Obracała się wyłącznie w towarzystwie pepesowców. Kiedy z końcem 1923 roku na II zjeździe Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej komuniści dokonali rozłamu, wystąpili ze związku i założyli

swą własną organizację pod nazwą „Życie” — Wasilewska nie przeżywała żadnych wątpliwości. Trzymała się pepesowców.

Wśród tych ostatnich znalazła męża. Był nim Roman Szymański, syn robotnika kolejowego z Tuchowa, student matematyki. W roku 1925 wzięli ślub. Szymański był człowiekiem przemiłym, o niewyczerpanych zasobach pogody i wesołości i o nieprzebranej znajomości różnych pieśni — ludowych, robotniczych, żołnierskich. Jako matematyk nie stał na tym poziomie co np. Wasserberger; miał też trudności ze studiami, bo trzeba było zapracować na życie. Objął stanowisko funkcjonariusza w Związku Robotników Przemysłu Chemicznego w Krakowie i rzeczywiście całą duszę wkładał w swą pracę związkową. Niezawsze miał w niej szczęście — i tak zawzięty i długotrwały strajk w Solvayu w Borku Fałęckim, wywołany w złym momencie, został przegrany. Wiele pracy włożył Szymański w Organizację Młodzieży TUR; gromadziła się ona na III piętrze Domu Robotniczego przy ulicy Dunajewskiego i Szymański spędzał tam całe wieczory w rojnym i gwarным środowisku. Był dobrym mówcą, miał wielki wpływ na młodzież i był bardzo przez nią lubiany. W roku 1928 przyszła na świat córka, Ewa, śliczna dziewczynka, podobna do ojca. Czytam biografię Wandy Wasilewskiej, pióra Heleny Usijewicz, wydaną (w języku rosyjskim) w Moskwie w 1953 roku, i widzę, że małżeństwo z Szymańskim znikło w tej biografii całkowicie. A przecież Usijewicz opierała się na ustnych relacjach Wasilewskiej, bo na czymże by innym? Z wiadomości prasowych, już po zgonie Wasilewskiej, widzę, że Ewa używa nazwiska Wasilewskiej, a nie nazwiska swego ojca. Być może, że oglądając retrospektywnie przedwojenny okres swego życia, Wanda postanowiła wykreślić z niego Szymańskiego. Latem roku 1931 Szymański zaraził się tyfusem. Chodziłem z Wasilewską do szpitala, w którym chory leżał; nie wolno było się z nim stykać, można było tylko porozumiewać się z nim znakami przez okno. Przyszło nieszczęście: Szymański zmarł.

Drugim mężem Wasilewskiej został Marian Bogatko, robotnik murarski. Bogatko był wychowankiem „młodego TURa” i środowiska „maurów” krakowskich. Anatol w „Obliczu dnia” to właśnie Bogatko, taki, jakim go Wasilewska widziała. Ten wyidealizowany obraz był daleki od rzeczywistości; Bogatko był bardzo dobrym typem działacza robotniczego, wysunął się szybko na czoło wśród murarzy, być może w przyszłości rozwinąłby się jeszcze bardziej, lecz albo nie miał po temu danych, albo nie miał okazji. I on popełnił ten sam błąd, który przed kilku laty popełnił Roman Szymański w Solvayu. Strajk krakowskich robotników budowlanych w roku 1933 był zawzięty, ciężki, długotrwały, lecz wywołany w złym czasie, zakończył się zwycięstwem pozornym, które było jedynie ocaleniem twarzy: stawki godzinowe zostały w umowie zbiorowej podniesione o 1 (jeden) grosz. W „Obliczu dnia” strajk ten koń-

czy się zwycięstwem, tak samo w biografii Heleny Usijewicz, ale to „zwycięstwo” czuli murarze krakowscy przez długie lata w swych kościołach. Wasilewska w jednym ze swych przemówień radiowych z Rosji, mówiła do robotników Krakowa: „Strajkowałam razem z wami”. Nie, nie strajkowała. Była jednak bardzo czynna w akcji pomocy dla strajkujących: gotowała dla nich na III piętrze Domu Robotniczego posiłki, rozdzielała je, wkładała w tę akcję całą swą duszę.

Z tych przeżyć narodziło się „Oblicze dnia”. Były to najpierw luźne opowiadania, drukowane w odcinku krakowskiego „Naprzodu”. Potem zostały zebrane w jedną całość i wydane przez „Rój” w Warszawie. Poszczególne opowiadania (i to nie wszystkie) łączy w tej książce tylko osoba Anatola. Wyrósł z nędzy, żył z nędzą, organizował ją do walki, poprowadził ją do walki — i zwyciężył. Potwierdzało to słowa pieśni: *C'est la lutte finale*, ale przeczyło innym słowom tej samej pieśni: *Il n'est pas de sauveurs suprêmes, ni Dieu, ni César, ni tribun*. Na przekór tym słowom, powieściowy Anatol był trybunem-zbawcą. Cały finał tej książki to zaprzeczenie myśli marksistowskiej o wyzwoleniu klasy robotniczej; to Blanqui, Sorel i Machajski, razem wzięci i przeniesieni na grunt krakowski. Pisarsko książka jest nieporadna, gospodarka słowem rozrzutna, skłonność do melodramatyzowania widoczna. A jednak nie lekceważmy tej książki. Oczywiście klasa pisarska Żeromskiego była nieporównanie wyższa. Lecz czytelnik-robotnik, dla którego Wasilewska pisała, oceniał książki kierując się kryteriami innymi niż krytyk literacki. Bohaterem dzieł Żeromskiego był zawsze inteligent, bohaterem książki Wasilewskiej był robotnik. Treścią książek Żeromskiego było cierpienie, walka i klęska, treścią książki Wasilewskiej było cierpienie, walka i triumf. Co zaś najważniejsze, wszystko co było w „Obliczu dnia” opisane, było prawdziwe: przędzalnia, cegielnia, „cygarfabryka”, rusztowanie na budowie domu, sąd i więzienie, szpital i strajk, Dom Robotniczy i przedstawienie na 1 Maja, prowokator i rewizja policyjna, demonstracja bezrobotnych i strajk generalny; w opisie tego ostatniego wyraźne były reminiscencje listopada 1923 roku. *Takie było* życie robotnicze; robotnicy i robotnice odnajdywali w tych odcinkach „Naprzodu” samych siebie. Zauważamy w „Obliczu dnia” — nie można tego nie zauważyć — wszystkie elementy całej późniejszej twórczości Wasilewskiej; wszystko jest spolaryzowane, istnieją tylko dwa rodzaje charakterów: dobre i złe; nie ma żadnych niuansów i odcieni, ludzie tej książki nie znają wahań, nie mają chwil słabości, nie załamują się nigdy, wszystko jest jak w średniowiecznym moralitecie, albo jak w szopce krowoderskich murarzy: Królu Herodzie, za twe zbytki idź do piekła, boś ty brzydki. Ale i to ówczesnego czytelnika robotniczego nie raziło. Król Herod istotnie był brzydki. Świat owych lat był potworny. Był to świat kilkudziesięciu milionów bezrobotnych, w którym ludzie marli z głodu, a jednocześnie opa-

lano pszenicą lokomotywy i topiono kawę w morzu. Oczywiście, że ekspresja literacka w (bardzo popularnym na wieczornicach robotniczych) wierszu Słonimskiego „Palenie zboża” była pełniejsza, sytuacja była bardziej artystycznie przetworzona, ale to nie umniejszało prawdy słów Wasilewskiej w „Obliczu dnia”.

„Przelewa się świat bogactwem. Wszystkiego, wszystkiego jest dość. Wagonami wali się w morze pszenicę. W ogień palenisk rzuca się wory kawy. Zakopuje w ziemię setki mlecznych krów. Spala w stosach stada kędzierzawych owiec. Bo wszystkiego jest dość, za dużo, zanadto. Dusi się świat swoim bogactwem, nażarty, syty świat. Zgaga go piecze i czkawka chwytą z nadmiaru jadła. Nadmiarem jadła czka w zapadłe oczy temu, który boso, przeświecając przez zdarte łąchmany nagim ciałem, stoi na dole”.

Tak jest, taki był świat owych lat. To samo mówiliśmy w sposób — być może — mniej uczuciowy a więcej wyrozumowany, my wszyscy socjaliści, pepesowcy na zgromadzeniach, w odczytach, w demonstracjach bezrobotnych; tym samym huczała pieśń o Czerwonym Sztandarze; zwrotka „niech zginie stary podły świat” nie była tradycyjnym tylko tekstem, lecz brzmiała aktualnym pragnieniem i dążeniem. Wyjścia z tej piekielnej sytuacji rysowały się dwa: robotnicze, to jest likwidacja ustroju kapitalistycznego i bezzwłoczne przejście do demokracji społecznej — i kapitalistyczne, to jest wojna. Wojny nie chcieliśmy, pozostawała tylko szybka, bardzo szybka zmiana ustroju społecznego, w niej było ocalenie od nędzy i zniszczenia.

W owych latach, tak samo jak w poprzednich, spotykałem się często z Wasilewską. Nasz sposób patrzenia na świat zastrzył się, bo świat stał się dla socjalistów nie do wytrzymywania, ale nieodmiennie poruszaliśmy się w ramach PPS. Obecne opracowania, zaliczające Wasilewską do jakiejś opozycyjnej frakcji w PPS, nie mają nic wspólnego z prawdą owych czasów. Z końcem 1933 roku, Wasilewska brała czynny udział w akcji PPS w czasie wyborów do krakowskiej Rady Miejskiej. W marcu 1934 roku przewieziono mnie z więzienia w Tarnowie (po wyroku w sprawie brzeskiej) do więzienia w Krakowie, najpierw na „IV bastion”, potem do „św. Michała”; gdy po jakimś czasie otrzymałem pozwolenie na obiady z miasta, gotowała je i przynosiła dla mnie Wasilewska.

W czerwcu 1934 roku nastąpiło zajście, które rzuciło cień na stosunek wzajemny Wasilewskiej i organizacji PPS. Po zamordowaniu ministra Bronisława Pierackiego, w „Naprzodzie” krakowskim ukazał się artykuł wstępny, który został zrozumiany opacznie, sprzecznie z intencjami autora. Autorem był Emil Haecker, redaktor naczelny „Naprzodu”, człowiek ogromnej wiedzy i nieposzlakowanego charakteru, który całe swe życie poświęcił sprawie robotniczej. Haecker miał świetne pióro, tym razem jednak popełnił błąd, przed którym ostrzegają wszyscy

mistrzowie rzemiosła dziennikarskiego: oto posłużył się bronią ironii. Pisać źle o zmarłym nie mógł, pisać dobrze nie chciał, więc napisał eulogię, której sens należało odczytywać wspak. Cenzura była wobec tego wybiegu bezsilna, lecz niektórzy czytelnicy „Naprzodu” wzięli artykuł dosłownie. Nie oczekiwali ujemnej oceny Pierackiego, ale oburzyły ich pochwały. Grupa młodzieży, z Bogatką na czele, wtargnęła do redakcji i siłą wyprowadziła z niej Haeckera. Był to postępek barbarzyński — i nie podobna, by Wasilewska nie wiedziała o zamiarze swego męża. Bogatko mógł nie zrozumieć istotnych intencji Haeckera, ale Wasilewska, z doktoratem polonistyki, powinna była je zrozumieć. Wasilewska była w związku z tym zajęciem zawieszona w prawach członka partii. Prawa te przywrócono jej po jakimś czasie, ale pamięć owego wydarzenia obciążała ją przez czas długi.

Jesienią 1934 roku przeniosła się do Warszawy. Jeśli wierzyć Helenie Usijewicz, wygnała ją i jej męża z Krakowa niemożność znalezienia pracy w Krakowie. Wynikałoby stąd, że jechali oboje szukać pracy w Warszawie w swoich zawodach: ona jako nauczycielka, on jako robotnik murarski. Jedno i drugie nie jest zgodne z prawdą. Bogatko zdeklasował się i w ogóle przestał pracować. Zajmował się domem, asystował swej żonie w środowiskach lewicy literackiej, w pochodach 1 Maja chodził z grupą literatów i dziennikarzy, nie z robotnikami budowlanymi, przeszedł na mieszczański sposób bycia i w niczym już nie zapowiadał sobą Anatola — płomień i miecz rewolucji. Wasilewska jechała do Warszawy, by objąć pracę w „Płomyku”, wydawanym przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, organizację w owym czasie związaną z „sanacją”. Nauczyciele nie cieszyli się wówczas dobrą sławą wśród robotników po miastach i chłopów na wsi; z reguły nauczyciel funkcjonował jako agitator BBWR i działacz wszelkich stowarzyszeń zbliżonych do rządzącego obozu piłsudczyków; w świeżej pamięci była organizowana przez nauczycieli akcja wysyłki kartek imienninowych na Maderę, w kilka miesięcy po Brześciu i wyborach brzeskich. Prawda, nauczyciele odgrywali tę rolę pod presją, ale prawdą jest także, że presji tej nie stawiali oporu, a w każdym razie nie czynił tego ich związek. Kto stawał opór, płacił za to ciężko; wspomnę tu tylko nauczyciela Stefana Petryłę, pepesowca z Grybowa, którego zaszczuto na śmierć, przenosząc go z miejsca na miejsce i dręcząc szykanami.

Do czasu swego przeniesienia się do Warszawy Wasilewska z całą pewnością nie była niczym związana z partią komunistyczną. Była radykalna w tym samym sensie, w jakim cała PPS była podówczas radykalna. Na przełomie lat 1933 i 1934 odbył się w Warszawie XXIII kongres PPS; Wasilewska na tym kongresie została wybrana w skład Rady Naczelnej PPS na rachunek reprezentacji kobiecej. Z tego tytułu brała udział w

posiedzeniach Rady Naczelnej partii, które odbywały się mniej więcej co pół roku, ale żadnej roli szczególnej w niej nie odegrała, głos zabierała rzadko. Pamiętam tylko jedno jej przemówienie. Przewodniczącym Rady Naczelnej był w owym czasie jej ojciec, Leon Wasilewski. Przemówienie Wasilewskiej zapamiętałem, gdyż w pewnym momencie wdała się w polemikę ze swym ojcem, dowodząc, że „rewolucja łagodna” jest niepodobieństwem: „i będzie czerezwyczajka, towarzyszu Wasilewski”; lecz pogląd ten w okresie triumfującego w Niemczech hitleryzmu nie był na lewicy odosobniony, a w każdym razie nie oznaczał jeszcze ulegania wpływom komunistycznym. Poza posiedzeniami Rady Naczelnej, Wasilewska w zorganizowanym życiu PPS na ogół nie uczestniczyła. W Krakowie życie PPS koncentrowało się w Domu Robotniczym przy Dunajskiego, w Warszawie — na dzielnicach. Wasilewska mieszkała w domu Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu, chyba więc należała do żoliborskiej dzielnicy PPS, jednak nie udzielała się w niej.

Wasilewska znalazła w Warszawie kontakt z dwoma środowiskami: z lewicowymi literatami i z grupą jednolitofrontową PPS. Jej dorobek literacki był w owym czasie jeszcze skromny i ograniczał się do jednej książki, więc w środowisku literackim nie mogła przewodzić, zresztą było w nim sporo komunistów *di prima cartello*, którym Wasilewska niewiele mogła powiedzieć. Środowisko jednolitofrontowych pepesowców miało w swym składzie działaczy bardzo znanych i wybitnych, jak Barlicki, Dubois i Próchnik; tu także Wasilewska nie mogła nikomu zaimponować; wiedza teoretyczna w zakresie socjalizmu nigdy zresztą nie była jej mocną stroną, a jej skłonność do uproszczeń graniczyła z naiwnością polityczną. W Warszawie Wasilewska także nie była członkiem KPP, wstąpiła jednakże do MOPR-u, co automatycznie oznaczało wejście w krąg kontaktów i wpływów komunistycznych. Od roku 1936 należała do Komitetu Centralnego MOPR-u, razem z Duraczem, Sempołowską, Barcikowskim i Andrzejem Strugiem. Brała też udział w Lidze Obrony Praw Człowieka, również razem z Andrzejem Strugiem. Z początkiem 1936 roku zaczęła redagować dwutygodnik „Oblicze Dnia”; tytuł był wzięty z jej powieści. Lista współpracowników tego pisma była świetna, otwierał ją Romain Rolland; jeśli chodzi o nazwiska polskie, było to *mixtum compositum*, złożone z komunistów, socjalistów typu Andrzeja Struga i Dubois, „czystych” literatów oraz pewnej odmiany piłsudczyków, takich jak Halina Krahelska (piłsudzczycy, po zgonie Piłsudskiego, szukali dla siebie nowej orientacji i część ich orientowała się na skrajną lewicę — o ile komunistów można nazwać lewicą). Potem przyszła Deklaracja Praw Młodego Pokolenia i Front Młodego Pokolenia, Zjazd Pracowników Kultury we Lwowie, „Dziennik Popularny” i 4-dniowy strajk okupacyjny pracowników Związku Nauczycielstwa Polskiego. Publikacje ostatnich lat

rzucają trochę światła na te poczynania. I tak o dwutygodniku „Oblicze Dnia” informuje nas Helena Usijewicz, że faktycznie kierowali tym pismem (*rukowali*) na pierwszym miejscu Bi-browski (wybitny komunista) i dopiero na drugim miejscu Wasilewska; w innym miejscu pisze Usijewicz: „faktycznie był to organ MOPR-u”. O Deklaracja Praw Młodego Pokolenia czytamy w książce Eugeniusza Rudzińskiego, że była zainspirowana przez KC KZMP. O zjeździe lwowskim pisze obszernie Marian Naszkowski w swych wspomnieniach („Niespokojne dni”), o „Dzienniku Popularnym” pisze Józef Kowalczyk („Ludzie i partia”). O roli Wasilewskiej w Związku Nauczycielstwa pisze Helena Usijewicz: „Kompartii Polski udało się przełamać skostnienie, bojaźliwość i dezorientację pracowników Związku Nauczycielstwa. Wielką pracę w kierunku rewolucjonizowania Związku Nauczycielstwa wykonała, kierując się radami i wskazówkami komunistów — Wanda Wasilewska”.

Z wszystkich tych publikacji wynika, że Wasilewska w swym okresie warszawskim stale ocierała się bardzo blisko o komunistów i że z nimi ściśle współpracowała. Jednakże wiele spraw układa się w oczach dzisiejszych oficjalnych historyków inaczej, niż wyglądały one naprawdę. W pracach na temat Wasilewskiej ulubionym szablonem jest przypisywanie patronatu nad całą lewicową literaturą lat przedwojennych: Wasilewskiej, Broniewskiemu i Kruczkowskiemu. Broniewski był autentycznym komunistą, to niewątpliwe; lecz Kruczkowski daleki był od komunizmu, zamierzał wstąpić do PPS, jednak mu to wyperswadowałem w obawie, że dyscyplina partyjna okaże się dla niego za trudna do zniesienia; co jeszcze ważniejsze: Kruczkowski podpisał protest przeciwko procesom czarownic w Związku Sowieckim, czego żaden komunista by nie uczynił. Wcale więc owa lewica literacka lat przedwojennych nie była tak ściśle związana z partią komunistyczną, jak się to dzisiaj podaje do wierzenia. Wcale też nie była Wasilewska tak bezkompromisową przedownicą rewolucji, jak to dzisiaj usiłują wykazać różni historycy w Moskwie i Warszawie. Nie ostrzegała przed wydaniem sowieckiego numeru „Płomyka”, bo w samym poмысле takiego numeru nie było niczego zdrożnego — po numerach poświęconych różnym innym krajom. Natomiast ostrzegała przed umieszczeniem w nim dwóch poematów o wydźwięku oczywiście agitacyjnym. I to właśnie te dwa poematy wywołały krótkie spięcie. Zresztą cały ów strajk nauczycielski z października 1937 roku nie był tak wielką walką, jedną z największych walk społecznych i politycznych okresu międzywojennego, za jaką się go dzisiaj przedstawia. Jednodniowy strajk nauczycielski pozostał ograniczony do okręgu szkolnego warszawskiego, już np. w okręgu krakowskim nawet jednodniowy strajk został w ostatniej chwili przez Związek Nauczycielstwa telegraficznie odwołany. W Warszawie punktem szczytowym strajku był pochód nauczycieli do Belwederu, gdzie przedstawili swą sprawę pani Piłsudskiej, co było pomysłem

raczej oportunistycznym. Naturalnie, strajk nawet jednodniowy, to było wiele, jeśli zważyć tyle lat poniżenia i spętania nauczycielstwa na służbie obozu sanacyjnego. Z drugiej jednak strony, trudno byłoby porównywać walkę nauczycielstwa z niedawnymi wielkimi walkami robotników (krwawy rok 1936) albo chłopów (niemniej krwawy sierpień 1937 roku). Nie należało też wymagać od robotników, by poparli walkę nauczycieli strajkiem generalnym w całym kraju, skoro nauczyciele sami nie potrafili zdobyć się na taki strajk.

W latach przedwojennych komuniści nie wysuwali się na czoło, starali się swoje inicjatywy i swoje wpływy zasłaniać różnymi szerokimi fasadami. Po pierwsze, tak było bezpieczniej, po drugie, tego wymagały uchwały VII zjazdu Kominternu. Co najważniejsze, wpływy te były rzeczywiście niewielkie. Teraz jednak wszystko ulega retrospektywnej zmianie, odwróceniu. Wedle dzisiejszych publikacji Zakładu Historii Partii, wpływy KPP w okresie lat 1935-1938 były wszechobecne i potężne; ona jako by była sprężyną wszystkich wielkich ruchów społecznych owego okresu. Rzeczywistość była jednakże zgoła odmienna. Jedy-nym terenem, na którym komuniści odnosili pewne sukcesy i poszerzali swój stan posiadania, była inteligencja pracująca, a i tam mogli trafiać do szerszego grona ludzkiego tylko pod maską różnych frontów czy komitetów: wyraźna firma komunistyczna wciąż odstraszała i to nie tylko ze względu na represje; ostatecznie w tym czasie na ruch socjalistyczny i ludowy spadały czasem niemniej ciężkie represje jak na komunistów. Na terenie robotniczym komuniści wyraźnie tracili to co zdobyli w latach 1931-1936, rząd dusz na tym terenie należał do PPS. W ruchu robotniczym zawsze są jakieś trudności i kłopoty, więc mieliśmy też w pewnych okresach i pewnych ośrodkach kłopoty z infiltracją komunistyczną. Jak wszystkie inne, także i te kłopoty uważaliśmy za przejściowe i nie przywiązywaliśmy do nich nadmiernej wagi. Tematy epoki były trzy: wielki kryzys kapitalistyczny, faszyzm, i coraz bardziej rosnąca na horyzoncie groźba wojny. W Polsce system rządzenia wykopał w okresie Brześcia przepaść, która podzieliła nieodwołalnie kraj; likwidacja tego systemu była najważniejszym zadaniem polskiej lewicy. Powstanie Schutzbundu w Austrii, a potem walka lojalistów hiszpańskich w obronie republiki miały po swej stronie powszechną sympatię polskich robotników. Ze Związku Sowieckiego nadchodziły wiadomości o urzeczywistnionej gospodarce planowej i prawie do pracy; nie znano jeszcze prawdy o łagrach; procesy czarownic budziły odrazę, ale terror hitlerowski w Niemczech był bliższy i tym samym groźniejszy. Nie chcieliśmy ani „jednolitego frontu” ani „frontu ludowego” z komunistami, ocena ruchu komunistycznego pozostawała w polityce PPS niezmieniona, ale sam problem komunizmu i Rosji Sowieckiej malał w skali wydarzeń, nad którymi ciążył pochód hitlerowskiego faszyzmu w Europie. Toteż kierownictwo

partyjne patrzyło cierpliwie na „ludowo-frontowe” poczynania Barlickiego, Dubois i Wasilewskiej, które koncentrowały się w „Dzienniku Popularnym”: PPS przeżywała w swej historii różne aberracje i otrząsała się z nich organicznie, bez stosowania represji organizacyjnych. Do konfrontacji doszło na XXIV kongresie PPS w Radomiu, w lutym 1937 roku. Wbrew dzisiejszemu dziejopisarstwu komunistycznemu, projekt programu partyjnego opracowany przez grupę „ludowo-frontową”, tak zwany „żółty program”, nie odegrał żadnej roli w obradach i nie wywarł żadnego wpływu na sformułowanie radomskiego programu PPS. Grupa „ludowo-frontowa” odegrała na samym kongresie rolę żałosną. Jej przywódca, Barlicki, wygłosił przemówienie, w którym pouczał nas, iż faszyzm prze do wojny — jak gdybyśmy o tym nie wiedzieli; Wasilewska milczała, Próchnik w ogóle nie przybył. Kongres był niemal jednomyślny w odrzuceniu linii „ludowo-frontowej”, w czym był dokładnym odbiciem prądów nurtujących organizację partyjną. Pomimo różnicy zdań, kongres wybrał jednak Barlickiego do nowej Rady Naczelnej, a tak samo wybrał Andrzeja Struga oraz dwóch działaczy łódzkiego OKR-u, Artura Szewczyka i Henryka Wachowicza, którzy na swym terenie byli rzecznikami współpracy z komunistami. Lecz Wasilewska nie została więcej do Rady Naczelnej wybrana i tym samym przestała odgrywać jakąkolwiek rolę w życiu wewnętrznym partii.

Nasze stosunki osobiste uległy pewnemu oziębieniu na tle różnicy poglądów politycznych; w życiu PPS reprezentowałem kierunek możliwie najradykałniejszy w stosunku do reżymu pomajowego, ale byłem przeciwny szukaniu siły w „frontach” z komunistami; siłę swoją — moim zdaniem — mogła PPS znaleźć tylko w własnej pracy i walce. Pomimo to utrzymaliśmy z sobą kontakt, spotykałem się co pewien czas z Wasilewską w Warszawie, a jesienią 1938 roku zaprosiłem ją na odczyty do Krakowa i Tarnowa. I ja i moja żona nie zapraszaliśmy jej na zgromadzenia polityczne, o co miała do nas żal. Nie życzyliśmy jednak sobie, by wносиła swą linię polityczną, znaną nam z „Dziennika Popularnego” — do organizacji partyjnych, za które ponosiliśmy odpowiedzialność. Zgodziłem się natomiast na odczyty, których tematem miało być Polesie, gdzie spędziła wraz z swym mężem wakacje, zbierając materiały do nowej książki. Odczyty istotnie wygłosiła, była też w tym samym czasie obecna — jako widz — na wielkich, wspaniałych obchodach 20-lecia niepodległości w tych dwóch miastach. Oba obchody były zorganizowane przez PPS; mówiliśmy o nadchodzącej godzinie kryzysu w stosunkach międzynarodowych, o prawie mas ludowych do obrony państwa i do kierowania państwem, ale nikt ani wśród mówców, ani wśród tysięcy uczestników obchodów nie mówił i nie myślał o „froncie ludowym” z komunistami. Wasilewska była przejęta masowością tych manifestacji i panującym na nich nastrojem. Ani słowem nie kry-

tykowała już polityki PPS. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Tu wieniem dodać, że Wasilewska — wbrew temu co czytam w książce Heleny Usijewicz — nie była dobrą mówczynią. Miała wprawdzie uporządkowaną w głowie treść zamierzonego przemówienia, dobrą dykcję i wytrzymały głos, ale nie umiała zupełnie poruszać się na mównicy, stała bez ruchu od początku do końca swego przemówienia, co czyniło nienaturalne wrażenie. No trudno, na mówczynię się nie urodziła. Natomiast jako pisarka czyniła widoczne postępy, zwłaszcza opisy przyrody były w jej nowych książkach znakomite. Jej „Ojczyzna” (1935), powieść z życia robotników rolnych, oparta była na obserwacjach wyniesionych ze Staniątek pod Wieliczką, gdzie Wasilewska przez szereg lat pracowała jako nauczycielka w tamtejszym gimnazjum klasztornym ss. Benedyktynek. Nie był to już — jak „Oblicze dnia” — zbiór dość sztucznie zeszytych opowiadań, książka miała plan i ciągłość akcji. Politycznie — była to książka pepesowska, widziała Polskę tak jak ją widziała ówczesna, bardzo opozycyjna PPS. Lecz zawsze był to szablon czarno-biały, nigdy z niego Wasilewska nie umiała się wydobyć. Ten szablon był w niej; jej sposób myślenia i odczuwania był taki: czarne albo białe. Taka też była „Ziemia w jarzmie” (1938), powieść o życiu chłopskim nad Bugiem. I taki był „Płomień na bagnach”, powieść czy raczej opowieść o Polesiu i Poleszukach, która była gotowa do druku, gdy wybuchła wojna. Twórczość Wasilewskiej zwróciła uwagę w Moskwie. Gosizdat wydał w roku 1935 przekład rosyjski „Oblicza dnia”, w roku następnym przekład „Ojczyzny”, w roku 1939 przekład „Ziemi w jarzmie”. Pierwsze dwie książki ukazały się w nakładzie po 10.000 egzemplarzy, trzecia — w nakładzie 25.000 egzemplarzy. Recenzje prasowe („Bolszewik”, „Prawda”, „Nowy Mir”, „Komsomołskaja Prawda”) były bardzo życzliwe. Nakłady dzieł Wasilewskiej w Moskwie przewyższały wielokrotnie nakłady w Warszawie. Fakty te musiały wywrzeć wrażenie na bardzo ambitnej Wasilewskiej i przyczynić się do postawy, jaką zajęła we wrześniu 1939 roku.

Do chwili wybuchu drugiej wojny światowej Wasilewska nigdy nie zaznała surowości reżymu, o której sama tyle pisała i o której pisze jej biografka. Pani Usijewicz w ogóle mocno koloryzuje. Pisze np. jak to początkowy okres po wybuchu pierwszej wojny światowej musiała Wanda spędzać w *gołodziej dieriewnie*, do której wyjechała z babką na lato. Naturalnie, wieś galicyjska w czasie wojny nie dojadła, ale jakoś sobie dawała radę — lepiej niż miasto które naprawdę głodowało. Życiorys Wasilewskiej, umieszczony w rosyjskich wydaniach jej książek, dodaje, że znalazła ona schronienie w biednej chłopskiej rodzinie: „dziesięcioletnia dziewczynka pracowała w polu i w ogrodzie, pasła bydło”. W polskich życiorysach ten szczegół, który ma wywołać łezkę w oczach czytelników, a co najmniej wrażenie, że Wasilewska wyszła z ludu i cierpiała ra-

zem z ludem, został opuszczony, bo wrażenie musiałyby być odwrotne od zamierzonego. Ostatecznie, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Lecz przejdźmy od dziewczynki do dorosłej pisarki. W odcinkach „Naprzodu” opowiadania Wasilewskiej, które złożyły się później na jej książkę „Oblicze dnia”, przeszły przez cenzurę (krakowską) nietknięte. W wydaniu książkowym w Warszawie zostały skonfiskowane. Stała się jednak rzecz niepraktykowana: komisariat rządu pozwolił puścić skonfiskowaną książkę w obieg księgarski, pod warunkiem opuszczenia w niej inkryminowanych stron. Czytam w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, że Wandzie Wasilewskiej groziło więzienie. Nie wiem, czy groziło, wiem, że nigdy nie była pozbawiona wolności. Czytam w biografii Heleny Usijewicz, że nie było tygodnia, by Wasilewskiej „nie wzywali do sądziego śledczego” i że „z dnia na dzień oczekiwała aresztowania”. Tylko tyle da się jednak powiedzieć o „martyrologii” Wasilewskiej. Ostatecznie włos jej nie spadł z głowy „w starej pańskiej Polsce”, o której pisze Nikołaj Grybaczew we wspomnieniu pośmiertnym w „Literaturnoj Gazecie”. Dopiero pod panowaniem sowieckim miała ją spotkać prawdziwa tragedia: zgon męża.

Przyszedł wrzesień 1939 roku. Wasilewska opuściła Warszawę. Razem ze swym mężem, Haliną Pilichowską i Szymonem Natansonem, b. wydawcą „Dziennika Popularnego”, dotarła do Kowla. Jak pisała później, szła do kraju socjalizmu, do wielkiej ojczyzny wszystkich pracujących, a tymczasem granica sowiecka sama przyszła do niej. W tym samym mieście znaleźli się i inni socjaliści, polscy i żydowscy z Warszawy. Pełownicy Mastek, Gryłowski, Wojewoda i Bator zostali uwięzieni; Gryłowski zmarł na betonowej podłodze więzienia w Kowlu, Mastek powędrował do łagru, tylko Wojewoda i Bator odzyskali wkrótce wolność (Bator zginął potem w Oświęcimiu). W więzieniu kowelskim znalazł się tak samo bundowiec Wiktor Alter, przewieziono go stamtąd do więzienia w Moskwie. Także przywódca miejscowych kowelskich robotników, Edward Górnaczk został uwięziony i skazany na śmierć za sam fakt przynależności do PPS; karę śmierci zamieniono mu na biały Oświęcim Kołomy. Dubois postanowił wracać z Kowla do Warszawy i obrócić zamiar w czyn. Dla Pilichowskiej, wspólnej przyjaciółki naszej (tj. mojej i Wasilewskiej), dzień 17 września był wstrząsem, który zdruzgotał cały jej dotychczasowy obraz świata; niestrudzona tłumaczka z literatury sowieckiej, orędowniczka frontów „jednolitych” i „ludowych”, współpracownicza „Dziennika Popularnego”, zawędrowała za swoją postawę dość rychło do więzienia. Lecz Wasilewska nie miała żadnych wątpliwości. Władze sowieckie otoczyły ją od razu dymem kadzideł. Skierowała się do Lwowa, dokąd przybyła w połowie października. Od razu rzuciła się w wir akcji przedwyborczej do Narodnego Zboru, który miał uchwalić prośbę o przyłączenie Ukrainy Zachodniej do Związku Sowieckiego.

Było już za późno na postawienie jej kandydatury, ale nie za późno na występowanie na zgromadzeniach przedwyborczych — o ile można nazwać wyborami głosowanie na kandydatury zgłajchszaltowane.

Wkraczający na ziemie państwa polskiego, komisarze polityczni przy każdym oddziale sowieckim mieli z sobą dokładne listy miejscowych osób, które władze sowieckie przeznaczały do więzienia; osoby te były zamykane bez zwłoki (np. Artur Hausner, przywódca PPS we Lwowie; zmarł wkrótce w więzieniu). Co się tyczy uchodźców z części Polski, będącej pod okupacją niemiecką, oficerowie sowieccy mieli tylko — na wszelki wypadek — listy głównych przeciwników ustroju sowieckiego (i tak ostrzegł mnie Bator, że mają oni spis członków CKW PPS i że ich poszukują), a ponadto mieli listę osób dobrze widzianych, które należy ująć i oddać w ręce władz sowieckich — w zamiarach przyjaznych. Do osób takich należała Wanda Wasilewska, Julian Tuwim i Ewa Turska-Bandrowska. Tuwim przy pomocy Vincenza przeszedł granicę węgierską. Turska-Bandrowska znalazła się w zasięgu wojsk sowieckich i musiała występować na koncertach w Związku Sowieckim, Wasilewska zgłosiła się sama.

Wanda Wasilewska była od razu *persona gratissima*. Wypłacono jej honoraria za wydane w Moskwie przekłady; traktowano z największymi honorami; była u komdiwa Iwanowa, wojskowego komendanta miasta Lwowa, niemal jak u siebie w domu. Otrzymała zaproszenie do Kijowa i odbyła podróż po sowieckiej Ukrainie. Odwiedziłem ją jakoś z końcem listopada 1939 roku, po powrocie z tej podróży. Uczyniłem to niechętnie i z bardzo ciężkim sercem, ale musiałem podjąć próbę ocalenia Zygmunta Piotrowskiego, który został ujęty koło Doliny razem ze mną, moją żoną i synem; nas troje wydostało się na wolność, Piotrowski został w więzieniu. Piotrowski, b. poseł na Sejm, był sekretarzem generalnym TUR-a i Wasilewska miała w stosunku do niego duży dług wdzięczności za wzięcie jej w obronę po strajku nauczycielskim. Nie mówiłem nic o naszej próbie przejścia granicy i o naszym krótkotrwałym uwięzieniu, ograniczyłem się do zakomunikowania, iż Piotrowski został uwięziony i że proszę o wstawiennictwo za nim. Nie odmówiła, ale też nie wiele przekonania włożyła w to swoje przyrzeczenie. Były jakoby wielkie trudności w odszukiwaniu więźniów. Odpowiedziała mi na dowód, że słyszała o uwięzieniu Mariana Czuchnowskiego, że prosiła Iwanowa o zwolnienie poety, że Iwanow przy niej telefonicznie wydał rozkaz przeszukiwania więzień i że Czuchnowskiego nigdzie nie znaleziono. (W rzeczywistości Czuchnowski był w więzieniu, ujęty przy przechodzeniu Sanu). Rozmowa zesza też na Mastka, Wasilewska sama ją na ten tor skierowała. Powiedziała mi, że w Kowlu władze wojskowe sowieckie okazały jej dokumenty, z których wynikało, iż Mastek był agentem II Oddziału; akta II Oddzia-

łu miały znajdować się w pociągu ewakuacyjnym z Warszawy, który dojechał do Kowla, gdzie go trafiła bomba z samolotu niemieckiego; w rozwalonym wagonie odnalazły te akta wojska sowieckie, a niezwykłym zbiegiem okoliczności odnalazły w Kowlu także Mastka. Powiedziano jej także, że znalezione akty stwierdzały, iż Dubois również był agentem II Oddziału; tu Wasilewska zauważyła, że nie daje wiary otrzymanym wiadomościom, jeśli chodzi o Dubois, lecz co do Mastka — wierzy. Zresztą Mastek — mówiła — przyznał się. „No bo ty Adam chyba nie wierzysz tym wszystkim opowiadaniom o wyciskaniu przez NKWD zeznań z więźniów torturami”. Ja wierzyłem, ona nie wierzyła.

Głównym tematem rozmowy ze strony Wasilewskiej była podróż do Kijowa. Opowiadała, że miała możliwość swobodnego poruszania się po mieście, wchodziła niezapowiadana do mieszkań, rozmawiała bez przeszkód z ludźmi — wszyscy są szczęśliwi, wdzięczni za lepsze, piękniejsze życie. Dla mnie przywozła z Kijowa papierosy, dla mego 10-letniego syna — czekoladki, jedne i drugie bardzo marnej jakości. Na zakończenie rozmowy zapewniła mnie, że Armia Czerwona na wiosnę wejdzie do Warszawy. Obecny przy rozmowie Bogatko poprawił swą żonę: „Może nie na wiosnę, ale na przyszłą jesień — na pewno”. Nie wypytywałem, skąd u Wasilewskiej ta pewność. Wystarczyło mi stwierdzenie, że mam do czynienia z człowiekiem, który znalazł swe miejsce w rzeczywistości sowieckiej i był z tego szczęśliwy. Wasilewska rzeczywiście promieniała zadowoleniem i radością. Cała też była przejęta swym nowym życiem. Ani słowem nie zapytała mnie o moje zamierzenia. Była to moja ostatnia rozmowa z Wasilewską. Piotrowskiego oczywiście nie odnalazła; można tylko przypuszczać, że zginął wśród więźniów, których władze sowieckie wymordowały w chwili wycofywania się ze Lwowa w czerwcu 1941 roku. Spokój ducha i radość Wasilewskiej umocniły się, gdy Gestapo — na prośbę władz sowieckich — dostarczyło do Lwowa jej córeczkę Ewę z Warszawy; matka Wasilewskiej odmówiła skorzystania z grzeczności Gestapo i pozostała w Warszawie (zmarła z początkiem roku 1958). W kilka miesięcy później na życie Wasilewskiej padł cień: zginął jej mąż, zastrzelony przez nieznanego sprawcę. Helena Usijewicz podaje do wierzenia: „zabity przez bandę kontrrewolucjonistów”. Nie było bandy, był jednostkowy sprawca; mówił po rosyjsku; gdy w mroku zimowego wieczoru Bogatko uchylił drzwi, padło pytanie w języku rosyjskim i zaraz potem strzały. Bogatko zachowywał się we Lwowie tak samo, jak przed tym w Krakowie i Warszawie, chodził gdzie chciał i mówił, co myślał. Nie żył w stanie euforii, jak jego żona; miał oczy otwarte, interesował się położeniem robotników i widział, że jeśli chodzi o ochronę pracy, ubezpieczenia społeczne i uprawnienia związków zawodowych — sytuacja uległa znacznemu pogorszeniu w porównaniu z sytuacją w „pańskiej Polsce”; toteż kręcił

nosem na nową rzeczywistość. Zapłacił za to życiem. Lecz załoba Wasilewskiej nie trwała długo. Znajomość z Aleksandrem Korniejczukiem zamieniła się w związek małżeński. Słyszałem Korniejczuka tylko raz we Lwowie; zrobił na mnie — tak samo jak na innych słuchaczach — wrażenie prymitywu. Może to właśnie pociągało do niego Wasilewską. Było coś nienormalnego w jej dobieraniu sobie mężczyzn: musiała mieć mężczyzn nie dorastających do niej intelektualnie. Sama zwierzała się, że potrafi kochać tylko mężczyzn, niżej od niej stojących. Była do nich przywiązana i o nich zazdrosna, miała w tym zakreślenie „instynkt posiadacza”. Kochała ich na swój sposób. Byli nieodzowni, ale nie byli najważniejsi w jej życiu.

Małżeństwo z Korniejczukiem jeszcze bardziej związało Wasilewską z rzeczywistością sowiecką. Ustosunkowała się do niej z miejsca pozytywnie, w Armii Czerwonej widziała nie okupantów i sojuszników hitlerizmu, lecz oswobodzicieli. W dniu 8 listopada 1939 roku ukazał się w „Czerwonym Sztandarze” lwowski jej artykuł sprawozdawczy o paradzie armii sowieckiej w rocznicę przewrotu bolszewickiego: zachwyt, miłość, oddanie bezgraniczne były ze słów tego artykułu. Potem pisała do „Prawdy”, „Izwestii”, „Krasnej Zwiezdy” i „Radianskoj Ukrainy”. Została członkiem WKP (b). W ostatnio ogłaszanych nekrologach, tak samo jak w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, jako data jej wstąpienia do partii podany jest rok 1941. Ale Helena Usjewicz podaje: z początkiem 1940 roku. Ja zaś twierdzę, że z końcem 1939 roku. Sam słyszałem komunikat radia lwowskiego o weryfikacji byłych członków KPP; weryfikację przeprowadzała Wanda Wasilewska, pierwszym, kogo zweryfikowała, był Borejsza. W roku 1940 wybrana została ze Lwowa deputatem do Najwyższego Sowietu. Początkowo usiłowała wysłuchiwać skarg i prośb swych wyborców, interweniowała w ich obronie u władz sowieckich; gdy wysłała depeszę do Mołotowa z prośbą o wstrzymanie masowych deportacji ludności Lwowa w głąb Związku Sowieckiego, odpowiedzi nie otrzymała, natomiast pouczono ją w NKWD, iż deputat do Najwyższego Sowietu nie jest tym samym, co poseł do burżuazyjnego parlamentu. Deputatem do Najwyższego Sowietu była aż do swego zgonu, ale w następnych kadencjach nie reprezentowała Lwowa, lecz okręgi wyborcze w głębi Związku Sowieckiego.

Pozostało jej pisanie. Z początkiem 1941 roku zaczął wychodzić we Lwowie, pod redakcją Wasilewskiej, miesięcznik „Nowe Widnokreği”, jako „organ Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR”. Nie były „Nowe Widnokreği” pojęte jako pismo literatów polskich, których losy wojny wyrzuciły na ziemię znajdujące się pod władzą sowiecką i którzy swoją przyszłość widzą w odbudowanym niepodległym państwie polskim; miały być one wyrazem polskiego elementu etnicznego w ZSSR. W numerze 7, z lipca 1941 roku, wydanym w Moskwie już po uderzeniu Niemiec hitlerowskich na Związek Sowiecki, znajduje-

my artykuł Wandy Wasilewskiej zatytułowany „Pieśń o ojczyźnie”, a w nim takie słowa:

„Kwitła pokojem nasza ojczyzna. Kiedy gorzała płomieniem wojny Europa, byliśmy dumni z tego, że u nas spokojnie pracuje robotnik w fabryce i wysoko rośnie złoto pszenicy na naszych polach, że na ulicach miast słychać śmiech bawiących się dzieci, że może spokojnie kłaść się spać pracujący człowiek.

Śpiewaliśmy pieśni o naszej ojczyźnie: o tym, że spokojnie może spać miasto, które kochamy, bo jego snu strzeże siła, której nic nie złamie. Śpiewaliśmy o tym, że gdy zagrozi nam wraza siła, wszyscy, jak jeden poderwiemy się do walki. Śpiewaliśmy, jak w dzień rozgrywki zatrzęszzą kulomioty, zahuczą tanki i na ziemi, na morzu i niebie rozpali się bój za ojczyznę.

Dziś przyszedł ów dzień. Runęła na nasze granice brunatna lawina”.

Sądząc z tych słów, dla Wandy Wasilewskiej wojna rozpoczęła się w dniu 22 czerwca 1941 roku.

A dalej:

„Kiedy ruszył Hitler przez Europę, runęły państwa, jak domki z kart. Ale żaden kraj nie miał tyle do stracenia, co my. Żaden naród w państwach podbitych przez Hitlera nie mógł powiedzieć: państwo, którego jestem obywatelem, jest moim państwem. Rząd, który stoi na czele mojego kraju, jest moim rządem. Partia, która mnie prowadzi, jest moją partią.

Obywatel radziecki walczy o to, co sam stworzył, zbudował, wybrał, za to, co mu droższe ponad wszystko, bliskie, własne i umiłowane”.

Sądząc z tych słów, państwo polskie nie było własnym państwem Wasilewskiej. Państwo sowieckie nim było.

I wreszcie:

„My zwyciężymy. Zwyciężymy, ocalając ojczyznę, świat, ludzkość. Wpiszemy w karty historii najpiękniejszą, najwspanialszą, jaką znała historia, pieśń o miłości ojczyzny”.

Nie może być najmniejszej wątpliwości: za ojczyznę swą Wasilewska uważała Związek Sowiecki. A ponieważ narodowość jest przede wszystkim sprawą samookreślenia, więc nie trzeba Wasilewskiej odbierać pośmiertnie prawa do tego poczucia narodowego, które odnalazła w sobie we wrześniu 1939 roku w Kowlu. Wymieniła narodowość polską na narodowość sowiecką. Czy narodowość taka istnieje? A czy istniała narodowość austriacko-węgierska, czechosłowacka, jugosłowiańska? Spór na ten temat jest bezcelowy i bezużyteczny. Wanda Wasilewska udowodniła swój patriotyzm sowiecki słowem i czynem.

Była najpierw komisarzem pułkowym, później (po wprowadzeniu stopni oficerskich) pułkownikiem Czerwonej Armii. Funkcja: „agitator frontowy”. „Pamiętam Wasilewską — pisał po jej zgonie Leonid Nowiczenko — w czasie Wojny Ojczyźnianej. W ciężkich butach, w oficerskiej bluzie, przeszła liczne frontowe

szlaki i wszędzie oczekiwano jej z niecierpliwością, jako jednego z najżarliwszych agitatorów i trybunów tej świętej wojny". „Ja po ziemi ukraińskiej, w szeregach Czerwonej Armii — pisała Wasilewska o sobie w „Wolnej Polsce” — przeszłam cały szlak wojny na Ukrainie, od Lwowa do Donu”. „Podnosiła ducha bojców — pisze Helena Usijewicz — płomiennymi mowami. Jej opowiadania i szkice, drukowane w „Prawdzie”, „Izwestiach”, „Krasnoj Zwiezdie”, są pamiętne”. W ciągu dwóch lat ukazało się sześć broszur propagandowych Wasilewskiej. Jeden ze zbiorów jej opowiadań wojennych, „W chacie”, drukowany był (po rosyjsku) w nakładzie miliona egzemplarzy. W lipcu 1942 roku Wasilewska uzyskała urlop z wojska, celem kontynuowania „Tęczy”. Powieść ta ukazała się w „Izwestiach” i „Oktiabrze” i przyniosła autorce nagrodę Stalina.

A Polska?

Wanda Wasilewska odegrała dużą rolę w rozwoju wydarzeń na odcinku stosunków polsko-sowieckich, większą, niż się to powszechnie przypuszcza. W tym samym numerze „Nowych Widnokręgów”, w którym pisała o Związku Sowieckim: „Kwitła pokojem nasza ojczyzna”, znajdujemy także jej odezwę do Polaków, a w niej zwroty takie, jak „my Polacy”, „nasza ziemia”, „nasze dzieje”. Nasilenie jej uczuć, gdy mówiła i pisała o Polsce, nie dorównywało nasileniu sentymentów dla Związku Sowieckiego. Lecz niechaj przemówią fakty. W dniu 27 listopada 1941 roku odbył się w Saratowie „radiomiting przedstawicieli narodu polskiego”. Pierwsze przemówienie wygłosiła Wanda Wasilewska, po niej przemawiali Jakub Parnas, Aleksander Joczys, Julian Bronowicz (Brun), Stefan Jędrychowski, Aleksander Korniejczuk (ten mówił po ukraińsku, wszyscy inni po polsku), Jerzy Putrament i Wiktor Grosz, po czym nastąpił radiokoncert: muzyka Szopena; Leon Pasternak i Putrament odczytali swe utwory literackie; śpiewaczka ukraińska Zoja Gajdaj odśpiewała arie z „Halki” Moniuszki; Maksym Ryłski odczytał poemat „K bratiam Polakom”. W radiomitingu saratowskim nie byłoby niczego szczególnego — po prostu propaganda — gdyby nie jego data i to, co w przemówieniach pominięto milczeniem. Odbywał się on dokładnie w tym samym czasie, gdy generał Sikorski leciał do Moskwy na rozmowy ze Stalinem. Fakt ten zignorowany był w przemówieniach, ani razu nie wymieniono w nich nazwiska Sikorskiego, nie wspomniano też o umowie Sikorski-Majski, a tylko nawoływano Polaków do walki z okupantem niemieckim i mówiono dużo o Armii Czerwonej jako o wybawicielce. Myli się, kto przypuszcza, że zerwanie przez Moskwę stosunków z rządem generała Sikorskiego nastąpiło z powodu wyjścia armii generała Andersa z Rosji, albo na tle rewelacji o zbrodni katyńskiej. Drugi tor w stosunkach polsko-sowieckich przygotowany był przez Moskwę już od jesieni 1941 roku; na tym drugim torze czołową rolę odegrać miała Wasilewska. W dniach 4 i 5 kwietnia 1942 roku odbył

się w Moskwie drugi wiec wszechsłowiański — i znowu przemawiali Wasilewska i Joczys; znowu ani słowa o rządzie polskim w Londynie, o generale Sikorskim i o zawartej z nim umowie. Jedynie wezwania do walki z Niemcami. „Polacy do broni! Nie wolno czekać!... Czas przyszedł — wołała Wasilewska. — Od Bałtyku po Tatry, od zachodu na wschód niech zahuczy otwartą wojną z okupantem nasza ziemia!” Warto w tym przemówieniu zauważyć to nieporównane określenie obszaru geograficznego Polski: od wschodu do zachodu. Później okazało się, że „od wschodu” ma znaczyć: od linii Curzona. Warto także zauważyć słowa Wasilewskiej: „Nie czas czekać, nie czas liczyć na cudzą pomoc! Sami musimy walczyć i zwyciężyć! Nie słuchajcie tchórzy, którzy dla zamaskowania własnej bezczynności radzą wam czekać na odpowiedni moment. Ten moment już nastał”. Dla niej nastał z dniem 22 czerwca 1941 roku, do tego zaś momentu „kwitła pokojem nasza ojczyzna”, nowa ojczyzna Wandy Wasilewskiej.

Na razie jednak wojska sowieckie wciąż cofały się, klęska goniła klęskę. Dopiero po zwycięstwie stalingradzkim nastąpiła zmiana tonu i linii politycznej. Z początkiem 1943 roku — pisze Helena Usijewicz — wezwano Wandę Wasilewską do Moskwy, gdzie czekała na nią nowa robota. Robotą tą był Związek Patriotów Polskich. Obok dwutygodnika „Nowe Widnokregi”, wznowionego od 5 maja 1942 roku w Kujbyszewie, potem przeniesionego do Moskwy, zawsze pod redakcją Wasilewskiej, zaczął z dniem 1 marca 1943 roku wychodzić w Moskwie tygodnik „Wolna Polska”, jako oficjalny organ Związku Patriotów Polskich. Nie ma potrzeby streszczania tu wszystkich artykułów Wasilewskiej z tego pisma. Trzeba natomiast stwierdzić, że główny swój atak skierowała ona od początku na generała Sikorskiego. Już w 1-ym numerze, w artykule „O cześć narodu”, pisała Wasilewska, że słowa Sikorskiego (w wywiadzie udzielonym Sulzbergerowi na temat spadochroniarzy sowieckich, zrzuconych w Polsce) „odzierają polski naród z laurów chwały”: „Premier lęka się hasa, które by mogły podnieść walkę z Niemcami. Ale nie lęka się słów i sformułowań, które mogą wzejść tam, w kraju, posiewem bratobójczych mordów. Z wywiadu amerykańskiego korespondenta płyną ku nam ciężkie, trujące opary. Ale naród polski, to co, w nim najlepsze, walczy niezależnie od wszelkich wywiadów”. Więc ten „tchórz”, o którym mówiła na wiecu wszechsłowiańskim, to Sikorski. W 2-gim numerze też o Sikorskim: „Pan premier usprawiedliwia się, że nie rzuca hasła powstania. Ale nie mówi o tym, że on i jego obóz są w ogóle przeciw walce, przeciw jakiegokolwiek walce czynnej w kraju... Szermując argumentami, że nie przyszedł czas powstania, propaguje się bierność, bierność, i jeszcze raz bierność... Nie może rzucić pan premier hasła powstania — ale z czystym sumieniem rzuca hasło bierności, hasło wyczekiwania”. I przeprowadza Wasilewska analogię

pomiędzy Sikorskim a tymi, co mówili o czekaniu przed rokiem 1831, przed rokiem 1863 i przed rokiem 1905. I oświadcza, że to nie Sikorski będzie decydował o chwili wybuchu powstania w Polsce: „... czyżby rzeczywiście ktoś się łudził, że z daleka, z londyńskich gabinetów można rządzić, kierować, władać sercem i porywem, i trudem narodu? Czy rzeczywiście ktoś może sądzić, nie żyjąc i nie cierpiąc z narodem, że właśnie on będzie znał czas właściwy?... Czas określi sam kraj, i ci, co w kraju walczą”. Lecz kiedy „ci, co w kraju walczą” określili czas powstania, kiedy Warszawa wyszła na barykady, Wasilewska zapewniała, że wiadomości o powstaniu są wymysłem propagandowym obozu londyńskiego — bo jej tak Bierut w Moskwie powiedział.

W dniu 22 lipca 1944 roku ogłoszony został w Chełmie manifest PKWN. Sam komitet uformowany był w Moskwie, przyszedł z sowiecką armią. Stało się, jak zapowiadał radiomiting w Saratowie. Wasilewska była jeszcze wśród tych, którzy stali na czele PKWN, ale była trzecia w kolejności, po Edwardzie Osóbce i Andrzeju Witosie. Później okazało się, że najważniejszy, ważniejszy od całego PKWN, był Bolesław Bierut, „Prezydent KRN”, ale na razie potrzebna była kolejność, w której socjalista stał na pierwszym miejscu, ludowiec — na drugim, komunistka — dopiero na trzecim. W Rządzie Tymczasowym na który PKWN został przemianowany w dniu 31 grudnia 1944 roku, po zajęciu Warszawy przez armię sowiecką — Wasilewskiej już nie było. Epizod polski skończył się w jej nowym życiu. „Po wojnie — pisze Helena Usijewicz — Wanda Wasilewska nie rozstała się ze Związkiem Sowieckim! Kraj Sowietów jeszcze przed wojną 1941 roku stał się jej nową ojczyzną”. Przydział do polskiej ojczyzny okazał się tylko komandirówką. Dzisiaj czytamy w warszawskiej „Polityce”: „...jakby dokonawszy dzieła swego życia, Wanda Wasilewska została w domu, w swym nowym domu, który odnalazła w niedalekim Polsce Kijowie. Być może kiedyś, później, dowiemy się o rozterkach najbardziej ludzkich i osobistych tej decyzji. Kobieta — w tym tkwi romantyczny patos — wybrała w pewnym sensie część życia prywatną, osobistą. Pisarka wróciła do swego biurka”. Ależ pisać mogła i w Warszawie. Rzecz w tym, o czym pragnęła pisać: o Związku Sowieckim i o człowieku sowieckim, czy też o Polsce? Niech odpowiedź da jej dalsza twórczość.

Jeszcze w czasie wojny, w roku 1944, ukazuje się powieść Wasilewskiej „Po prostu miłość”, pisana, gdy była już działaczką Związku Patriotów Polskich; drukowała ją zresztą także w „Nowych Widnokręgach”. Powieść ta pokazuje, gdzie było naprawdę jej serce w owym czasie: było z Armią Czerwoną; żołnierza polskiego, nawet tego z armii Berlinga, nie uwieczniła w literaturze. W roku 1945 ukazują się „Gwiazdy w jeziorze”, druga część „Płomieni na bagnach”, ukończona na dwa

dni przed wejściem wojsk niemieckich do Lwowa i przez cztery lata przechowywana tam w piwnicy. Z początkiem roku 1946 wychodzi książka „Gdy światło zapłonie”, później zaś dwa tomy opowiadań „Ludzie” i „Spotkania”, wreszcie reportaże „10 dni na Kubie” i „Pod obcym księżycem” — z Ameryki Południowej. Maria Prigara, ukraińska tłumaczka Wasilewskiej, podaje, że ostatnio Wasilewska pisała powieść autobiograficzną.

Stosunek Wandy Wasilewskiej do rzeczywistości sowieckiej poznajemy z jej utworów. Najpierw „Pieśń nad wodami”. Część I („Płomień na bagnach”), napisana tuż przed wojną, rozgrywała się w polskiej wsi Olszyny, w przedwojennym państwie polskim. Część II rozgrywa się w tych samych Olszynach, ale już po wkroczeniu Armii Czerwonej. Bohaterem II części jest Piotr Iwańczuk, który powrócił z więzienia polskiego do swej wsi rodzinnej. Mówi Wanda Wasilewska:

„Rubinami i purpurą płonęła czerwona gwiazda — i ona była najważniejsza. Była miłością i nienawiścią, zaciekłym trudem i pracą, nadzieją i szczęściem. Była tym, za co oddaje się życie z uśmiechem i dla czego zajądło kroczy się naprzód wbrew wszystkiemu.

Huczało, szumiało, płynęło na brzeg jezioro. Paliła się w nim czerwona gwiazda, najgłębsza miłość, najwyższy sens Piotrowego życia”.

I oto mamy w tych słowach klucz do historii życia Wandy Wasilewskiej. Jak Piotr, tak i ona odkryła w chwili wkroczenia wojsk sowieckich w granice państwa polskiego miłość swego życia. Była nią czerwona gwiazda. Związek Sowiecki stał się największą i może nawet jedyną prawdziwą miłością życia Wandy Wasilewskiej. Dlaczego tak się stało? Nie ma wytłumaczenia, nie ma odpowiedzi na to zapytanie. Miłość jest bezrozumna, nie rządzi się prawami logiki. Po prostu miłość. Wasilewska była w swej miłości szczęśliwa. Dawała temu szczęściu wyraz we wszystkim co pisała, w każdej noweli i w każdej powieści. W miłości tej znalazła pełnię. Jej natura znała tylko dwie barwy, dwa dźwięki, dwa smaki świata, dwa uczucia: miłości i nienawiści. Życie lewicy polskiej (niekomunistycznej) było trudne, dialektyka socjalizmu polskiego wymagała zdecydowanie negatywnego stosunku do reżymu przedwrześniowego i zdecydowanie pozytywnego stosunku do państwowości polskiej, zwłaszcza w okresie jej zagrożenia przez hitleryzm niemiecki. Robotnicy polscy spod znaku PPS opanowali tę dialektykę, co przejawiało się najdobitniej w ich postawie we wrześniu 1939 roku. (Dzisiejsze dziejopisarstwo komunistyczne fałszuje prawdę historii, przypisuje postawę robotników z PPS komunistom, przemilcza natychmiastowe i całkowite zaakceptowanie przez komunistów zmywy sowiecko-hitlerowskiej z chwilą jej uzewnętrznienia się 17 września). Ale dla Wandy Wasilewskiej dialektyka ta była za trudna. O ileż łatwiejsze było życie w postawie akceptacji wszystkiego, co sowieckie. W Związku Sowieckim zginęły dla niej wszystkie sprzeczności, można go było kochać w ca-

łości, bez zastrzeżeń i bez wyjątków. Wasilewska połączyła sobie znakiem równania Związek Sowiecki i proletariat i socjalizm i szczęście ludzkości. W Związku Sowieckim ujrzała teraz Anatola, o którym pisała za lat młodych:

„W upojeniu pieśnią, w łopocie sztandarów, w zwycięskim okrzyku wstaje czwarty dzień. Ulice czarne od ludzi. Kobiety, dzieci, mężczyźni zmieszani w jednym wielkim pochodzie, niesieni falą szczęścia, porywem zachwyty, godziną ziszczenia...

— Budujemy — mówi twardo Anatol.

— Budujemy nowy świat.

Jak rzeka toczą się tłumy. To tu, to tam zakwita z nagłą czerwien sztandaru. Ponad wszystkim, ponad wszystkim, górą, wspaniale, radośnie, potężnie płynie zwycięska pieśń. Jak wino płynie ulicami wesela radość, niewypowiedziane szczęście, ziszczona tęsknota człowieka.

— Budujemy świat wolnych ludzi!”

Miłość jest ślepa, więc w swym wielkim, gwałtownym wybuchu miłości i szczęścia z niej płynącego nie dostrzegła Wasilewska, iż w jej sowieckiej „ziszczonej tęsknocie człowieka” nie ma wolnych ludzi. Że sowiecki „świat wolnych ludzi” jest oszustwem. Ona czuła się wolna, *ergo* była wolna.

Kto chce uświadomić sobie ogrom i siłę tej eksplozji emocjonalnej, jaką przeżywała Wasilewska od chwili, gdy znalazła się pod panowaniem „władzy radzieckiej”, niechaj przeczyta jej opowiadanie wojenne „Partbilety”. Rzecz dzieje się na posterunku straży granicznej w Orłówce, rankiem owego dnia, gdy Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki. Pogranicznicy bronią swego posterunku do upadłego, a gdy już poległa połowa załogi, gdy kończą się siły i amunicja, wysyłają młodą Katię do miasta z ostatnim poleceniem. Przewyciężając swą miłość do Aleksieja, jednego z obrońców posterunku, przedostaje się Katia pod gradem niemieckich kul do miasta, gdzie najpierw doręcza pułkownikowi dokumenty z posterunku, a potem składa u sekretarza rejonowego komitetu partyjnego dziesięć legitymacji partyjnych, przekazanych przez pograniczników. Wszyscy co do jednego polegli, telefon z Orłówki nie odpowiada, w Orłówce są Niemcy. „Na zielonym suknie stołu leżały partbilety jak kałuże ludzkiej krwi”. Opowiadanie to, to klasyczny przykład łatwizny tak w doborze tematu jak i środków artystycznych, ale nie ma najmniejszej wątpliwości, że pisząc tę opowieść Wasilewska była szczerą jako człowiek i jako artysta. Na tle szeregu relacji o czynach bojowych żołnierzy armii sowieckiej, pisała w innym miejscu („Bohaterstwo naszych dni”):

„W walce, w najuporczywszym, najstraszniejszym boju, zawsze ma jednak człowiek szansę ocalenia. Zawsze może liczyć na to, że jednak wyjdzie żywy.

Żołnierz robotniczo-chłopskiej armii jest bodaj jedynym w dziejach, który nie potrzebuje tej szansy — bodaj słabej, bodaj złudnej, ale jednak nadziei, że wyjdzie żywym.

...Wspaniale umie umierać żołnierz Czerwonej Armii, zgonem swym triumfując nad śmiercią i wrogiem.

...I nie jest przypadkiem, że właśnie ta armia zadziwia świat swoim męstwem, swoją postawą moralną, że właśnie ta armia jest jedyną, która nie zachwiała się, nie rozpadła, nie złamała się pod uderzeniem żelaznej niemieckiej pięści, a na odwrót, umocniła się, okrzepła, wzrosła w siły w ciągu roku wojny.

Jest armią ludową, armią narodu i korzenie jej tkwią głęboko w życiu, w duszy, w sercu narodu. Czerpie siłę swoją, jak Anteusz, z ziemi, i swojej ziemi nie odda nigdy nikomu, i w walce za swoją ziemię zwycięży”.

To było pisane w połowie 1942 roku, wbrew najoczywistszym faktom: armie sowieckie wciąż cofały się, w nieładzie i rozsypce. Lecz Wanda Wasilewska wierzyła w ostateczne zwycięstwo swej znalezionej we wrześniu 1939 roku ojczyzny. Nigdy, nigdzie podobnych słów nie poświęciła żołnierzowi polskiemu. Nie stać jej było nawet na taki okrzyk bólesci, jak ten, który wydobył z siebie rozdwojony Broniewski w wierszu „Żołnierz polski” z tegoż września: „Hej ty brzoze, hej ty brzoze-płaczko, smutno szumisz nad jego tułaczką, opłakujesz i armię rozbitą, i złe losy, i Rzeczpospolitą...” Wasilewska nie opłakiwała rozbitej armii i Rzeczypospolitej.

Tylko epizodycznie zatrzymywała się przy polskich tematach. Teatrowi polskiemu we Lwowie potrzebny był repertuar, który by nie kłócił się z nową rzeczywistością, więc Wasilewska napisała w roku 1940 dramat w trzech aktach pt. „Bartosz Głowacki”. Bartosz Głowacki Wandy Wasilewskiej zamykał sztukę słowami:

„Juści, trudna do chłopskiej ojczyzny droga, juści, daleka do chłopskiej ojczyzny droga... I inaksza niżli pańska, panie oficyjerze, oeh, inaksza! Ale ja zajdę!”

Właściwie był to uscenizowany „Kordian i cham”.

W roku 1951 Wasilewska napisała razem z Korniejczukiem libretto do opery Dankiewicza „Bohdan Chmielnicki”. To jedno jedyne dzieło Wasilewskiej spotkało się z surową krytyką sowiecką. Główny błąd autorów polegać miał na tym, że za słabo rozwinęli temat walki narodu ukraińskiego z polską szlachtą i tym dopuścili się „niczym nie uzasadnionego odstępstwa od prawdy historycznej”. Autorzy ogłosili w „Prawdzie” swą samokrytykę, której konkluzję należy tu przytoczyć w całości: „Uznajemy tę krytykę za zupełnie słuszną. Przyjmujemy ją w całości i dołożymy wszelkich starań, aby naprawić nasze błędy w librecie opery”. Więc może jednak u Wasilewskiej ujawnił się ukryty głęboko pod skórą polski nacjonalizm? Przypuszczenie to zasługiwałoby na rozpatrzenie, gdyby Wasilewska sama była autorką libretta. Lecz trudno byłoby posądzić Korniejczuka o nacjonalizm polski. Raczej należy przyjąć, że u Korniejczuka odezwał się ukryty głęboko pod skórą nacjona-

lizm ukraiński. Krytyka dała wszakże do poznania, że autorzy za słabo uwydatnili pomoc okazaną przez Rosję Kozakom walczącym o oderwanie się od Polski; jak uczy historia, pomoc ta doprowadziła do likwidacji niezależności Siczy i do wcielenia Ukrainy do Rosji. Więcej potknięć (i samokrytyk) w życiu Wasilewskiej nie było. Dostosowywała się do wymogów rzeczywistości sowieckiej z łatwością, a w każdym razie — bez wewnętrznych oporów. Charakterystycznym przykładem metamorfoz Wasilewskiej jest jej stosunek do sprawy antysemityzmu. Wszystkie życiorysy sławią ją jako czołową działaczkę na froncie walki z antysemityzmem. W roku 1938, po wycieczce na Polesie, napisała w „Wiadomościach Literackich” artykuł pt. „Szukam antysemityzmu”. Tezę artykułu było, iż lud prosty nie zna antysemityzmu, „jest on tylko sprytną grą, nikczemnym interesem, polityczną rozgrywką, zapełnieniem pustki ideologicznej”. A dalej: „Szukałam antysemityzmu i nie znalazłam go nigdzie na wielkim obszarze wsi poleskich i nadbużańskich”. Pięknienie, wzruszająco i przekonywująco. Ale to było w roku 1938. W rok później wszystko uległo zmianie. Żydzi na tej samej wsi poleskiej, Siulim czy „kędzierzawy Baruch” (koniecznie kędzierzawy!) w książce Wasilewskiej „Gwiazdy w jeziorze”, to odrażające Szajloki. Wasilewska uległa trądowni antysemityzmu, ale to był już antysemityzm sowiecki, więc jakoś jej przeszedł przez gardło.

Do spraw polskich powróciła jednak raz jeszcze. W roku 1958 napisała książkę o Hibnerze, Kniewskim i Rutkowskim, trzech komunistach, rozstrzelanych z wyroku sądu doraźnego w roku 1925 za zamach na prowokatora Cechnowskiego. Morderstwo jest morderstwem, wyrok musiał być skazujący, ale należało wobec skazanych skorzystać z prawa łaski, nie mówiąc już o tym, że prowokacja jest zawsze obrzydliwością i że cała sprawa cuchnęła. Była ona najlepszym dowodem, że delegalizacja partii komunistycznej nie miała sensu i że walkę z komunizmem należało toczyć na płaszczyźnie ideologicznej i politycznej, a przede wszystkim na płaszczyźnie sprawiedliwego ułożenia stosunków społecznych w państwie, a nie na płaszczyźnie represji policyjnych i sądowych. Na czele książki Wasilewskiej znajdujemy zapewnienie, że „wszystkie zdarzenia i nazwiska są w tej powieści prawdziwe”, ale tak nie jest. Czytamy, że skazani wołali w wojskowym ambulansie wiozącym ich na stracenie „Niech żyje wolna Polska ludowa! Niech żyje Związek Radziecki!” i że przed samą salwą plutonu egzekucyjnego wołali „Niech żyje Polska robotnicza i chłopska, niech żyje Związek Radziecki!” Druga część okrzyku w obu wypadkach została tu oddana zgodnie z rzeczywistością, lecz część pierwszą należy sprostować. Hasłem komunistów polskich był w owym czasie okrzyk na cześć Polski sowieckiej; „wolna Polska ludowa” jako hasło propagandy komunistycznej narodziła się dopiero w roku 1942. Istotnie, w „Czerwonym Sztandarze”

z listopada 1925 roku czytamy, że Hibner, Kniewski i Rutkowski zginęli z okrzykiem na ustach „Niech żyje rewolucja socjalna, niech żyje Polska Republika Rad, niech żyje komunizm!” Dajemy wiarę organowi KC KPP, a nie Wasilewskiej.

Książka ta była eskpiacją za młode lata autorki, w których była członkinią ZNMS i PPS, podczas gdy powinna była należeć do ZMK i KPP. Eskpiacja jest gruntowna. Nie brak w niej obrzydliwego splunięcia pod adresem Feliksa Perla (przyjaciela jej ojca), Posnera i Borskiego, za to, że motywując w „Robotniku” protest przeciwko sądom doraźnym i rozstrzeliwaniu komunistów uzasadniali go inaczej, niż to czyniła KPP. Autorka zapewnia nas, że po straceniu trzech zamachowców komunistycznych, „daleko za miastem, nad Wisłą, ku Bielanom, ku Młocinom, w dębowych laskach, w wiklinowych zaroślach zbierała się młodzież” i śpiewała, by pieśnią uczcić rozstrzelanych. Co śpiewała? Polską pieśń rewolucyjną, wezwanie „na barykady, ludu roboczy”, zapowiedź że „sędziami będziemy my”? Nie, śpiewała pieśń Komsomołu i to w języku rosyjskim: *Nasz parowóz letit wpieriod, w komunie ostanowka*. No cóż, rosyjska partia, to i rosyjska pieśń. Tu trzeba przyświadczyć: to wydarzenie jest chyba prawdziwe.

Równolegle z tym wprowadzaniem KPP w swą młodość, szło u Wasilewskiej strząsanie z siebie ciężącego jej balastu pepesowskiej przeszłości. We wspomnieniach pośmiertnych w prasie polskiej przeszłość ta została zaznaczona, bo to jedyny sposób, by zmarłą jakoś zbliżyć do polskiego ogółu, ale wspomnienia w prasie sowieckiej o tej przeszłości milczą. W życiorysach, którymi opatrzone są rosyjskie wydania jej dzieł, ani słowa o tej przeszłości, zastępują ją wzmianki, iż „prowadziła kółka robotnicze”. W książce Heleny Usijewicz młodość Wasilewskiej streszczona jest słowami: „Wstąpiwszy w roku 1923 na uniwersytet krakowski, Wanda Wasilewska od razu stanęła w szeregu rewolucyjnej studenterii. Komunistów w tym środowisku było bardzo niewiele, więcej było młodzieży z lewego skrzydła Polskiej Partii Socjalistycznej, przeważali zaś studenci bezpartyjni, lecz nastawieni rewolucyjnie. Większa część tej młodzieży w rozstrzygających chwilach występowała razem z komunistami”. Wszystko to nieprawda: komunistów na uniwersytecie krakowskim było w tym okresie więcej jak socjalistów; wśród komunistów znajdowały się jednostki tak wybitne, jak Bilski, Skrzyszewski, Młynarski, Jaszuński — lecz Wasilewska do nich nie łągła, byli jej obcy i ona była im obca. Szkoła, że Wasilewska nie zdążyła napisać owej powieści autobiograficznej, o której wspomina Maria Prigara. Miałaby w niej dwie możliwości: ukazać prawdę swej pepesowskiej młodości, albo też zamazać i zakłamać swe młode lata. Nie dowiemy się już, jaką drogę wybrała w swych planach pisarskich. Wiemy jednak, że się od tej przeszłości młodych lat oderwała.

Od jednego tylko nie mogła się oderwać do końca: od polskiej mowy. Wszystko, co przeznaczała do druku — pisała w języku polskim, po czym pod wskazówkami autorki tłumaczono jej prace na język rosyjski i ukraiński. Mimo to książki jej, napisane po wrześniu 1939 roku, zaliczyć trzeba nie do literatury polskiej, lecz sowieckiej. Wasilewska od roku 1940 była deputatem do Najwyższego Sowietu ZSSR (także wtedy), gdy stała na czele Związku Patriotów Polskich i gdy odbierała przysięgę od żołnierzy dywizji kościuszkowskiej). Otrzymała order Lenina. Była dwa razy odznaczona nagrodą Stalina, Stalin nazwał ją znakomitą kobietą sowiecką i najwybitniejszą sowiecką pisarką. Brała udział we wszystkich poczynaniach komitetu (potem rady) obrońców pokoju (tzw. ruch sztokholmski). Jeździła po całym świecie z ramienia różnych instytucji sowieckich. Tylko do Anglii odmówiono jej wizy w roku ubiegłym.

Widziała świat i życie ludzkie w dwóch barwach: czarnej i białej. W Związku Sowieckim znalazła możliwość takiego właśnie patrzenia na świat: wszystko co sowieckie — białe, wszystko co niesowieckie — czarne. W tym odkryła dla siebie pełnię i szczęście. Urodziła się w Polsce, do końca tworzyła w języku polskim — ojczyznę wybrała sobie w Związku Sowieckim. Nic więcej na ten temat mówić nie trzeba.

Szukam w pokładach przeszłości jakichś elementów wzruszenia, związanych z dawną przyjaźnią i dawnymi przeżyciami, ale nie znajduję. Zgon Wandy Wasilewskiej nie poruszył mnie, bo to, co zazwyczaj umiera w nas przy zgonie bliskiego i drogiego człowieka: wspólne doznania i wspólne dążenia — umarło jeszcze w roku 1939, gdy przestało być wspólne.

Adam CIOŁKOSZ

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

\$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.



HASKOBA LTD
81, CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

Biuro Podróży:
ANGLOPOL TRAVEL, TEL. KEN 3223

Polacy w Argentynie (I)

Powzięcie decyzji

W Anglii, w obozie PKPR, dotychczasowy rezerwista w służbie czynnej, a obecnie potencjalny emigrant polityczny stanąłem, jak wszyscy żołnierze polscy, przed problemem wyboru swej przyszłości.

Demobilizując się przechodziłem nie tylko „do cywila”, stawałem się emigrantem, miałem przed sobą różne możliwości do wyboru.

W czasie tego hamletyzowania „gdzie być albo nie być”, otrzymałem nagle list z Argentyny od innego już zdemobilizowanego i osiedlonego tam rezerwisty. List był entuzjastyczny, mówił dosłownie: „Na balii choćby przez ocean się przeprawiać, a przyjeżdżać do Argentyny jak najprędzej...”. Wybrałem Argentynę.

Oczekiwali na nas w porcie. Statek nasz nie był punktualny, informacje w biurze podróży nieścisłe, przychodzili więc oboje — on i jego żona Włoszka do portu coś ze trzy razy, ostatni raz czekali około sześciu godzin, pozwolili się zmoczyć ulewnemu deszczowi, aż spotkały się dwie rodziny emigranckie, zaledwie jako tako znające się z czasów korpuśnych w Italii. A teraz ta, osiedlona tutaj od jakiegoś roku, przyjmowała nowoprzybyłych serdecznie z odstąpieniem własnej sypialni dla odpoczynku po podróży. Stary rezerwista zajął się entuzjastycznie i serdecznie pomaganiem nowemu do otrząskania się z warunkami żywymi w Argentynie, pomagał mu w szukaniu pracy i mieszkania, pomagał mu nawet czasem pieniędzmi, jeśli było potrzeba. Mówił:

— Musimy się uczyć od Włochów, którzy wzajemnie bardzo sobie pomagają. Mnie też bardzo pomogli, chociaż nie jestem Włochem, a tylko z Włoszką żonaty.

Wszyscy starzy Polacy pomagali nowym jak mogli. Tłumnie zalegali port i hotel dla imigrantów, zabierali do siebie krewnych dalszych i bliższych, znajomych dalszych i znajomych bliższych, a także i zupełnie nieznanym. Przetrzytywali ich u siebie, szukali mieszkań, z którymi było bardzo trudno, pomagali szu-

kać pracy, z czym znowu wielkich trudności nie było, byli im przewodnikami. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Polonia argentyńska była w tym czasie zwarta i solidarna.

Starzy Polacy i Polacy nowi

Trwało to jednak krótko i zaraz zaczęło się psuć.

Starzy imigranci przeszli byli bardzo trudne i ciężkie początki. Jeśli podorabiali się obecnie to nawet na polsko-chłopską krzepę nadludzkim trudem. Szczególnie ciężki był okres światowego kryzysu ekonomicznego lat 1928-33, kiedy szalała nadprodukcja i bezrobocie, nadmiar i głodny niedosyt. W poszukiwaniu kawałka pracy i chleba poróżniali się po całej Argentynie, sypiali pod mostami i drzewami w gołych polach, okrywali się łachmanami, byli oszukiwani i nadużywani przez przygodnych pracodawców. Chcieli teraz nam — przybyszom nowym — zaoszczędzić takich początków jak mieli sami, robili wszystko, aby zapewnić nam pracę. Zadanie mieli ułatwione. Teraz bowiem nie robotnik szukał pracy, lecz pracodawca szukał robotnika. I dlatego spotkali się nie z wdzięcznością, a z nadmiernymi — tak im się wydawało — wymaganiami, z narzekaniami, wyrzutami i gderliwością. Myśmy tutaj przyjechali po złote runo, byliśmy zadufani w naszą inteligencję, która zresztą niezawsze nam pomagała, chcieliśmy gwałtownie robić majątki, a co najmniej użytkiwać dobrze płatne posady. W ten sposób zaczęliśmy sobie wydeptywać ścieżki rozbieżne ze ścieżkami starych Polaków. Zaczęła rosnąć między nami ściana nieufności. Z czasem stosunki poprawiły się na powrót, ale wymagało to wiele pracy, a szczególnie zrozumienia z naszej strony starych Polaków. Nastąpiło to dopiero wtedy, kiedyśmy się dobrze zaznajomili z miejscowymi warunkami i do nich przystosowali.

Ale i między nami z nowej imigracji harmonii nie było. Przyjaźnie wojskowo-wojenne, oparte na nowych życiowo-materiałnych podstawach, zaczęły się psuć, bohaterskim kasztaniarzom interesy przestały się udawać, spółki polskie szybko skłóciły się i porozwijały. Większość nas to oficerowie zawodowi i rezerwy, a ci znowu to jacyś profesorowie, geografowie, matematycy, nauczyciele. Księgowi mieli zawód bardziej o międzynarodowej użyteczności, ale musieli się zapoznawać z językiem i lokalnymi przepisami. Pewna ilość techników i inżynierów zaczęła wchodzić w przemysł, ale szło to początkowo dość opornie. Najszybciej i najlepiej urządzili się robotnicy wykwalifikowani: mechanicy, tokarze, spawacze, tkacze itp. A my inteligenci, przybyli tutaj dufni w nasze siły, zaczęliśmy się rozczarowywać, kwasić i swarzyć.

Jak wyglądały pewne sprawy zobrazuję na własnym przykładzie.

Szukałem jak i wszyscy pracy i szukałem jej we własnym technicznym zawodzie. Nie liczyłem jednak na początek na odpo-

wiednie swemu stażowi stanowisko, bo po pierwsze przerwa wojenna wytrąciła mnie z kursu, po drugie nie miałem opanowanego języka, a przy tym nie znałem zupełnie warunków lokalnych. Z tego powodu zdecydowałem się zaczynać od stanowiska najniższego robotnika byle w moim zawodzie. Ktoś — jakiś znajomy — skierował mnie do Perez-Grande, właściciela fabryki, który podobno miał mówić po angielsku. Pan Perez-Grande — owszem — trochę stękał tym językiem, ale wcale nie lepiej niż ja już wtedy hiszpańskim. Jakoś jednak zgadaliśmy się. Gdy mu wytłumaczyłem, co umiem robić, powiedział:

— Naturalnie, że muszę pana wypróbować. Zacznie pan od stanowiska maszynisty. Tymczasem niech pan nikomu nie mówi, że jest technikiem. Jeśli się próba panu powiedzie zostanie pan we właściwym czasie kierownikiem całej fabryki.

Zaakceptowałem i od razu wpadłem w samo jądro polskości i intryg. Około połowy robotników to byli Polacy — i wszyscy nowi imigranci, i wszyscy zdeklasowani inteligenci, i wszyscy skwaszeni, zawiedzeni, pokrzywdzeni. Intrygowali między sobą przypodchlebiali się panu Perez-Grande, licząc nie wiadomo na co, kopali wzajemnie pod sobą dołki. Stary *capataz* (majster), półanalfabeta Włoch, kierował po swojemu robotą, śmiał się do siebie w duchu, ale na zewnątrz tego nie pokazywał. Miał on stać się moim zdecydowanym wrogiem, kiedy z czasem moja sytuacja wyjaśniła się, ale wrogiem mądrym, to znaczy jeśli występował otwarcie przeciw mnie, to zawsze wtedy, kiedy można mi było coś naprawdę zarzucić. Natomiast polscy koledzy w pierwszej chwili przyjęli mnie serdecznie, uczynnie pomagali zapoznawać się z tajemnicami nowej pracy, ale każdy z nich próbował przeciągać na swoją stronę w jakichś nieistotnych sporach z innymi polskimi kolegami.

Pan Perez-Grande przez jakiś czas obserwował mnie jako maszynistę, po czym wezwał mnie do siebie i spytał, co sędzę o metodach pracy w fabryce. Miałem, i wciąż niestety mam, wybitne zdolności narażania się wodom i dlatego z wielce naiwną mądrością odpowiedziałem:

— Ano, byłyby one bardzo nowoczesne jakieś małe pięćdziesiąt lat temu, a może jestem optymistą.

Pan Perez-Grande odpowiedział mi zimno:

— Będzie więc miał pan okazję wykazać swoje umiejętności.

Z czego wynikało, że na razie nie zwolnił mnie z pracy, a nawet postanowił dawać mi problemy techniczne do rozwiązywania. I teraz zaczęło się. Polacy — rezerwiści i nie rezerwiści, inteligenci i półinteligenci, młodszy i starszy i całkiem podstarzali — stanęli przeciw mnie murem, można by powiedzieć w rzadko zdarzającej się w naszym narodzie solidarnością.

— Jak pan zostanie tutaj *capatazem*, to ja się z tej fabryki wynoszę — wykrzykiwał jeden czy drugi.

Zaczęli mi robić drobniejsze i grubsze przykrości, sabotować jawnie i skrycie moje polecenia, zawiązali spółkę z *capatazem*.

Starzy Argentyńczycy obserwowali i z humorem komentowali sytuację.

A tymczasem nie tylko opanowałem całość sytuacji, ale coraz więcej i trudniejszych problemów przybywało mi do rozwiązywania. Wobec tego poprosiłem p. Perez-Grande, aby zechciał mi okazać swoją wdzięczność odpowiednią podwyżką płacy. Odpowiedział, że owszem — rozważa taką możliwość na przyszłość, ale obecnie zalecał mi zasługiwać się pilnym modernizowaniem metod pracy. Zbuntowałem się i powiedziałem, że odtąd będę wykonywał pracę tylko zgodną ze stanowiskiem i płacą, jaką otrzymywałem. Wtedy p. Perez-Grande zaczął mnie szykanować i przydzielać najczarniejsze prace z czyszczeniem nigdy dotąd nie czyszczonych ustępów włącznie. A wtedy Polacy znowu zdobyli się na solidarność i murem stanęli za mną.

— My mu pokażemy, co znaczy upokarzać polskich techników — awanturowali się. Najwięcej zaś krzyczał ten, który przysięgał by nigdy nie współpracować ze mną jako ze swoim przełożonym. Niczego mu jednak nie pokazali, albowiem otworzyły mi się inne perspektywy, wobec czego opuściłem p. Perez-Grande

Sytuacja ludnościowa w Argentynie

Ludność Argentyny składa się z kilku niewymieszanych z sobą warstw. Wobec stałego przybywania imigrantów z różnych części świata, ogólny typ Argentyńczyka nie wykrystalizował się dotychczas i zanim się wykrystalizuje, musi potrwać jeszcze chyba ze dwa pokolenia co najmniej. Każdy urodzony tutaj jest już dla prawa Argentyńczykiem, ale wciąż jeszcze zachowuje cechy swego środowiska, bardzo często i język, którym mówi w domu, a który wpływa na język i makaronizmy jego hiszpańszczyzny.

Najstarszy mieszkaniec tej ziemi — Indianin, w swej nieskażonej formie istnieje wciąż, ale w niewielkiej ilości. Indianie przebywają częściowo w rezerwach, częściowo zaś (i to coraz częściej) wychodzą z nich, aby się włączyć do ogólnego nurtu argentyzmu zeuropeizowanego. W rezerwach, gdzie zachowują swoje indiańskie zwyczaje, indiański sposób życia, indiańską tradycję itp., Indianie przebywają, bo sami tego chcą. W Argentynie rasizm nie istnieje — a raczej powiedziałbym, że indiańskie rysy z patriotycznego punktu widzenia są dobrze widziane. Typowym ucywilizowanym Indianinem jest bard folkloru argentyńskiego, mistrz gitary, bożyszczynie historycznie patriotycznej części młodzieży Atahualpa Yupanqui.

Na drugim miejscu należy wymienić mieszaniców — i to tych, pochodzących jeszcze od konkwistadorów, pożenionych z Indiankami, jak i pomieszanych w późniejszym doborze naturalnym. Zresztą ten proces wciąż jeszcze trwa. Mieszkańcy ci żyją przeważnie w interiorze, są pastuchami niezliczonych stad bydła, hodo-

wanego na mięso, dostarczane na międzynarodowe rynki przez Argentynę, jako głównego dostawcę tego podstawowego produktu żywnościowego świata. Dzieli się oni na dwie klasy: półdzikich pastuchów i bardzo arystokratycznych właścicieli zakrowionych terenów. Ci zazdrośnie strzegą swych feudalnych przywilejów — bezprawnych, ale ciągle jeszcze w praktyce respektowanych. Z tej klasy wywodzą się zawodowi wojskowi. Jedną — choć nie jedyną — z głównych przyczyn tak częstych tutaj rewolucyj, a raczej puczów wojskowych jest to, że przywódcy polityczni nowszych klas — tak proletariackich jak i burżuazyjnych — próbują te przywileje rozwalić i z tym feudalizmem skończyć. Wtedy pod różnymi hasłami Bogo-Ojczyźnianymi wojskowi chwytają za broń. Ten temat jest właściwie innym tematem i należałby mu się oddzielny rozdział.

Teraz z kolei następują grupy mieszkańców nowych, tych którzy formują kulturę mieszczańską — burżuazję i proletariat. Przybyli on do Argentyny w ciągu ostatnich stu lat. Najliczniejsi są ci pochodzenia hiszpańskiego, za nimi zaraz, skrobiąc im po prostu pięty postępują Włosi. Na trzecim miejscu ilościowo są Polacy, chociaż nie ma tutaj żadnych wiarogodnych statystyk, a sytuację gmatwa dodatkowo to, że ogólnym terminem „Polaco” określa się popularnie wszystkie narodowości z Europy Środkowo-Wschodniej. Była to grupa ekonomicznie najsłabsza, przybywali do Argentyny wyłącznie jako sprzedające się ręce do pracy — popychadła — i dlatego nazwa „Polaco” oznaczała pośledniejszy gatunek człowieka. Z tej grupy narodowości rekrutowały się mieszkanki licznych tutaj domów publicznych — wiadomo przecież, że Argentyna była swego czasu największym odbiorcą żywego towaru na rynku światowym, a największym tego towaru dostawcą Europa Środkowo-Wschodnia. Stąd utarło się dla prostytutki nazwa „polaca”.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej przybywa do Argentyny nowa fala imigrantów, a z nią właśnie z narodów „Polacos” duża ilość inteligencji, której tym narodom tutaj dotychczas brakowało. Teraz sytuacja zmienia się i to w dość szybkim tempie. Wyjaśniają się niejasności w ustalaniu narodowości i ich nazw. Ludzie tutejsi zaczynają rozumieć, jaka jest różnica między Polakiem a Ukraińcem, Słoweńcem czy Rumunem, niemniej jednak wciąż jeszcze upraszczają sobie życie i nazywają ich w codziennych rozmowach ogólnym mianem „Polaco”. Nazwa ta jednak choć powoli ale coraz bardziej traci swój ujemny wydźwięk.

W ogóle Argentyńczycy lubią sobie ułatwiać życie. I tak Hiszpanów na przykład nazywają ogólną nazwą „Gallego”, chociaż wiadomo jest że Galicja to tylko część Hiszpanii, ale prawdopodobnie dlatego się przyjęła, że Galileusze hiszpańscy w samej Hiszpanii dobrej prasy nie mają. A znowu słowem „Gringo”, które początkowo i w zasadzie jeszcze wciąż oznacza każdego cudzoziemca, przeważnie określają nowoprzybytych Włochów. Dla Żydów znowu wynaleźli nazwę „Ruso”.

Proces wyjaśniania tego „kto jest kto” między środkowo-wschodnimi Europejczykami jest mimo wszystko powolny i trudny. Wiadomo jak trudno jest wykorzeniać stare przyzwyczajenia i przesady, tym bardziej że pochodzą w tym wypadku z przyczyn ekonomicznych.

Po Hiszpanach, Włochach i „Polacos” na formowanie się nowego narodu argentyńskiego wpływają także Brytyjczycy, Francuzi, Niemcy, północni Amerykanie, a także Japończycy, Grecy, Arabowie. No i Żydzi.

Hiszpanie i Włosi („Gallegos” i „Gringos” albo „Calabreses”), którzy obok „Polacos” formują proletariat, mają jako ekonomiczne zaplecze swój kapitał. Przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, które są w ich rękach, opiekują się również swymi ziemkami z proletariackim poziomów, słowa: Hiszpan i Włoch oznaczają tak biedotę jak bogaczy, jak również pół czy całą inteligencję i przez to wyrównują i podciągają wzwyż swych pół i całych analfabetów. „Polacos” tego zaplecza nie mieli i praktycznie dotychczas mają go bardzo mało. Z drugiej strony Brytyjczycy, Francuzi czy najliczniejsi między nimi Niemcy nie sprowadzali ze sobą własnego proletariatu. Są to albo kapitaliści, albo inteligencja zawodowa — technicy, kierownicy administracyjni — w najgorszym wypadku robotnik fachowiec wysoko wykwalifikowany i dobrze płatny. Stąd jeszcze do dzisiaj ciągle się zdarza, że biorą nas Polaków, którzy doszli do jakiegoś stanowiska, prowadzą kulturalny tryb życia, potrafili sobie zapewnić szacunek, za Niemców, czym znowu niektórych z nas — tych szczególnie, którzy przeszli okupację niemiecką, rozjątrzają do białości. Ale właśnie ich gwałtowne protesty zmuszają ludzi do myślenia, podniecają ciekawość, powodują wyjaśnienia i rewizję dotychczasowych pojęć.

A starzy Polacy, ci dotychczas poniżani, a przez to pełni kompleksów niższości, których pierwsze zetknięcia się z nową imigracją napawało wzajemnym zresztą rozczarowaniem i rozgoryczeniem, z czasem zaczęli spostrzegać, że nowe idzie. Gdy na przykład jakiś Polaco przychodzi do fabryki na stanowisko przełożonego — szefa, dyrektora, kierownika, a zastaje tam pracujących starych Polacos, albo ich potem jako szef do pracy przyjmuje, zaczynają się czuć dumni, pewniejsi siebie, podwyższeni na duchu i w swej godności człowieka, że *Polaco* może być nie tylko czarnym robotnikiem. Używając słowa *Polaco* chce podkreślić, że tylko chodzi mi w tym wypadku o Polaków. *Polaco* mógł być także Ukraińcem, Białorusinem czy Litwinem. I chociaż organizacje ukraińskie są bardzo nacjonalistyczne i na ogół polakożercze, to na tym ludzkim szczeblu życiowym nie zorganizowana federacja wschodnio-europejska jest czymś bardzo realnym.

Rozmawiałem kiedyś z *capatazą* (majstrzyni). Pochodzi z nowej imigracji, ale i ona jest dumna z dyrektora „paisana” (krajana). Pochodzi ze Lwowa, z męża nazywa się Różańska (nazwi-

sko autentyczne), z domu ma również szeleszcząco dźwięcznie po polsku nazwisko. Rozmawiamy po polsku. Władza tym językiem najpoprawniej ponieważ posiada wykształcenie średnie polskie, a nawet coś z uniwersyteckiego. Przechodzę przez jej oddział przelotnie, spieszę się do swoich obowiązków.

— Jeszcze chwilę — prosi — nigdy się człowiek nie może nagadać po swojemu.

Wydaje mi się to dziwne, ponieważ w Argentynie nie brakuje sposobności do nagadania się po polsku.

— A w domu? — pytam.

— Naturalnie, że rozmawiamy po ukraińsku.

Jest bojową patriotką ukraińską. Nacjonalistką.

Jest jeszcze inny rodzaj Polaków, którzy w przyjęciu, zgotowanym nam w Argentynie wzięli mniejszy udział. Są oni zamknięci we własnych kręgach, mają swoje stowarzyszenia, a w nich lokalne koła Łodzian, Lwowian, Warszawian itp., ale w życiu społecznym polskim udziału nie biorą. Owszem — nazywają siebie Polakami, bo takimi są według argentyńskich praw, z rozrzewnieniem wspominają tamte czasy, tradycje, zwyczaje, kuchnie, żytni chleb z kminkiem — wszystko to i dla nich rozpyływa się w nostalgicznej przeszłości, a obecnie jest wypierane przez formujący się dopiero argentyzizm. Są to Żydzi z Polski.

Oczywiście są między nami Żydzi Polacy przez nasiąknięcie polską kulturą, Polacy przez świadomy wybór tej narodowości dla siebie. Należą do naszych towarzystw i naszej społeczności. O tych tutaj nie mówię. Są to Polacy i wystarczy. Mówię tutaj o tych Żydach, którzy Polskę uważali za kraj czasowego osiedlenia się, a teraz szybko przekształcają się na Żydów argentyńskich.

Antypolonizm

Antysemityzm jako wyznanie wiary politycznej, czy też jako uczucie osobiste było dla nas wytworem mózgow, w których coś się pomieszało, w których może komórki i zwoje były organicznie nie na swoich miejscach. Przez liczbę mnogą „dla nas” rozumiem koło ludzi mi najbliższych, moją rodzinę, moich przyjaciół, kompatriotów politycznych. Żyd był dla nas człowiekiem, który może być sympatycznym lub antypatycznym, którego można kochać lub nienawidzić, jak każdego innego człowieka za jego cechy osobiste. W czasie okupacji niemieckiej i panowania hitlerowskiego idiotyzmu pomaganie wszystkim innym ludziom było obowiązkiem ludzkim. Rozumiało się to jako coś zupełnie naturalnego, wykonywało się to odruchowo instynktem samozachowawczym. Pomaganie Żydom jako bardziej prześladowanym, co pociągało za sobą większe ryzyko, wcale nie zmniejszało tego obowiązku — wprost przeciwnie obowiązek ten pomnażało. Tak to rozumiała moja żona i w taki sposób zwiększała ryzyko nieprzetrwania okupacji. Przetrwała.

Kiedyś, w pierwszych miesiącach pobytu w Argentynie, kiedy jeszcze język kraju osiedlenia był dla niej językiem zupełnie, albo prawie zupełnie obcym, ucieszyła się, gdy podczas spaceru w Ogrodzie Zoologicznym zagadano do niej po polsku. Dwie panie siedziały na ławeczce i przysłuchiwały się rozmowie jej z synkiem. Młodsza widocznie nie wytrzymała i zagadała:

— A skąd?, a gdzie?, a kiedy?, a jak?...

Starsza przez cały czas siedziała ponura jak chmura gradowa, aby w końcu wybuchnąć zapytaniem, skierowanym do swej młodszej towarzyszki — także po polsku:

— Spytaj jej ilu Żydów Niemcom wydała?

I takie jest ogólne stanowisko Żydów w stosunku do Polaków.

Minęło wiele lat. O rzekomym antysemityzmie Polaków pisało się wiele, rozpisywało się na ten temat ankiety, ogłaszało apele do Żydów, aby zechcieli zaświadczać, że byli również tacy Polacy, którzy nie tylko wydawali Żydów, ale ich chronili. Na próżno. Stara Sztajnbergowa, wyleczony Szymek, gdy Żydów nie wolno było leczyć — oni zaświadczyliby, ale nie zaświadczą, bo niemiecko-hitlerowskie barbarzyństwo zamieniło ich w kupkę popiołu. Ci nieliczni, co przetrwali dobrze wiedzą, że Żydów Niemcom wydawali nie tylko Polacy. Wiedzą dobrze, że wydawali w tej samej proporcji i Francuzi i Holendrzy i Belgowie. Ba i o tym dobrze wiedzą, że wydawali Żydów Niemcom także sami Żydzi i właśnie z tych wielu przetrwało. I teraz na nasze apele nie odpowiadają, wyolbrzymiają za to wydawanie Żydów Niemcom przez Polaków.

Konwulsje antysemityzmu wstrząsały nieraz w historii Europy różnymi krajami i chyba w najmniejszym stopniu Polską, ale właśnie w różny sposób wyolbrzymia się rzekomy, historyczny antysemityzm Polaków.

Rasizmy nie skończyły się dotychczas, między innymi nie tylko nie skończył się rasizm narodu żydowskiego — przynajmniej tutaj w Argentynie — ale wciąż kwitnie. Nie jest to zwierzęcy rasizm narodu panów, jest to raczej subtelniejszy rasizm narodu wybranego. I równolegle do tego swego rasizmu wytwarzają atmosferę antypolonizmu, w czym sekundują im Niemcy.

Dziwny jest ten naród żydowski. Po ogromnych spustoszeniach, spowodowanych przez hitleryzm, Żydzi nie są antyniemiecy. Wprost przeciwnie — pochodzący z terenów niemieckich swą niemieckość podkreślają w każdym momencie z jakąś niewymierną skwapliwością, chętnie zawiązują handlowo-przemysłowe spółki żydowsko-niemieckie itp. Nie chciałbym być źle zrozumiany — nie występuję z antyniemiecką propagandą, ja — powtarzam — występuję przeciw antypolonizmowi, który na tutejszym terenie jaskrawie daje się zauważyć. Oczywiście — Niemcy są potęgą ekonomiczną. Mają swój kapitał w Argentynie, poparty całą potęgą Niemieckiej Republiki Federalnej. Polska imigracja jest nie tylko ekonomicznie słaba, ale jako imigracja polityczna

nie ma nawet poparcia swojej „madre-patria”. Tym się tłumaczy wiele, ale czy wszystko? Nie wiem — może mi to ktoś wyklaruje.

Oczywiste jest, że antypolonizm nie istnieje ani jako wyznaczenie wiary politycznej, ani nawet jako nazwa. O ile wiem, samo słowo użyłem tutaj po raz pierwszy ja. Ale istnieje jako cicha, według wszelkiego prawdopodobieństwa niezorganizowana zмова. Promotorami tej — może nawet nieświadomej — zмовy są Żydzi w swej podwójnej formie: Jako Żydzi i jako Niemcy, Brytyjczycy, czy Argentyńczycy żydowskiego pochodzenia.

Oni sami są bardzo uczuleni. Pod każdym słowem krytyki lub przygany widzą antysemityzm, albo po prostu wykorzystują passę anty-antysemityzmu. Do jakiego stopnia dochodzi obawa, aby nie być posądzanym o antysemityzm niech świadczy niby to drobny przypadek.

Pewien komik argentyński, popisujący się w telewizji, osiąga swe komiczne efekty między innymi przez parodiowanie wymowy i akcentowania różnych grup narodowościowych w Argentynie. Parę tygodni temu jeden z wieczorów poświęcił Żydom i szmoncesowym kawałom. W pewnym momencie przerwał i zwrócił się do *comunidad hebrea* w serdecznych słowach, aby mu tego za złe nie brali, ale... i tu długo a mgliście tłumaczył rolę uśmiechu i satyry. Nigdy mu to nawet do głowy nie przyszło, aby z podobnym wyjaśnieniem wystąpić, kiedy karykaturował Brytyjczyków, Francuzów, Japończyków czy Katalończyków. Z takimi przeszerzeniami zwrócił się tylko do Żydów.

Uważałem i uważam, że różne apele ze strony Polaków do Żydów, aby oni sami podawali do publicznej wiadomości wypadki obrony ich przez Polaków w czasie niemieckiej okupacji, za poniżające. Uważam raczej, że należy im się cztery słowa prawdy. Gdyby mnie nie chcieli zrozumieć i poczytali moje wystąpienie za antysemityzm — to trudno — uważałbym, że w pewnych wypadkach na zbiorową histerię nie ma lekarstwa.

Żydzi należą w Argentynie do tych grup, które nie posiadają ani proletariatu, ani biedoty. Są ekonomicznie mocni. Rasizmy w Argentynie nie istnieją. Antysemityzm, którego pozorne objawy można znaleźć w życiu tutejszym jest sztuczny, tworzony przez nieliczne faszyzujące grupy, których członkowie w dużej ilości, jeżeli nie w większości, rekrutują się z nieargentyńczyków. „Alianza Nacionalista” dla przykładu — organizacja skrajnie faszystowska, jedyna zresztą, która w czasie rewolucji przeciwperonistycznej walczyła dosłownie do ostatniego żołnierza w obronie reżymu, miała między swymi członkami większość Niemców i Polaków.

W tej chwili wytworzył się rodzaj pędu do „Argentyna dla Argentyńczyków”. Jest to propaganda, aby dawać Argentyńczykom pierwszeństwo przed obcokrajowcami. Wytworzyło się to jako reakcja na to, że w przemyśle i handlu traktuje się pracownika argentyńskiego, jako tego, który umie mniej i ma mniejsze

doświadczenie od przybysza obcokrajowca. Przemysłowiec woli *extranjera*, jest bowiem pewniejszy jego umiejętności zawodowych i jego wyższości etycznej. On sam — przemysłowiec — zaczynał przeważnie od małego, od sprzedawania na przykład gazet, jest bardzo często półanalfabetą technicznym, jeśli nie półanalfabetą ogólnym. Jest wobec tego uzależniony od swego personelu technicznego i — zupełnie słusznie — woli ufać *extranjerom*. Argentyński fachowiec — młody technik, inżynier, ekonomista — buntuje się przeciwko temu. Na bunt ten i na to ogólne nastawienie wpływa zresztą szereg innych czynników, jak na przykład i między innymi rozbijana propaganda przeciw jakoby zaborczym kapitałom zagranicznym, szczególnie północno-amerykańskim. W ramach tego uczucia jest i uczucie przeciw Żydom, jako części *extranjeros*. Ale wszystkiego tego nie można nazwać antysemityzmem.

Żydzi w większej masie zaczęli tu przybywać i osiedlać się na początku naszego stulecia z Rosji, kiedy ukazy carskie wysiedlały ich z granic tego imperium. Ale ponieważ byli urodzeni w Rosji, więc dla tutejszego prawa byli Rosjanami i w ten sposób przylepiła się do nich etykieta: „Ruso”. I pozostała, i trwa, chociaż w coraz mniejszym stopniu. Z owych pierwszych przybyszów, prawdziwych rosyjskich Żydów pozostały tylko wspomnienia — nowa generacja w mniejszym lub większym stopniu zargentyinizowana. W tym momencie są ich duże ilości przede wszystkim polskich, potem niemieckich, włoskich itp.

Związek Polaków w Argentynie

Związek Polaków w Argentynie jest Związkiem Towarzystw Polskich. Jego członkami są między innymi Stowarzyszenie Kombatantów, Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich, Klub Polski i liczne stowarzyszenia lokalne jak na przykład San Martin itp. Osoba fizyczna jako członek Związku Polaków może w nim figurować kilka razy, będąc członkiem SPK, Klubu Polskiego i, powiedzmy jakiegoś towarzystwa lokalnego. Dla Związku Polaków jest więc trzema osobami w jednym. Jasne jest, że takich skrajnych wypadków nie ma dużo, ale na pewno są. Toteż kiedy się mówi, że w Związku Polaków jest dwa tysiące członków to koniecznie trzeba przyjąć poprawkę na powyższe.

Statystyki argentyńskie oceniają Polaków jako ilościowo trzecią po hiszpańskiej i włoskiej imigrację narodowościową. Niektóre ich źródła podają ilość Polaków, zamieszkałych w Argentynie na 200.000, inne zaledwie na 50.000. Prawda, jak to zwykle bywa, leży gdzieś pośrodku. W każdym razie jeśli się porówna obie te ilości — ogólną i zarejestrowaną w Związku Polaków to nie można pominąć ogromnej między nimi dysproporcji. Wynika z nich, że ogromna masa żyje poza organizacjami polskimi. Do przyczyn tego zubożenia dla społecznych polskich spraw Po-

laków, jeszcze trzeba będzie powrócić, tutaj tylko zauważę, że członkami Związku Polaków są właściwie tylko działacze społeczni, poświęcający swój czas, swoje zdrowie i siły dla całej reszty „Polacos”.

Działalność Związku Polaków od początku szła dwoma torami. Pierwszy z nich to działalność polonizacyjna. Na tym więc torze znajduje się takie ważne instytucje jak Macierz Szkolna, Harcerstwo, Biblioteki, akcja odczytowa, działalność towarzyska, a poza tym teatr i prasa, które na tym polonizacyjnym torze stanowią rozdział dla siebie. Ludzi, którzy w poszczególnych towarzystwach są czynni, trudno byłoby wyliczyć jednym tchem. Aby nikogo nie skrzywdzić, należałoby wymienić kilka setek nazwisk, wobec czego raczej będę unikał w ogóle wymieniania. Jeśli jednak niektóre wymienię, to tylko dlatego, że bez tych nazwisk niesposób byłoby zrozumieć działalność pewnych instytucji, które czasem, jak na przykład redaktor „Kuriera Polskiego”, czy p. Ela Niewiadomska, same są instytucjami.

Polonizacyjna działalność Związku Polaków

Uważam za najważniejszą instytucję polonizacyjną Polską Macierz Szkolną, ponieważ poświęca się uczeniu dzieci, oczywiście uczeniu polskiego języka, literatury i historii. Jeśli zdołamy bowiem doprowadzić do tego, jak to nieraz dramatycznie nawołuje pani Wanda Jezierska, aby nasze wnuki mówiły po polsku, a pamięć polskiego pochodzenia i dumą z tego pochodzenia była przechowywana w pokoleniach dalszych, będziemy sobie mogli powiedzieć, żeśmy jednak nasze zadanie wypełnili.

Brytyjczycy, Północni Amerykanie czy Niemcy mają tu swoje przedszkola, szkoły powszechne i nawet średnie, do których uczęszczają dzieci i młodzież nie tylko ich grup narodowościowych, ale także snobów argentyńskich i nieargentyńskich — polskich na przykład też. Włosi i Francuzi mają bogate i dobrze prowadzone instytuty, poświęcone nauczaniu języka, historii i kultury swych krajów. My Polacy, ani zorganizować takich szkół nie możemy, bo nie mamy na to środków materialnych, ani byśmy ich nie utrzymali, bo kolonia nasza nie dostarczyłaby im uczniów, kultura zaś polska i język nie są w tej chwili dostatecznie atrakcyjne dla studentów argentyńskich. Istnieje co prawda katedra sławistyki na Uniwersytecie Katolickim w Buenos Aires, jest ona jednak traktowana bardziej jako uzupełniająca do studium sowietologii, aniżeli jako przedmiot sam dla siebie.

Nauczanie polskiego ogranicza się więc do tych dzieci polskich rodziców, którzy jeszcze poczuwają się do związków z polskością i jest prowadzone w szkołkach sobotnich prowadzonych przez siostry Zmartwychwstanki i w jednym stałym przedszkolu. Macierz Szkolna w miarę swych możliwości dostarcza siostrom środków materialnych tam szczególnie, gdzie rodzice sami albo

nie są w stanie, albo czasem po prostu nie chcą ponosić żadnych ciężarów materialnych na ten cel. Prowadzenie szkółek przez siostry ma bardzo ważne dwie zalety. Przede wszystkim są to siły fachowe, szkolone jako nauczycielki i ochroniarki. Zanim one tutaj przybyły, praca ta była spełniana przez pełne dobrej woli panie społeczniczki, które wkładały w to zadanie dużo energii i serca, ale najlepsze chęci tylko w części zastąpią fachowość. Drugą ważną, dla polskiego życia w Argentynie zaletą sióstr są ich skromne potrzeby materialne. Fachowe cywilne siły nauczycielskie nie mogłyby być opłacane przez Macierz. — Związek Polaków ekonomicznie nie dałby rady.

Dużą pomocą w tych zadaniach jest polski kler katolicki — szczególnie młodzi księża niedawno przybyli z kraju. Na korzyść tak sióstr jak i księży należy także zapisać i to, że wychowując dzieci w duchu religijnym, przygotowując je do pierwszych komunii, do bierzmowań i innych praktyk religijnych, walczą jednak z przejawami bigoterii i to energicznie.

Polska Macierz Szkolna organizuje corocznie kolonie letnie dla dzieci. Kolonie te dla akcji polonizacyjnej mają ogromną wartość, ponieważ zmuszają wszystkie dzieci, które przez takie czy inne zaniedbania rodziców, zaczynają zapominać języka polskiego, do rozmowy między sobą po polsku. Kolonie są organizowane w górach Cordoby, w łagodnym zdrowym klimacie górskim, na własnych terenach, zakupionych ogromnym wysiłkiem finansowym. Teren ten zabudowuje się koniecznymi budynkami mieszkaniowymi i urządzeniami sanitarnymi powoli ale stale.

Macierz finansowana jest przez Związek Polaków i z Funduszu Społecznego, z dotacyj naszych własnych kapitalistów (jakich-że drobnych i jak ich mało), z imprez dochodowych (bale) i ze zbiórek doraźnych z okazji różnych świąt narodowych. Finansom Związku Polaków i Funduszowi Społecznemu trzeba poświęcić osobny rozdział.

Harcerstwo. O harcerstwie nie ma się co rozpisywać. Spełnia swe zadanie zgodnie ze swymi publicznie znanymi założeniami. Na tutejszym terenie ściśle współpracuje z Macierzą.

Biblioteki. Są dwie. Biblioteka im. Ignacego Domeyki została zapoczątkowana w roku 1960 jako inicjatywa prywatna i niezależna od Związku Polaków. Po pewnym czasie trudności w porozumieniu się z zawsze „niezłomnymi” władzami naszego Związku zostały przezwyciężone i ostatecznie Biblioteka im. Ignacego Domeyki wstąpiła do Związku. Na jej temat zresztą napisał kilka uwag Londyńczyk w swej kronice Angielskiej w nr. 1/195-2/196 „Kultury”. Trudno byłoby coś więcej do tych uwag dołożyć.

Druga — a właściwie pierwsza, bo istnieje tu od dawna — to centralna biblioteka Związku Polaków. Jest ona także dobrze wyposażona, specjalnie w dział beletrystyczny, posiada około 7.000 tomów i obsługuje jako wypożyczalnia książek cały Buenos Aires z przyległościami.

Odczyty. Związek Polaków właściwie sam odczytów nie orga-

nizuje, natomiast bardzo szeroką akcję w tym kierunku prowadzi jego członkowie, jako to: SPK, Klub Polski, Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich, Stowarzyszenie Studentów itp. Odczyty mogą mieć najrozmaitsze tematy od bardzo kuchennych do najbardziej atomowych i najczystszej filozoficznych. Frekwencja na odczytach bywa także różna, zależnie od tematów od dziesięciu osób do... — trudno powiedzieć — stu na przykład.

Witold KUSS, sen.

Nowość

SERIA « ARCHIWUM REWOLUCJI »
Tom CIV BIBLIOTEKI « KULTURY »

IGNAZIO SILONE

WYBÓR TOWARZYSZY

Przekład Zofii Kozarynowej

Treść:

*Wywiad z I. Silone
Droga do wolności
Wybór towarzyszy*

„Ilu pokoleń historyków trzeba będzie w przyszłości dla uwolnienia obrazu życia rosyjskiego w ostatnich dziesięcioleciach od ciężkich fałszerstw propagandy i dla zrekonstruowania prawdziwego przebiegu wypadków”.

Str. 94

Cena egz. F 7,50 (£. 11/6; \$ 1,75)

W oczach Londynu

Za kilka tygodni ukażą się komunikaty podające wyniki dorocznych dyskusji radiowych o „najlepszej książce roku” wydanej na Emigracji a członkowie licznych jury rozpytywać będą gorączkowo znajomych o tytuły książek zasługujących na wyróżnienie, na których przeczytanie — oczywiście — nie będą mieli czasu. Udzielane im od niechcenia odpowiedzi obracać się będą w kręgu kilkunastu pozycji z zakresu literatury pięknej i „wytwornego” paniętnikarstwa, zdecydowanej specjalności naszej Emigracji. Daje to w rezultacie jednostronny i ułamkowy obraz sytuacji. Nie zadowoli on ani historyka literatury ani socjologa. Obaj zechcą spojrzeć szerzej i ogarnąć całokształt zjawiska, do którego przystaje lepiej termin „piśmiennictwo” niż „literatura”. Dostrzegą ciekawy rozrzut adresów autorów i miejsc wydania książek, zastanowi ich a może nawet zaniepokoi ogromna rozpiętość tematów a także zjawiska takie jak np. zwyczaj publikacji w językach obcych i coraz silniejsze powiązania tematyczne z warunkami życia w rozlicznych krajach osiedlenia. Uderzy różnorodność tzw. „dokumentów życia społecznego” i nadająca im ton tendencja do sondowania przeszłości w poszukiwaniu tradycji „żywych”.

Zanim, w wyniku uchwał konkursowych, zarysują się kontury oficjalnych hierarchii, warto zorganizować przedbiegi i pokusić się o naszkicowanie obrazu całości. Całości? Jak ją uchwycić, skoro rok nie dobiegł jeszcze końca a doświadczenie uczy, że do wiosny ciągną się „ogony” w postaci wydawnictw przeoczonych, spóźnionych i postdatowanych. Dotyczy to w szczególności odbitek prac naukowych ogłoszonych w obcych wydawnictwach naukowych, przekładów książek autorów polskich na mniej znane języki (np. przekładów Hłaski, Miłosza, Tad. Nowakowskiego, Sergiusza Piaseckiego i in.), kanadyjskich, australijskich a nawet francuskich wydawnictw o charakterze lokalnym związanych z działalnością parafij, szkół, organizacji kombatanckich itp. Ujawniają się one często po latach a pewien

procent uchodzi w ogóle uwagi bibliografów. Braki te są oczywiste. Nie wydaje się jednak, by miały one zasadniczy wpływ na próbę scharakteryzowania pewnych tendencji ogólnych zarysowujących się wyraźnie na przestrzeni kilku ostatnich lat.

Punktem wyjścia będzie materiał objęty kartoteką bibliograficzną Biblioteki Polskiej w Londynie, w której w okresie pierwszych dziesięciu miesięcy 1964 r. zarejestrowano 176 druków polskich i Polski dotyczących wydanych poza krajem (w tym 98 w języku polskim). Te ostatnie interesują nas najbardziej, choć i w grupie książek obcojęzycznych znajdują się ciekawe polonica emigracyjne.

Zestaw ten oceniać można na różne sposoby, rozpoczynając wśród owej niemal setki wydawnictw w jęz. polskim od mechanicznego podziału na książki i broszury (poniżej 100 str.). Zaskoczy nas b. wysoki procent publikacji książkowych — było ich w r. 1964 aż 55, co zdaje się wskazywać, iż mijać zaczyna moda na broszury, które w okresie większego nasilenia życia politycznego stanowiły zdecydowaną większość. Podkreślić przy tym warto, że wśród tzw. „broszur” znalazły się to-miki wierszy w liczbie trzynastu — w większości wydawnictwa bibliofilskie. Tłumaczeń z języków obcych na polski było stosunkowo niewiele: 7, w tym dwa z łaciny (kolejne tomy zbiorowego wydania przekładu pism św. Tomasza z Akwinu), antologia pt. „Uwarstwienie a rozwój społeczny” przynosząca teksty przełożone z kilku języków, „Jedność czy konflikty” Zbigniewa Brzezińskiego (praca Polaka napisana w oryginale po angielsku), jeden przekład z angielskiego pracy Rosjanina (Krywitskij) i jeden z włoskiego (Silone). Pozycją osobliwą jest sztuka niesceniczna p.t. „Marnotrawcy” Richarda Clancy’ego ogłoszona wspólnie z tegoż autora „Drogą do doskonałości”, propagującą poglądy filozoficzne niełatwe do streszczenia.

Przekładom na jęz. polski przeciwstawiają się przekłady z polskiego na języki obce. Tu, jak już wyżej była mowa zachodzi możliwość ujawnienia się różnorodnych wydawnictw takich jak np. nowe wydania przekładu „Quo vadis?” czy wznowień „Długiego marszu” Rawicza — wyliczy je za rok czy dwa „Index translationum”, publikowany przez UNESCO. Inny problem nastroczają wydawnictwa opracowane przez Polaków z myślą o cudzoziemcach, gdzie często zaciera się granica między roboczym tekstem do tłumaczenia a wersją angielską czy francuską (np. broszura ks. Bełcha o Włodkowicu albo „Steel space structures” prof. Z.S. Makowskiego), jeszcze inne wydawnictwa naukowe w jęz. obcych typu „Elementa ad fontium editiones”, z natury swej wielojęzyczne.

Najżywszym ośrodkiem wydawniczym był niewątpliwie Londyn (z przyległym Southendem), w którym ukazało się 78 wydawnictw w języku polskim oraz 34 w jęz. angielskim, nie licząc czasopism. Na drugim miejscu, gdy idzie o druki polskie, stoi Francja — 12, a Stany Zjednoczone, gdy idzie o druki w

jęz. angielskim. Po jednej lub 2-4 pozycjach odnotować można we Włoszech (wspomniane już wyżej „Elementa” oraz b. starannie wydana rozprawa ks. J. Warszawskiego „Mickiewicz uczniem Sarbiewskiego” typis Pontificiae Universitatis Gregoriana” w Rzymie), Izraelu („Siódmy wilk” H. Dankowicza) itp.

Miejsce wydania czy druku nie pokrywa się w większości wypadków z krajem zamieszkania autorów. Tak np. Instytut Literacki ogłosił w roku 1964 gawędę „londyńczyka” Bielato-wicza o Uniw. Jagiellońskim („Gaude Mater Polonia”), „Spór z granicami” przebywającego w Vancouverze B. Czaykowskiego, „Kufer na plecach” Kazimierza Wierzyńskiego naówczas pod-Nowojorczyka a dziś lub jutro Rzymianina i „krajowego” Stanisława Mackiewicza. Podobny obraz sytuacji daje analiza adresów autorów książek polskich ogłoszonych w Londynie, a więc np. ogłoszono tu pośmiertny tom wierszy Romualdy Bromke, zmarłej w Kanadzie, wiersze paryskiego Brzękowskiego, przekład książki prof. Zbigniewa Brzezińskiego działającego w Stanach Zjednoczonych, „Pod każdym niebem” Józefa Mackiewicza mieszkającego w Monachium itp.

Mówić przeto należy o ośrodkach wydawniczych, nie wiążąc ich działalności z aktywnością pisarzy na obszarach poszczególnych państw. I tu jednak największą wydajnością wyróżnią się placówki wydawnicze londyńskie. Tak np. nowopowstała biblioteczka popularna Polskiej Fundacji Kulturalnej przeznaczona dla „czytelnika masowego” opublikowała w roku bieżącym 10 tomików, Oficyna Poetów i Malarzy (9 tomików), „Veritas” (6), B. Świderski (5), Polskie Towarzystwo Literackie (3), Polish Research Centre — Polski Ośrodek Naukowy (3), grupa „Rytm” (2), „Orbis” (1), „Gryf” (1), „Odnova” (1) itd. W Paryżu działalność wydawnicza skupia się wokół Instytutu Wydawniczego „Kultury”*) (10 t), — „Księgarnia Polska”, „Libella” i Tow. Hist.-Lit. — po jednym tytule. Aktywnym ośrodkiem wydawniczym jest ponadto New York dzięki wysiłkom prof. Ludwika Krzyżanowskiego i prof. Adama Gillona.

Nie łatwo odpowiedzieć na pytanie czy był to rok pomyślny czy chudy, gdyż w wysokim stopniu zależy to od zainteresowań pytającego. Krytyk literacki i historyk literatury będzie miał niewątpliwie wiele powodów do narzekań i wiele słów gorzkich w zanadrzu. Zaniepokoi go przede wszystkim katastrofalny brak debiutów i „książkowe” milczenie „wielkich nazwisk” zwłaszcza w dziale prozy powieściowej i eseistyki. Wśród tzw. „drugich” czy „dalszych” powieści odnotuje jako pozycje ambitne „Szklaną kulę” Zofii Romanowiczowej i „Na ratunek gołębiczy” Czesława Dobka oraz dwie dłuższe nowele Marka Hłaski („Wszyscy byli odwrócenii. — Brudne czyny”). Powitano je dobrze, żadna nie stała się jednak wydarzeniem roku. Na półki biblioteczne trafi nadto więcej tytułów prozy beletrystycznej

*) Nie licząc „Zeszytów Historycznych” i „Dokumentów”.

bardziej tradycyjnej i „łatwiejszej” a więc (w ścisłym porządku alfabetycznym): Henryka Dankowicza „Siódmy wilk” (Tel-Aviv), Józefa Garlińskiego „Ziemia” (Londyn), Janusza Kowalewskiego „Miłość i hazard” (Londyn), Józefa Mackiewicza „Pod każdym niebem” (Londyn), Rafała Malczewskiego „Późna jesień” (Londyn), Sergiusza Piaseckiego „Człowiek przemieniony w wilka” i „Dla honoru organizacji” (Londyn). Niewątpliwym wydarzeniem literackim jest pośmiertnie złożona z fragmentów powieść Stefanii Zahorskiej „Warszawa-Lwów 1939”, na gorąco utrwalony i lekko tylko zbeletryzowany obraz pierwszych miesięcy wojny. Zmarłych na Emigracji przypominają nadto londyńskie wydania książkowe „Anakondy” Goetla i „Startu Edmunda Sulimy” Zyg. Nowakowskiego. Pozycją zasługującą na odnotowanie jest także „Marcin Kozera” Marii Dąbrowskiej przedrukowany przez Polską Macierz Szkolną za wiedzą i zezwoleniem autorki dla uczniów szkół sobotnich.

W obrębie prozy beletrystycznej zamieścić nadto wypada książki autobiograficzne odznaczające się b. wysokiej klasy opracowaniem artystycznym. Myślę o gawędzie Bielatowicza „Gau-de Mater Polonia” i „Śpiewie dziewcząt” Zbigniewa Grabowskiego, „opowieści o dzieciństwie”, udanej kompozycyjnie i ciekawej jako psychologiczny portret autora. Tu także kwalifikuje się tom reportaży Ignacego Wieniewskiego pt. „Antycznym szlakiem” (Londyn). Pomyślany interesująco i ambitnie stał się niewątpliwym „bestsellerem” londyńskim. Z broszur wydobyć warto „Katedry i słońce” Zygmunta Kotkowskiego, bezpretensjonalne ale sumienne notatki z podróży po Francji i Hiszpanii, wydane przez odzywającą się na nowo po okresie uśpienia Grupę Literacką „Rytm”. Doskonałym podsumowaniem poczytnej kroniki londyńskiej Big Ben’a z londyńskich „Wiadomości” jest zbiór felietonów Stefanii Kossowskiej pt. „Mieszkam w Londynie”. Ta bardzo angielska w metodzie ujęcia materiału książka o Londynie przeszła, może z braku recenzji, prawie niezauważona — a jest niewątpliwie idealnym popularnym wprowadzeniem do „angielskiego” i „polskiego” Londynu. Książkowym utrwaleniem rozsianych po czasopismach sukcesów Karola Zbyszewskiego jest „Wczoraj na wyrwyki”, irytująco chaotyczna ale b. czytelna a miejscami odważna mieszanka aktualiiów i bezlitośnie potraktowanych postaci historycznych. Na dobro wydawców Polskiej Fundacji Kulturalnej, blisko związanej z bojaźliwym „Dziennikiem Polskim”, zapisać trzeba włączenie do tomu nie obwijających prawdy w bawełnę wspomnień redakcyjnych autora. „Rara avis” w zakłamanej atmosferze Londynu!

Poezja nie zawiodła nas i w tym roku. Co więcej: o ile proza powieściowa wypadła raczej szaro czy bezbarwnie, o tyle w dziale poezji kilka pozycji (które — to już sprawa owych licznych jury) zasługuje na nagrody i wyróżnienia. Pozycją oczywistą jest „Kufel na plecach” Wierzyńskiego wydany w

roku siedemdziesiątej rocznicy urodzin poety. Czytać go należy zamiast mów wygłoszonych na jubileuszu. Lepiej od nich uzasadnia wielkość Kazimierza Wielkiego i budzi podziw dla tego fenomenu anty-skostnienia i anty-rutyny. Dalej dla bezpieczeństwa a także w imię zasady wyznawanej przez Dylana Thomas'a „Poetry is not a competition”, wyliczam w porządku nazwisk autorów pokłosie poetyckie 1964 r.: Jan Brzękowski — „Science fiction” (Ofic. Poetów), Józef Bujnowski — „O kobietach, diabłach i rycerzu” oraz „Poranki i studia” (Pol. Tow. Literackie), ks. Wacław Chabrowski „Madonny” (Ofic. Poetów), Bogdan Czaykowski — „Spór z granicami”*), Jerzy Z. Kędzierzki „Obraz” (Graphic Arts Press, Londyn), Krystyna Krahelska „Smutna rzeka” (Koło b. Żołnierzy A.K. Londyn), Stefan Legeżyński — „Na oceanie” (ib.), Bronisław Przyłuski „Listy z pustego domu” (Ofic. Stan. Gliwy), Florian Śmieja — „Powikłane ścieżki” (Ofic. Poetów), Kazimierz Sowiński — „Monogramy” (Sigma Press w Stanach Zjedn.), Jan Winczakiewicz — „Czarne wino” (Ofic. Poetów). Polskie Towarzystwo Literackie w Londynie wydało nadto pośmiertny tom wierszy Romualdy Bromke, zmarłej — jak Pawlikowska na raka. W kontekście tym nabierają szczególnego znaczenia świadome nawiązania autorki do wierszy właśnie Pawlikowskiej. Tytuł tomu „Rymy moje”.

„Książką roku” stać by się w teorii powinna „Literatura polska na Obczyźnie, 1940-1960” pod red. prof. Tymona Terleckiego, której tom pierwszy ukazał się przed kilku miesiącami. Omówił go w „Kulturze” Bogdan Czaykowski, wnikliwie zastanawiając się nad trudnościami pionierskiego przedsięwzięcia. Redaktor trzymał się zasadniczo schematu stosowanego z niewątpliwym powodzeniem przez krajowy „Rocznik Literacki”. Powtarza go, w pewnym sensie, obecne, wstępne i surowe opracowanie ogólnego obrazu produkcji wydawniczej 1964 r. Myślę nadal, że przy opracowaniach za okresy krótkie, jest to metoda najlepsza, może nawet jedyna. Dwudziestolecie, objęte zarzyssem Terleckiego, jest jednak tak niejednolite, tak wyraźnie rozbijające się na co najmniej trzy okresy: wojenny, chaosu i pewnej konsolidacji, tak bardzo uzależnione od wydarzeń politycznych, geografii, ośrodków wydawniczych, indywidualności pisarzy, redaktorów i wydawców — i tak, powiedzmy sobie szczerze, ubogie w arcydzieła, że zoperowanie go metodami szkoły Kridłowskiej okazało się zabiegiem więcej niż ryzykownym. Pisarze wielostronni — a więc np. Bielałowicz (czy sam redaktor tomu) poszatkwani zostali na kiełbasę serdelową czy też poznańską „metkę”; inni, z *młd.* włącznie czują się jak polinezyjskie laleczki ponakłuwane tysiącami szpilek w zawitych zabiegach magicznych. Są pisarze, wspomniani kilkanaście razy, zawsze w tej samej sytuacji: „szkice historyczno-literackie pisali: X, Y... i”, powiedzmy „Niewiadomski”, „o teatrze pol-

*) Instytut Literacki, tom XCVIII Biblioteki „Kultury”.

skim... pisali X, Y... i Niewiadomski" itd. itd. Nie pomoże tu indeks. „Literatura polska na Obczyźnie”, zwana potocznie „Literaturą w epoce Terleckiego” domaga się nie tylko indeksu (ten ukaże się przy t. II-im) ale i staromodnego słownika bio-bibliograficznego na wzór wydawanego obecnie w Kraju.

Przedsięwzięć zbiorowych było w zakresie historii literatury więcej. Najważniejsze — nowojorska księga ku czci Krasńskiego pod red. prof. W. Lednickiego, wydana w jęz. angielskim, należy formalnie do drugiej części obecnych uwag, poświęconej omówieniu wydawnictw w językach obcych.

Oryginalnych prac indywidualnych z zakresu historii literatury ukazało się zaskakująco mało. Pozycją najważniejszą jest 527-stronicowa rozprawa ks. Józefa Warszawskiego, Jezuitę, bohaterskiego kapelana A.K., autora książki o „Katolicyzmie Mickiewicza” i wydawcy tomu cennych materiałów biograficznych dotyczących nowicjuszy Zakonu Jezusowego z przełomu XVI i XVII w. Rzecz wydana obecnie nosi tytuł „Mickiewicz uczniem Sarbiewskiego” i obszernie dokumentuje niedostrzeżone dotąd a bardzo prawdopodobne wpływy Sarbiewskiego — teoretyka poezji — na młodego Mickiewicza.

Kraj — i to w osobie Juliana Przybosia — dostrzegł i pochwalił przed Emigracją rozprawę Adama Uziembły pt. „Uwagi o rytmach prozy polskiej” wydaną wiosną 1964 z datą 1963 przez Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu.

Minęła, jak się zdaje, moda na wspominkarstwo. Ukazujące się obecnie pamiętniki pisane były lub przygotowywane do wydania z myślą o udostępnieniu wartościowych relacji historycznych (np. „Pamiętniki Sybiraka” Edwarda Czapskiego w opracowaniu Marii Czapskiej, wyd. przez Świderskiego w Londynie), obrazu działalności społeczno-polityczno-kulturalnej zasłużonego rodu wielkopolskiego i dziejów jego siedziby („Rogalin i jego mieszkańcy” Edwarda Raczyńskiego, — piękny druk bibliofilski z Oficyny St. Gliwy, firmowany przez Polish Research Centre), sylwetek „Ludzi mego czasu” utrwalonych we wspomnieniach mec. Zygmunta Nagórskiego sr. (wyd. Księgarni Polskiej w Paryżu). Ta ostatnia książka wskrzesza trzynastu wybitnych polityków, uczonych, prawników w serii szkiców poświęconych osobom: Kazimierza Bartła, Leona Berensona, Stanisława Bukowieckiego, Wład. Grabskiego, M. Handelsmana, Jana Kucharzewskiego, Aleks. Lednickiego, Karola Lutostańskiego, Macieja Rataja, Stanisława Thugutta, Wincentego Witosa i Floriana Znanińskiego.

Żywym echem odbiły się w r. 1964 rocznice wielkich wydarzeń historycznych. Echem wystawy „W stulecie powstania styczniowego” jest obszerny katalog zbiorów śp. ks. Józefa Jarzębowskiego, przynoszący opisy ponad tysiąca eksponatów, w tym wielu rękopisów, rzadkich druków ulotnych, prasy z okresu powstania, pokaźnej kolekcji pamiętników i biografii, grafiki itp. Dalszym echem wystawy jest medal ku czci Romual-

da Traugutta wybity staraniem Tow. Przyjaciół Fawley Court wg. projektu S.S. Boguckiego.

Ruchliwy Komitet 50-lecia Czynu Zbrojnego J. Piłsudskiego wydał pod red. Konrada Libickiego pt. „Piękne wczoraj” sumiennie i interesująco zestawioną antologię wspomnień, wierszy itp. Popularniejszym jej odpowiednikiem jest jednodniówka pt. „Starym ojców naszych szlakiem”, przynosząca m.in. dodatek nutowy: „Pieśni legionowe” w opracowaniu Henryka Hosowicza, dyrygenta Chóru im. K. Szymanowskiego w Londynie. Wydał on ponadto „Wiązanek pieśni legionowych” Aleksandra Orłowskiego. Dalszym echem rocznicy był katalog specjalnej wystawy filatelistycznej zorganizowanej przez Związek Filatelistów Polskich w W. Brytanii w sierpniu 1964 r.

Nie utrwalono, niestety, w postaci katalogu opisów ciekawego zestawu eksponatów dotyczących walki podziemnej z okupantem niemieckim i powstania warszawskiego, pokazanych dwukrotnie — naprzód na Zjeździe AK w Fawley Court we wrześniu a następnie w listopadzie rb. w Londynie. Wystawa, pomyślana jako objazdowa, wyrusza na prowincję.

Echem uroczystości wrześniowych jest nadto tekst „Kazania na XX-lecie Powstania Warszawskiego” wygłoszonego w czasie Zlotu A.K. przez ks. J. Warszawskiego oraz „6 Pieśni A.K.” w oprac. Henryka Hosowicza, wyd. nakładem Chóru Akademickiego w Londynie. Z rocznicą wiąże się także staranne wydanie tomiku słabych, niestety, wierszy bohaterskiej łączniczki A.K., Krystyny Krahelskiej („Smutna rzeka”).

W dwudziestolecie powstania ukazał się tom wspomnień Stanisława Zadroźnego „Tu-Warszawa”, przynoszący dzieje radiostacji „Błyskawica” (wyd. Księg. Orbis).

Koła pułkowe, skupiające dawnych towarzyszy broni, były w rb. bardzo ruchliwe w zakresie publikowania opracowań dotyczących poszczególnych jednostek wojskowych. Kilka przykładów: „Rodowody Artylerii Konnej WP.” — oprac. zbiorowe pod red. J. Boguckiego, wydane w pięknym bibliofilskim kształcie przez Ofic. Poetów i Malarzy nakł. Zw. Artylerzystów Konnych; — związane ale doskonale napisane „Wspomnienia ze służby w 1 Konnej Baterii (Kampania 1920 r.)” generała Stan. Kopańskiego (załącznik do komunikatu Nr 19 Zw. Artylerzystów Konnych); uzupełniony przedruk przedwojennego „Zarysu historii wojennej 1 pułku czołgów” w oprac. Michała Piwoszczuka z uzupełnieniami Bohdana Jeżewskiego i Mariana Żebrowskiego (skł. główny „Taurus”), zarys historii wojennej 1 Dywizji pancernej w opracowaniu Antoniego Grudzińskiego z przedm. gen. St. Maczka (w nrze specj. „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej”, Nr 34 z czerwca 1964).

Najważniejszą pozycją z zakresu historii wojskowości są jednak wydane w lecie 1964 (z datą 1963) „Działania 2. Korpusu” w zbiorowym opracowaniu Komisji Historycznej 2. Korpusu, będące obecnie przedmiotem ożywionych dyskusji.

Trwałą wartość dokumentu historycznego posiadają niewątpliwie 3-tomowe „Moje wspomnienia” Wincentego Witosa, starannie przygotowane przez Franciszka Wilka z przedmową będącą bodaj ostatnim słowem prof. Stanisława Kota przed ciężkim atakiem, który przykuł go do szpitalnego łóża. Diametralnie różny aspekt najnowszej historii politycznej Polski ukazuje „Diariusz i teki Jana Szembeka”, którego t. I ukazał się jako wydawnictwo Polish Research Centre w starannym opracowaniu Tytusa Komarnickiego. Oba wydawnictwa budzą żywe zainteresowanie w Kraju; oba żwawo konfiskuje dokuczliwsza z każdym miesiącem cenzura.

Na pograniczu reportażu i wspomnień umieścić należy zebrane z pietyzmem przez p. Jadwigę Składkowską w tomie pt. „Nie ostatnie słowo oskarżonego” artykuły i polemiczne wypowiedzi Sławoja Składkowskiego, głoszącego zza grobu dumnie i uparcie, że osąd swej działalności zostawia wyrokom historii.

Nakładem „Veritasu” ukazały się zadziwiająco blade „Pamiętniki” gen. Józefa Hallera.

Kilka dalszych wydawnictw, b. różnej zresztą wartości naukowej: Pawła Czerwińskiego „Zakon Maltański i stosunki jego z Polską na przestrzeni dziejów” (Polish Research Centre) — rezultat wieloletniej pracy kulturalnego amatora-historyka, czekający na fachowe omówienie; Jędrzeja Giertycha „U źródeł katastrofy dziejowej Polski: Jan Amos Komensky” — zaskakująca próba przesunięcia odpowiedzialności za grzechy naszych sarmackich przodków na... Komensky’ego (wyd. „Veritasu”); t. II „Pamiętnika Kijowskiego” (wyd. Koła Kijowian), b. nierówny — ale wymowny jako próba utrwalenia ważnego rozdziału historii polskiej ekspansji kulturalnej; znacznie cięższego kalibru, starannie przygotowana „Historia Ligi Narodowej” Stanisława Kozickiego, wyd. z rękopisu przez Ant. Dargasa, Józefa Płoskiego i H. Świeżawską (nakł. „Myśli Polskiej” w Londynie) — wreszcie również pośmiertnie wydany t. I monografii Piłsudskiego w opracowaniu Władysława Pobóg-Malinowskiego. Doprowadza on życiorys Marszałka do r. 1914-go.

Ignacy Paderewski (raczej, w tym ujęciu, muzyk niż polityk) jest bohaterem starannie opracowanej przez Czesława Halskiego popularnej biografii, wydanej przez SPK i Gryf Publ. w Londynie.

Mała broszura Zygmunta Kotkowskiego pt. „Biskup polowy ks. Józef Gawlina. Bagdad-Londyn” daje więcej, niż zapowiada tytuł. Poza wspomnieniami autora o Zmarłym przynosi ciekawy obraz polskiej społeczności uchodźczej i wojskowej na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

W dziale publicystyki politycznej ukazało się kilka ciekawych i b. poczytnych pozycji z kontrowersyjną książką Aleksandra Bregmana „Jak świat światem? Stosunki polsko-niemieckie wczoraj, dziś i jutro” (wyd. Polskiej Fundacji Kulturalnej)

na czele. W dalekim Buenos Aires ukazały się „Dysproporcje polityki polskiej. (Prawda o polskim dramacie dziejowym” Tadeusza Kozłowskiego, nakł. Biblioteki Polskiej im. Ignacego Domeyki). Instytut Literacki wydał dwa dalsze „Zeszyty Historyczne” (V i VI) dwa tomy „Archiwum Rewolucji” oraz „Politykę Becka” Stanisława Mackiewicza. Adam Ciołkosz ogłosił drugi zeszyt „Dokumentów chwili”, koncentrując się na zagadnieniu stosunków sowiecko-chińskich („Koniec monolitu”).

Kilka dalszych pozycji wydanych w formie broszur: stenogram debaty w Radzie Jedności Narodowej z dn. 8.II.1964 na temat „Wolność sumienia i wyznań religijnych pod rządami komunistów w Polsce” (nakład Egzekutywy Zjedn. Narodowego); Władysława Wielhorskiego „Trzy pytania i trzy odpowiedzi. Prawda o deportacjach Polaków pod panowaniem sowieckim (nakł. j.w.); — wreszcie: historiozoficzne rozważania niestrudzonego Tadeusza Dzieduszyckiego pod, jak zawsze barwnym tytułem: „Koniec dezercji kresowego rycerstwa na rzecz tyłowego kupiectwa. Koncentracja sił typu: Kościuszko i Czartoryski, Piłsudski i de Gaulle” (nakł. autora). Wydawnictwo „Ecco” zadebiutowało bojową broszurą Mieczysława Liwicz-Michniewskiego „Na tropach niemieckiej dywersji i infiltracji”, atakującą na całego kogo się da.

Trzy dalsze pozycje są wymownym świadectwem żywego zainteresowania problemami gospodarczymi i społecznymi Kraju. Pierwszą z nich są referaty i materiały sprawozdawcze z Konferencji Ekonomicznej w Sprawach Krajowych, 5-7.VI.1964, opublikowane na razie w formie powielanej dzięki staraniom Stan. Paprockiego. Drugą — jest wybór pism na temat „Uwarstwienie a rozwój społeczny” pod red. Stanisława Leonarda Andrzejewskiego i Jana Ostaszewskiego ze wstępem Edwarda Shilisa, wydany przez Szkołę Nauk Politycznych i Społecznych. Trzecią: Feliksa Grossa „Uwagi o zmianie społecznej” wydane w Londynie przez Liberty Publ. z przedmową Normana Thomasa.

Polskie Tow. Historyczne uczciło 600-lecie Uniw. Jagiellońskiego okolicznościową broszurą prof. Haleckiego. Wokół tejsze rocznicy obraca się tegoroczne wydawnictwo Funduszu Oświaty Polskiej Zagranicą „Szkolnictwo wyższe i nauka polska na Obczyźnie” (którego trzon stanowi Stefana Mękarskiego „600 lat Uniw. Jagiellońskiego”).

Polski Uniwersytet na Obczyźnie (PUNO) wydał obszerny „Informator uniwersytecki” przynoszący szczegółowe informacje o możliwościach studiów zaocznych dla studentów rozproszonych po świecie.

Polska Macierz Szkolna Zagranicą, realizująca konsekwentnie program zaopatrzenia szkół polskich na Obczyźnie w podręczniki i programy, wydała „Program nauki w szkołach przedmiotów ojczystych na szczeblu szkoły powszechnej”, „Wypisy dla klasy IV” w oprac. Marii Goławskiej — i bardzo szczegó-

łowe sprawozdanie finansowe z rozliczeniem z wpływów i rozchodów z funduszków uzyskanych ze zbiorów społecznych i dochodów z wydawnictw.

Doroczne sprawozdania ogłosiło ponadto Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Wielka Brytania, Polska YMCA oraz kilkanaście instytucji naukowych przesyłających stale materiały do „Rocznika Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie”.

Wzorem lat poprzednich ukazał się „Kalendarz Dziennika Polskiego” z interesującym zestawem informacji o „Sprawach kulturalnych polskiego Londynu” (Jan Jordan), danych o szkolnictwie (Michał Goławski), o kościołach polskich w W. Brytanii (Z.E. Wałaszewski) itd. „Świąteczne zwyczaje” w opracowaniu ks. Jana Jaworskiego dają zwięzły obraz kościelnego roku obrzędowego (wyd. „Veritasu”). W Rzymie ukazał się wzorowy przewodnik pt. „Polak w Rzymie” w opracowaniu Witolda Zahorskiego w b. starannej szacie graficznej z rysunkami i wyklejkami ze spuścizny po Samuelu Tyszkiewicz.

Na odcinku czasopism warto odnotować kilka zmian. „Orzeł Biały”, pismo niemal starożytne, przeszło z tygodnika na miesięcznik ze względów natury ekonomicznej. „Kultura” wydawać zaczęła poza „Zeszytami historycznymi” serię pt. „Archiwum rewolucji”. „Kontynenty” wyszły z rąk młodzieży, obecnym ich redaktorem jest Zbigniew Grabowski. W Paryżu zaczęło wychodzić nowe pismo polityczne kwartalnik pt. „Droga”, określony jako „wolna trybuna polskiej myśli demokratycznej”. Staraniem duchowieństwa polskiego w Rzymie ukazywać się zaczęło w końcu roku wydawnictwo periodyczne.

Tyle dobrego i złego ujawniło się na odcinku wydawniczym w *jęz. polskim* do początków listopada. Drugi, niemniej urozmaicony rozdział stanowią wydawnictwa w *jęz. obcych* (polonica): prace Polaków ogłoszone w *jęz. obcych*, przekłady z polskiego, publikacje o sprawach polskich itp. Będą one przedmiotem analogicznego omówienia w następnym felietonie. Ujawni ono niewątpliwie pewne nowe tendencje i pozwoli na wyciągnięcie wniosków.

(m.l.d.)

Czaykowskiego raj utracony

Whatever can happen to man has happened so often, that little remains for fancy and invention. — dr Johnson

Poezja tzw. współczesna uchodzi za trudną i prowokuje stereotypowe pytanie czytelników, dlaczego tak jest. Ludzie przyzwy-

czajeni tych pytań słuchać opracowali już sobie stereotypową odpowiedź, która zwykle zawiera następujące punkty w formie dalszych pytań: czy poezja była kiedyś łatwa? czy łatwość nie jest zaprzeczeniem sztuki, wielkiej kondensacji myśli i obrazu, jaką poezja przecież reprezentuje? czy wreszcie, te trudności nie są pozorne, czy nie znikną po bliższym zapoznaniu się z dziełem? (Mniejsza z tym, że to „zapoznajowanie się” może ciągnąć się kilka stuleci). Jest to jednak argument, który mimo, że sam go używałem, wydaje mi się teraz mało zadawalający. Jest zbyt ogólnikowy, jest raczej unikiem a nie wytłumaczeniem. Ludzie niewtajemniczeni bowiem, którzy zadają naiwne pytania odnośnie współczesnej poezji, a także odnośnie współczesnej muzyki czy malarstwa, przeczuwają istnienie problemu, którego nie można załatwić np. przypomnieniem, że nawet pewne bardzo skromne eksperymenty, na które Beethoven odważył się w swej I symfonii, zaniepokoiły krytyków: doza dziwności we współczesnej sztuce zdaje się być niewspółmiernie większa.

Prawdą jest oczywiście, że sztuka dawniejsza również obfituje w problemy interpretacyjne. Mogą one wynikać z radykalnej rewolucji światopoglądowej, która je od nas dzieli. Dystans ten wyczuwamy oglądając grecką tragedię, szczególnie Eschyla. Lecz nawet gdy autor porusza się wśród pojęć i zagadnień, które wydają się bliższe naszym odczuciom, nie oznacza to, że np. konflikt moralny w „Learze”, czy metaforyka i symbolizm „Burzy” nie wymagają poważnej pracy umysłowej z naszej strony. Wreszcie, nie od dziś poeci posługują się językiem eliptycznym, frazą przeładowaną aluzjami, skomplikowaną metaforą. Tu Szekspir nie jest bynajmniej „łatwiejszy” od autorów współczesnych. A ile pytań i problemów prowokują prościutkie wersety „Trenów”?! (1).

Ale wyliczywszy te trudności, które napotykamy przy lekturze klasyków, zmuszeni jesteśmy jednak przyznać sobie w duchu, że analogia z współczesną sztuką nie jest kompletna, że jest jakaś *differentia specifica* cechująca większość eksperymentów poetyckich, powiedzmy gdzieś od połowy zeszłego stulecia. Lautréamont, de Nerval, Rimbaud, Mallarmé, Hopkins, nadrealiści francuscy, Dylan Thomas i Białoszewski doprowadzają swobody wywalczone przez rewolucję romantyczną do logicznego końca. Coleridge, Hugo, Słowacki łamali reguły w imię własnego indywidualizmu,

(1) Że nie tak łatwo na ich poziomie czuć się swobodnie dowiódł niedawno emigracyjny autor rewiowy Marian Hemar, publikując w „Wiadomościach” swój XX tren, w którym Kochanowskiego stawia wobec dylematu: Bóg (oznajmia pocie we śnie anioł) przywróci do życia Orszulę, jeśli (oczywiście) poeta zgodzi się zniszczyć 19 trenów, które właśnie ukończył i które, zdaje on sobie z tego sprawę, zapewnią mu wieczną sławę. Dorabiając Kochanowskiemu taki uwłaczająco groteskowy „problem”, autor nieświadomie udowodnił, że do napisania „Trenów” potrzebny był nie tylko jakiś po wirtuozersku pojęty „talent poetycki”, ale także wrażliwość takt i nieprzeciętność umysłu.

ale ich następcy posunęli się do krańców, tworząc prywatny język dostosowany do solipsystycznych rozważań. Ewolucja ta jest m.in. odzwierciedleniem przemian socjologicznych, które zredukowały funkcję społeczną poezji i poety. W krajach komunistycznych próby odwrócenia tego procesu historycznego wyglądają żałośnie.

Pozytywnym rezultatem tej rewolucji społecznej było porzucenie przez poezję różnych balastów, które przejmować zaczęli dziennikarze, księża, itp., tak, że mogła ona teraz zabrać się do swego istotnego zadania, tzn. odtwarzania świata poprzez pryzmat poetyckiej wyobraźni (nb. na zmiany te zwraca uwagę Norwid w przedmowie do „Vade-mecum”). Ale poeci, zostawieni sobie i swej sztuce, zwolnieni od nacisków społecznych, wkrótce spostrzegli, że nikt się nimi nie interesuje. Tu zrodziło się parcie do skrajnego indywidualizmu: skoro nie można wykazać się użytecznością, należy zadziwić oryginalnością, a więc hermetycznością.

Jest to sytuacja nie mająca precedensu przed w. XIX. (Są zresztą oznaki, że ten okres mija: poeci dziś często zdają sobie sprawę, że monolog z samym sobą problemu tworzenia dzieła artystycznego nie rozwiązuje. Czytelnicy jednak jak zwykle pozostają oszołomieni w tyle. Tak długo wmawiano im, że nowoczesna poezja jest zawiła, że teraz drażni ich i peszy *prostota* (pozorna oczywiście!) utworów np. Różewicza).



Te uwagi ogólne nastroczył mi nowy (czwarty) tomik poetycki Bogdana Czaykowskiego pt. *Spór z granicami* (Instytut Literacki, 1964), w którym poezji hermetycznej jest sporo. Oto np. początek „Małego Promethidionu”:

na zetknięciu dwóch iglic
przekłute bębenki nocy
na styku dwóch tarcz
przyleganie płaszczyzn
brzęk mosiężnych talerzy
grzechotnik tamburyn
i błękitny baryton
jak wstęga
bas
jak noc
przepływają korable koralowe rafy
karbunkułowe morze w porcelanie nieba
i dwa seledyny
dwaj serafinowie
w śnie
jak jedwab
jak pocałunek lnianej chinki
przepłynęły korable koralowe rafy

*ku seledynom odwiniętym
w za-horyzont
snu*

Tytuł wiersza prowokuje porównanie ze znanym traktatem o sztuce Norwida. Jakby w odpowiedzi na rzeczowe sformułowania Norwida Czaykowski ogłasza strumień chaotycznych i niezbyt ciekawych skojarzeń, z których niespodziewanie wynurza się sformułowanie dające asumpt do wniosku, że jednak poeta nie igra z nami, że chce nam coś ważnego zakomunikować:

rozmowa zesła na Leibniza

*Wiesław rzecze: tak więc monada sztuce sens dać tylko może
i szuka metafory*

(Nb czy nie powinno być „*tylko monada sztuce sens dać może*”?). To zdanie, o ile je dobrze rozumiem, jest syntetycznym podsumowaniem poprzedzającego strumienia przypadkowych skojarzeń i stanowi pochwałę hermetyczności. Wiesław Czaykowski jest zaprzeczeniem Wiesława Norwida. Nasuwa się więc wniosek, że „*Mały Promethidion*” jest parodią „*Promethidionu*”. Norwid starannie rozwija swój wykład o sztuce jako sprawie publicznej, doniosłej, mającej wpływ na kształtowanie się umysłowości i moralności jej odbiorców, wykład Czaykowskiego natomiast ogranicza się do bełkotu „gga, gga, gga”. Gdyby to była parodia może zbyt egzaltowanego i optymistycznego stanowiska Norwida, nie byłoby sensu nad nią się rozwodzić poza uwagę, że parodia nie jest w tym wypadku dostatecznie dowcipna. Z lektury innych wierszy w tomiku wynika jednak, że Czaykowski traktuje tę solipsystyczną postawę poważnie. Takie stanowisko jest przykrym ograniczeniem poetyki Czaykowskiego. Czysty werbalizm i wolny asocjacionizm, który poeta rekomenduje w „*Małym Promethidionie*”, nie jest równoznaczny z poezją czystą, tzn. poezją wyzbytą z zewnętrznych apoetyckich inkrustacji, jest w ostatecznej ocenie nudny i trywialny.

Poetykę wolnej asocjacji może ocalić jedynie silne działanie dyscyplinującej wyobraźni, która jest w stanie kontrolować czysto mechaniczne kojarzenie słów i obrazów. Tak się rzecz ma na przykład w wypadku „*Ogródu*” i „*Zdobycia Berdyczowa*”, gdzie jednolitość i harmonijność obrazów jest wynikiem wewnętrznej logiki; utwory te, choć są w zasadzie Leibnitzowskimi monadami, zadawałają dzięki koniecznej progresji obrazów i energii twórczej zwróconej w jednym kierunku, a nie chaotycznie rozproszonej. Szczególnie w wypadku „*Zdobycia Berdyczowa*” musimy uznać sukces tej metody. „*Ogród*” bowiem jest uzależniony od bogatych zewnętrznych skojarzeń, symboli, asocjacji, natomiast w „*Zdobyciu Berdyczowa*” brak takiego zaplecza. Pisząc go, Czaykowski musiał stworzyć cały nowy świat i dzięki obrazotwórczej wyobraźni to mu się udało: nie jest może przy-

padkiem, że „tematem” „Berdyczowa” jest nie co innego jak wyobraźnia poetycka.

Solipsystyczna poetyka Czaykowskiego jest niezadawalająca nie tylko dlatego, że zbyt często tworzy utwory, które nie są w stanie promieniować zestrojonego zespołu obrazów lub przekazywać dyskusyjną treść, ale także i dlatego, że ogranicza i zaciemnia tematykę, która zasługiwałaby na szersze i klarowniejsze opracowanie. Na przykład apokalipsa atomowa, do której Czaykowski obsesyjnie powraca. Są do niej aluzje w *Surze* (Londyn, 1961), poemacie lirycznym, podczas gdy temat wymaga formy dydaktyczno-dyskursywnej. Z tych samych względów nie zadawała również ujęcie w „Rozmowie z przyrodą” (*Kultura*, kwiecień 1962): zamiast roztrząsać problemy moralne, społeczne i polityczne poeta zmuszony jest ograniczyć się do historycznych i melodramatycznych okrzyków:

*Bo nie zostanie pień, ani łądyga,
ani liść, ani drżenie liścia,
oprócz pokładów węgla, ciężkiej wody,
skał rozkruszonych pękniętych atomów
rozbitej czaszki ziemi...*

podobnie w *Surze*:

*Kurzawa za nami przesiewa stalowy odbłask promieni.
Z rozdartych kontynentów rżą próżne wyrzutnie (2).*

Czaykowskiemu udaje się sprostać nurtującej go wizji w „Age de la pierre (II)” gdzie retoryczną rozpacz zastępuje chłodna groteska, co nie oznacza, że przerażający obraz jest tu mniej efektowny, wprost przeciwnie:

*dzieci nam się rodzą śpiewające
jak ryby w tutejszych rzekach
i myślimy że to jest ziemia
albo inna planeta
może księżyc
(.....)
czasami śnią się nam miasta
Troja Ateny-Jerozolima Londyn*

(2) Muszę jednak podkreślić, że *Sura* nie jest bynajmniej wyłącznie traktatem o hekatombie nuklearnej. Bohaterka poematu, *Sura*, jest po części symbolem nadrealistycznych asocjacji, wcieleniem wyobraźni poetyckiej, obiektem miłosnym, zarówno kochanką jak i muzą. Niemalą zaletą *Sury* jest swoista forma: w naszych czasach Anglosasi dokonali wielkich odkryć technicznych w tej dziedzinie. Ci nasi poeci, którzy o poezję anglosaską się otarli z przygnębiającą pedanterią starają się te osiągnięcia formalne mechanicznie na gruncie polskim rekonstruować. Dobrze zresztą zapowiadający się poeta J.M. Rymkiewicz przeładowuje swe utwory gimmickami warsztatu Eliota i Pounda. Należy się radować, że poemat Czaykowskiego, powstały przecież w Londynie takich łatwych rozwiązań unika.

*ale to wszystko odrzucone w czasie
jak przed tym co go żydzi*



Nie można jednak twierdzić, że groza atomowa powinna występować w poezji jedynie jako doraźny problem polityczno-humanitarny choć jest to oczywiście problem najistotniejszy. W poezji Czaykowskiego ma ona właściwie inną, ogólniejszą rolę: jest generalnym symbolem apokaliptycznym i punktem kulminacyjnym poetyki katastroficznej, poetyki lamentującej też utratę raju. Na początku „Rozmowy z przyrodą” poeta powiada „Pani, z ogrodu twego wyjść nie mogę”, ale po opisie (cytowanego wyżej) kataklizmu konkluduje: „I dlatego chciałbym wyjść z ogrodu...”. Już we wczesnym wierszu (w tomiku z r. 1957) charakterystycznie zatytułowanym „Metaforyzacje dzieciństwa” Czaykowski maluje obraz zniszczenia, który w późniejszych utworach będzie rozwijał:

*Rzekę przepływał człowiek
Uciekający od kul.*

*A miejsca miast starożytnych
Dzikie porosły chwasty
O ciemnych łodygach dymu,
Jaskrawo, strasznie kwitnące.
(.....)*

*W popiele grzebał człowiek
Szukając spalonych czasów.*

*Jeszcze do dziś obmywa
Ziemie z popiołów niebo.
Liże ziemia swe rany.
Drży z przerażenia w snach.*

Tak więc wizja zagłady obejmuje nie tylko przyszłość, ale i przeszłość. Czasem jednak ta wizja przybiera postać łagodniejszą opisu raju utraconego dzieciństwa i wtedy, podobnie jak u Vaughana i Wordswortha, słodycz miesza się z melancholią:

*Siekiera trzebi ogród. Lecz ciągle płonie zieleń.
I najpiękniejsze z cisz wciąż kryją się w ogrodzie,
Który się kiedyś zwało — i pięknie — wirydarzem,
Lub rajem, utraconym, który tu opisałem,
Z pamięci.*

Na tle tego wyobraźnię przywołanego krajobrazu doskonałego bytu interesująco rysują się dwa inne krajobrazy stworzone przez Czaykowskiego: 1) w „Age de la pierre”, wierszu wspaniale

skoncentrowanym i pulsującym nerwową energią, poeta opisuje jednocześnie świat po-stalinowski i po-atomowy. Spustoszenie fizyczne połączone jest ze spustoszeniem psychicznym i moralnym, podobny związek ukazany jest między odbudową i odnową:

*Sądy skazały jednych, i drugich.
Później były amnestie pomordowanych
I pozostałych przy życiu rehabilitacje.
Dobrowolnym banitom pozwolono wracać.
(.....)
Pytasz, jakie otwierają się perspektywy?
Nie usuniesz gruzów myśli, nawet budując pomniki
Na żadnym z grobów.
Aż wzrosną nowi ludzie.
O których tyle tylko wiadomo,
Że wezmą ciężkie dziedzictwo.*

2) w „Brzegu”, wierszu stosunkowo nowym, pisanym pod wrażeniem krajobrazu kanadyjskiego, poeta nie idealizuje przyrody:

*Wybrał nas krajobraz górzysty, morski, zadrzewiony, klimat
zmienny; chcemy nauczyć słowa suchości piasku, energii fal,
smukłości funkcjonalnej masztu.*

Autor zbliża się do rzeczywistości, przyroda nie jest ucieczką, jest przedmiotem który należy obserwować i z którego można wyciągnąć wnioski dla siebie; w „Age de la pierre” apokalipsa nie jest wyrazem jedynie własnej rozpacz, lecz także troską o sytuację człowieka w tragicznym świecie. Dobrze się stanie, jeżeli przyszłe wiersze Czaykowskiego od tych dwóch utworów swój kierunek wezmą.

Adam CZERNIAWSKI

Krajobraz czekający na wyjaśnienie

Krytycy w prasie brytyjskiej niejednokrotnie stwierdzali, że powieści o życiu i problemach Wschodniej Europy są albo niezadawalające albo wręcz przykre w lekturze i twierdzenie to wydaje się na ogół słuszne. Niejeden polski powieściopisarz popełnia błąd łącząc egzotyczną angielszczyznę z całkowitym brakiem zrozumienia stanu umysłu czytelników, do których utwory jego są adresowane. Dlatego też wiele spodziewamy

się od powieści o Polsce napisanej przez autora, którego językiem oczyszczym jest język angielski. Oto nareszcie mamy pisarza, w którego znajomość odbiorców nie można powątpiewać a także kogoś kto dzięki temu, że jest przybyszem z zewnątrz może mieć szerszy pogląd na sprawy, które opisuje. Tak właśnie jest z nową powieścią Frank Tuohy „Mroźni Święci”*), której akcja rozgrywa się w Polsce lat tysiąc dziewięćset sześćdziesiątych. Akcja koncentruje się dookoła angielskiej dziewczyny, Rose Nicholson, która przyjeżdża odwiedzić swoją siostrę, Janet Rudkowską, która wyszła za mąż za Polaka i mieszka w Polsce. Małżeństwo to ma czternastoletniego syna Tadeusza. Celem wizyty Rose jest omówienie sprawy pieniędzy zapisanych w testamencie Tadeuszowi przez daleką angielską krewną. W czasie swego pobytu w Polsce Rose spotyka szereg Polaków a także i Anglików mieszkających w Polsce i właśnie charakterystyki tych ludzi i ich rozmowy czynią książkę tak bardzo interesującą, w pełni usprawiedliwiając nikły wątek fabularny. Jest to powieść inteligentnego dziennikarza, który nie chce angażować się w politykę opisywanego kraju ale raczej zamierza notować i obserwować. Tuohy czyni to z wielką werwą i chociaż jest bardzo sumienny w podawaniu szczegółów (rzecz godna rzeczywiście pochwały) wydaje się jednak powodować dziwnym brakiem sympatii dla tych, którzy znaleźli się w okolicznościach, które ich przerosły. Być może Tuohy znajduje się pod wpływem szkoły anty-bohatera, reprezentowanej przez Kingsley Amisa i innych, bo jego postacie, choć zadawałające w tym sensie że wydają się nam prawdziwe, nie mogłyby być uznane w jakimkolwiek sensie za pozytywne, czy też za postacie które się naiwnie nazywa „dobrymi”. Obraz, jaki pisarz roztacza przed nami, jest przygnębiający, nie ma niczego w tym kraju „ogromnego nieba” (aby zacytować autora) zaludnionym przez mało fascynujących ludzi którym się życie nie powiodło, niczego co by było w jakimkolwiek sensie przyjemne czy warte ocalenia od wszystko przytłaczającej szarzyzny. Młody Tadeusz jest jedyną osobą, która wydaje się Rose możliwa do ocalenia ale jej usiłowania wywiezienia chłopca spełzną na niczym — Tadeusz jest szczęśliwy tam gdzie jest (nawiasem mówiąc — tylko on jeden) i usiłuje popełnić samobójstwo kiedy decyzja wyjazdu zostaje mu narzucona.

Owo uczucie całkowitej beznadziejności jest najwyraźniej zaakcentowane w rozmowach z ludźmi. Wielokrotnie powtarzają się takie zwroty: „Przeżyliśmy tylko przez pomyłkę” (Adam Karpiński), „Znikniemy, staniemy się częścią Rosji, lub też częścią niczego. Tutaj nie mamy wolności wyboru” (Hrabina Wahorska), czy też „Zawsze oczekujemy czegoś, czego historia nam nie da” (Mirek). A jednak polski czytelnik, choć może mu schlebić dokładność szczegółów i żywe zainteresowania autora jego krajem, ma wątpliwości czy to jest rzeczywiście wszystko. Powieść nie powinna być nigdy uważana za historyczny dokument i autor nie powinien czuć się zobowiązany do bezstronności. Jednakże powieść ta nie koncentruje się na „akcji”, nie ma w niej bohatera, główna postać opisana jest z taką samą ilością szczegółów jak wszystkie inne postacie. W istocie jest to książka o życiu w Polsce i o konfliktach wyłaniających się z chwilą, gdy osoba z Zachodu spotyka Polaków, a ten temat pro-

*) Frank Tuohy: *The Ice Saints*, Macmillan 1964.

wokuje zainteresowanych czytelników do emocjonalnego zaangażowania się w tę sprawę. Polski czytelnik może dojść do wniosku, że pewne rzeczy, które wysoko ceni, zostały pominięte, takie na przykład jak poczucie humoru, duma narodowa, czy nawet ładne kobiety. Według autora poczucie humoru u Polaków właściwie nie istnieje i zazwyczaj przejawia się w gorzkim śmiechu przy opisywaniu nieszczęść czy śmierci najbliższych. Nie ma naprawdę ładnych kobiet w tej powieści, tylko Rose potrafi za-fascynować otaczających ją mężczyzn „pachnąc tak egzotycznie jak Zachodni świat”.

Jednak uczucie lekkiej urazy nie powinno odwrócić uwagi czytelnika od faktu, że jest to godne uwagi studium związków i konfliktów rodzących się z chwilą, gdy wolni spotykają mniej wolnych. Autor wydaje się być świadom pewnego wzajemnego braku zrozumienia, którego sami Polacy mu nie ułatwiają, gdyż, aby zacytować Rose: „jeśli nie cierpiełaś jesteś dla nich (Polaków — przyp. mój) mniej rzeczywisty i nie potrafisz się tobą długo zajmować”. A kiedy Rose opuszcza Polskę widzi za sobą „cały kraj czekający na wyjaśnienie”.

Powieść Frank Tuohy nie pozostawi obojętnymi ani polskich ani brytyjskich czytelników, zapelniając miejsce, które zbyt długo było puste w naszej literaturze — niezaangażowany politycznie obraz komunistycznej Polski lat sześćdziesiątych.

M. CZAJKOWSKA

KOMUNIKAT

Na Konkurs im. Zygmunta Nowakowskiego, rozpisany przez Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w Londynie na sztukę dla dzieci i młodzieży, wpłynęło w terminie, to znaczy do dnia 15 października 1964, 15 prac, z tego 12 z Wielkiej Brytanii, 1 z Argentyny, 1 z Belgii i 1 z Kanady.

Członkowie Jury przystąpili do czytania prac. Orzeczenie Jury ogłoszone zostanie we właściwym czasie.

Nadesłane nowości wydawnicze

WASIUTYŃSKI (Wojciech). *Millennium. Tysiąclecie Polski Chrześcijańskiej* 966-1966. Okładka Feliksa Matyjaszkiewicza. Str. 32. — (Wyd. Komitet Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej Londyn, 1964).

ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma Teologiczna*. Tom 25. *Bóg-Człowiek Syn Maryi* (3, qu. 16-37).

Przeł. i objaśnieniami zaopatrzył X. St. Piotrowicz. Str. 373 i 1 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, lipiec 1964).

HERBERT (Zbigniew). *Gedichte*. Przełożył i zaopatrzył postłowiem Karl Dedecius. Str. 112 i 6 nlb. (Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt 1964).

Zenon Kliszko i list "34"

Po powrocie z Polski, gdzie bawiłem prawie miesiąc, przeczytałem z zainteresowaniem artykuł Gastona de Cerezay pt. „Polska Gomułki i list 34”, drukowany w 10-tym numerze „Kultury” i — mając jeszcze świeżo w pamięci rozmowy z ludźmi ze sfer tzw. literackich w Warszawie — chciałbym dodać kilka uzupełnień.

Przede wszystkim wydaje mi się, że autor pominął najbardziej istotny moment przemówienia Marii Dąbrowskiej w dniu 12 czerwca rb., gdyż nie wspomina ani słowem o tym, że znakomita pisarka polemizowała ze stanowiskiem władz partyjnych, reprezentowanych przez Zenona Kliszkę na Zjeździe Pisarzy Ziemi Zachodnich w Poznaniu, i zarzuciła mu... kłamstwo. Na tym Zjeździe Kliszko wraz z grupką wiernych reżymowi pisarzy próbował realizować plan odcięcia „buntowników” od środowiska literackiego. Plan polegał na apelu do podpisania protestu, skierowanego przeciwko Free Europe i rewizjonistom zachodnio-niemieckim. Nikt z pisarzy obecnych na Zjeździe w Poznaniu nie śmiał odmówić. Nie wykluczone, że część nie zdawała sobie sprawy z tego o co chodzi. Kliszko, który reprezentował przeciw najwyższe czynniki partyjne, przemawiał bardzo sugestywnie tłumacząc, że znany memoriał 34-ch był inspirowany przez kilku „podżegaczy”, którym bynajmniej nie chodziło o dobro polskiej kultury, ale o zgoda odmienne cele i że podtekstu całej sprawy należy szukać w działalności Free Europe i ośrodków propagandy zachodniej. Na te właśnie słowa zareagowała Maria Dąbrowska zarzucając Kliszce kłamstwo. „Nie wolno oskarżać gołostownie, nie podając konkretnych faktów, nie wolno kłamać wprowadzając w błąd opinię publiczną. Jeżeli władze twierdzą, że X czy Y zawinił, niech podadzą nazwiska i niech wyciągną w stosunku do nich odpowiednie konsekwencje” — tak można by streścić ten fragment wystąpienia Marii Dąbrowskiej.

Opinia wielkiej pisarki stała się problemem dla Centralnego Komitetu tym bardziej, że środowiska artystycznego nie udało się nakłonić do posłuszeństwa. Po wielu różnych akcjach i zastosowaniu nawet takich metod jak np. rewizja w domu Jerzego Pomianowskiego i aresztowanie płk. Januarego Grzędzińskiego, udało się zebrać około 600 podpisów przeciwko Free Europe. Nie jest to cyfra imponująca jeśli się zważy, że prawie 400 pisarzy, a w tym wielu wybitnych i sporo partyjnych, zdecydowanie podpisu odmówiło. Partia znalazła się w głupiej sytuacji. Przez niezręczne rozegranie sprawy protestu „34” ujawniło się, że niezadowolenie z cenzury i polityki kulturalnej jest powszechne, i, mimo represji policyjnych i prób zastraszenia, prawie połowa członków Związku Literatów odważyła się powiedzieć „nie”. Partia była skompromitowana, środowiska artystyczne wrzały, w kawiarniach opowiadano wciąż nowe dowcipy i plotki. W Komitecie Centralnym zastanawiano się długo, może

nawet za długo, ale wreszcie zdecydowano zareagować na wystąpienie Marii Dąbrowskiej.

Pod koniec września rb. wszyscy członkowie oddziału warszawskiego Związku Literatów otrzymali zaproszenie na dzień 5 października, na otwarte zebranie podstawowej organizacji partyjnej PZPR w Związku Literatów, poświęcone wystąpieniu członka biura politycznego i sekretarza KC PZPR, Zenona Kliszki, w związku z przemówieniem Marii Dąbrowskiej. Nigdy jeszcze żadne zebranie w pałacyku przy Krakowskim Przedmieściu nie cieszyło się taką frekwencją. Na sali zabrakło miejsc nie tylko siedzących, ale nawet stojących, tak że trzeba było otworzyć drzwi na przepełniony korytarz.

Już po pierwszych słowach Kliszko zorientował się, że nastrój sali jest wyraźnie nieprzychylny. Kliszko był zdenerwowany i mówił cicho, na co sala zareagowała okrzykami: „Głośniej!” — „Nie tak się mów!””. Kliszko nie wytrzymał i niegrzecznym tonem zwrócił się do sali: „Przemawiałem dwa tysiące razy i było dobrze, a tu jest źle!” Sytuację rozładowała słynna Czajka, która powiedziała do Kliszki: „Synku, mów głośniej i do mikrofonu”. Sala wybuchnęła śmiechem z czego skorzystał Putrament grząc z za stołu przydialnego: „Proszę o spokój! Towarzysz Kliszko zawsze z początku mówi cicho, a potem coraz głośniej”.

A oto streszczenie przemówienia Kliszki według relacji powtarzanych nazajutrz w warszawskich kawiarniach:

Zdaniem Kliszki, Maria Dąbrowska nie знаła całej prawdy, związanej z memoriałem „34”, została rozmyślnie wprowadzona w błąd przez kilku ludzi złej woli i niesłusznie oskarżyła partię. A przecież partia nie działa bezpodstawnie i jeśli stwierdziła, że dwóch czy trzech organizatorów memoriału zrobiło to wyłącznie w celu demonstracji politycznej, musiała mieć do tego podstawy. Partia długo wahała się czy podać do publicznej wiadomości nazwiska „winnych” i dopiero po dokładnym przestudiowaniu wypowiedzi Dąbrowskiej zdecydowała się to uczynić. Zanim jednak zostały podane nazwiska Kliszko raz jeszcze przytoczył swoje argumenty:

a) list składał się tylko z dwóch zdań, co byłoby jego zaletą gdyby zostało wyraźnie powiedziane, że chodzi o rozmowę z premierem, ale takiej wzmianki w liście nie było;

b) list nie zawierał prośby o odpowiedź, ani nie podawał terminu w jakim powinien być rozpatrzone.

Następnie Kliszko sprezyzował zarzuty pod adresem Antoniego Słonimskiego, oskarżonego o zorganizowanie całej sprawy. Słonimski zostawił list w kancelarii Rady Państwa nie starając się zobaczyć z premierem i dał tekst listu krytykowi literackiemu, J.J. Lipskiemu. Machinacje Słonimskiego były, zdaniem Kliszki, aż nadto przejrzyste, gdyż Lipski, który pomagał przy zbieraniu podpisów, odbił tekst listu w 30-tu egzemplarzach i rozesłał sygnatariuszom, a w kilka dni później władze bezpieczeństwa przechwyciły tajemniczą kopertę, zaadresowaną do paryskiej „Kultury”, z tekstem tego listu. Nie ustalono kto wysłał tę kopertę, ale dochodzenie wykazało, że tekst był odbity na maszynie Lipskiego. Następnie Lipski, działając widocznie w myśl otrzymanych instrukcji, dał tekst listu niejakiemu Nowakowi, bezrobotnemu absolwentowi Uniwersytetu Warszawskiego, który z kolei zapoznał z treścią listu niejakiego Stodolniaka, również bezrobotnego absolwenta Warszawskiego Uniwersytetu. Stodolniak wygadał się przed korespondentem Agence France Presse, a ten przetelefonował treść listu do swojej centrali w Paryżu. Telefon ten miał miejsce 23 marca. Dlatego więc na Zachodzie prasa zaczęła o tym pisać

dopiero po 25 marca? To jest oczywiste, czekała na sygnał od organizatorów demonstracji, którzy za odpowiednią chwilę uznali aresztowanie Lipskiego. W całej tej obrzydliwej sprawie niewątpliwie maczał palce jeszcze jeden z sygnatariuszów listu, a mianowicie obywatel amerykański, Melchior Wańkowicz. Nie wiadomo czy przekazał on komuś tekst listu, ale stwierdzono z całą pewnością, że inspirował Free Europe w jej atakach na Polskę w związku ze sprawą „34”, gdyż niektóre audycje na ten temat pokrywały się z przechwyconą korespondencją Melchiora Wańkowicza.

Następnie Kliszko rozprawił się z innymi zarzutami, zawartymi w przemówieniu Marii Dąbrowskiej.

Dlaczego prasa krajowa nie ogłosiła listu? — Sygnatariusze przecież o to nie prosili, a poza tym partia obawiała się rozłamu w środowisku literackim.

Dlaczego partia zwróciła się do pisarzy o podpisanie apelu przeciwko Free Europe. Przecież dotychczas nigdy tego nie robiła? — W tym wypadku szło o interes pisarzy, gdyż wróg w ich imieniu i na ich rachunek prowadził swoją robotę.

Na zakończenie Kliszko podkreślił że ceni wysoko twórczość Marii Dąbrowskiej, ale na pewno nie znała ona kulis całej sprawy i tym tylko można wytłumaczyć ustęp jej przemówienia, w którym usiłowała ośmieszyć 10-ciu profesorów, którzy wycofali swe podpisy i 600 kolegów, którzy podpisali kontr-protest.

Przemówienie Kliszki zostało przyjęte chłodno, a nawet wręcz wrogo. Atmosfera była napięta, toteż kiedy poprosił o głos Antoni Słonimski przez całą salę przeszedł życzliwy szmer, a potem zapanowała absolutna cisza. Słonimski był blady jak ściana, widać było że z trudem panuje nad sobą, ale zaczął mówić spokojnie z właściwą sobie polemiczną swadą.

„Trudno będzie dyskutować z panem Kliszko (wypowiedź Słonimskiego przytaczam na podstawie kompilacji z kilku rozmów z uczestnikami zebrania), w tej polemice jestem stroną słabą. Nie mam armii, milicji, ani urzędu bezpieczeństwa. Mam tylko swoje słowo, słowo pisarza, który prawie przez pół wieku pracował dla swojej ojczyzny. Pan Kliszko opowiadał tu o jakichś tajemniczych kopertach, sygnałach, inspiracjach. Ja wiem tylko o tym, co było rzeczywistością, a prawda jest jedna: list został napisany przez grupę pisarzy i uczonych, powodowanych troską obywatelską o przyszłość polskiej kultury. Free Europe to wykorzystwała bo wykorzystuje wszystkie błędy i potknięcia, tak jak np. wykorzystwała również aferę mięsną. I byłoby nonsensem twierdzić, że aferę mięsną zrobiono na użytek Free Europe. O liście „34” zaczęto mówić dopiero po pierwszych błędach, popełnionych przez władze, to jest po zaaresztowaniu Lipskiego, bo to dopiero był *temat*. Sam list „34”, gdyby został potraktowany przez premiera normalnie, nie wywołałby żadnej niezdrowej sensacji. Zarzuty, że chodziło nam o demonstrację są śmieszne, a argumenty przytoczone przez pana Kliszkę nie wytrzymują krytyki. List był krótki, to prawda, ale to nie jest żadnym dowodem, że nie chcieliśmy rozmawiać z premierem. Tak samo jak nie jest dowodem, że brak w liście wyraźnie sformułowanego zdania, że prosimy o odpowiedź. W całym cywilizowanym świecie wszyscy wiedzą, że listy pisze się po to, żeby na nie otrzymywać odpowiedzi. I to nie wymaga komentarzy. Zarzut, że ja mogłem zobaczyć się z premierem i wręczyć mu list osobiście jest również bezpodstawny, gdyż będąc jeszcze preze-

sem Związku Literatów zawsze miałem olbrzymie trudności w dostaniu się do niego. Teraz tym bardziej nie mogłem na to liczyć. Premier mógł nas zresztą wezwać zaraz po otrzymaniu listu i wtedy w ogóle nie byłoby sprawy „34”. Zarzut, że ja byłem głównym inspiratorem, bo dałem tekst Lipskiemu, jest niepoważny. Przecież Lipski pomagał zbierać podpisy i trudno, żeby to robił bez tekstu. Zresztą tekst nie był tajemnicą i nawet prokurator nie dopatrzył się w jego rozpowszechnianiu żadnego przestępstwa, gdyż Lipski został bardzo szybko zwolniony.

Ja przez cały czas skandalu zachowywałem się bardzo lojalnie, czego dowodem jest chociażby moja rozmowa telefoniczna z Londynem, o której na pewno wiecie, bo przecież macie ten swój podsłuch (Słonimski pochyła się w kierunku Kliszki, a sala wybucha śmiechem). Prosiłem wtedy przyjaciół — angielskich profesorów, żeby dali spokój protestom, bo to jest niepotrzebne. A w ogóle w argumentach używanych przez czynniki oficjalne przeciwko mnie brak logiki i jasności. Raz mówicie, że jestem demoniczny, drugi raz, że sklerotyczny. Trzeba się na coś zdecydować, bo jeżeli demoniczny to nie sklerotyczny i vice versa. Demonicznym nazwano mnie już bardzo dawno, wymyślił to już Grabski. To on właśnie powiedział, że demoniczny Słonimski pcha Skamandra w objęcia komunistów.

Odpowiedziałem na wszystkie zarzuty wysunięte przez pana Kliszkę, ale chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na meritum sprawy. Kto tu naprawdę zawinił? Nie można chować głowy w piasek i udawać, że się tego nie widzi. Nie byłoby całej sprawy „34” i listu, gdyby nie było powodów do napisania tego listu. A powodem tym była fatalna sytuacja polskiej kultury. Zdobywcze Października zostały zaprzepaszczone, cenzura zakneblowała ludziom usta, z łamów pism literackich zniknęły najwybitniejsze nazwiska, książki wychodzą w nakładach niezaspakających potrzeby czytelników. Za to wszystko jesteście odpowiedzialni wy (zwrot w kierunku Kliszki) i nie pomoże wyszukiwanie kozłów ofiarnych”.

Po wystąpieniu Słonimskiego sala zgótowała mu gorącą owację, nawet większość pisarzy partyjnych długo oklaskiwała znakomitego poetę. Reakcja sali była najlepszym dowodem, że owe sławne 600 podpisów kontr-protestowiczów nie odzwierciadlają prawdziwych nastrojów wśród literatów.

Wynikało to zresztą również z innych wystąpień. Nie pamiętam nazwisk, ale podobno kilku dalszych mówców poparło Słonimskiego, ostro krytykując przemówienie Kliszki. Wystąpił także Jasienica, który ponadto stanął w obronie Wańkowicza mówiąc, że był on najbardziej ugodowo nastawionym sygnatariuszem listu i proponował nawet napisanie go w jeszcze łagodniejszej formie.

Wzburzone umysły próbował uspokoić Jarosław Iwaszkiewicz przyznając, że „partia też popełniła błędy” i nawołując do nierozdrapywania zaschłej już rany. Stary cynik patrząc na Słonimskiego mówił „pod salę”, że nikt przecież nie wierzy w jego winę.



Partia znów się skompromitowała. Trzeba było coś zaimprovizować. W sukurs przyszedł członek KC i pisarz zawsze wierny partii: Fiderkiewicz. Poprosił o głos i zaczął mówić o Wańkowiczu, że nie dobrego nie mogło wynikać z tego listu jeśli tacy ludzie jak on go podpisali. Jego przeszłość polityczna nie upoważniała go do takich wystąpień, gdyż był najgorszym reakcjonistą i był redaktorem „Słowa”, pisma finansowanego przez

obszarników. W tym momencie rozległy się na sali śmiechy i ktoś głośno zawołał: „Chyba macie na myśli Mackiewicza?” — „Ach tak, pomyliłem się, ale to nic nie szkodzi, bo Mackiewicz też podpisał ten list” — odpowiedział zmieszany Fiderkiewicz i zszedł z trybuny.

Musiął wreszcie zabrać głos sam Kliszko. Nie mógł ukryć zdenerwowania i mówił jeszcze gorzej niż przedtem. Powiedział, że Słonimski nie popełnił żadnego przestępstwa biorąc udział w organizowaniu listu, z punktu widzenia formalno-prawnego i że nie będą w stosunku do niego wyciągnięte żadne konsekwencje, ale cała sprawa ma brzydki aspekt moralny jeśli idzie o lojalnego obywatela PRL i tu Słonimski nie jest w porządku. „Ludzie, którzy występują przeciwko polityce kulturalnej partii, występują przeciwko partii i ustrojowi, a my ustroju będziemy bronić!”

— Po październiku był ten sam ustrój a polityka kulturalna była inna — krzyknął ze swego miejsca Słonimski.



Słonimski obronił się znakomicie więc władze musiały poszukać innego kozła ofiarnego by obronić tezę o wrogiej robocie „zaczynszczyków”. Władze bezpieczeństwa miały wtedy w ręku materiały z przechwyconej korespondencji Melchiora Wańkowicza. Wprawdzie konstytucja PRL gwarantuje tajemnicę korespondencji, ale od dawna się tego nie przestrzega i coraz częściej, oficjalnie, przyznaje się do jej kontrolowania. Pośpiesznie zmontowano proces. Sędziowie zostali wzięci z różnych wydziałów i — co się nigdy nie zdarza — oderwani od prowadzonych spraw. Proces odbywał się w najmniejszej salce, mogącej pomieścić tylko kilkadziesiąt osób. Rozesłano zaproszenia do ludzi najbardziej oddanych, dziennikarzy nie dopuszczono. Na sali, jako mąż zaufania Zarządu Głównego Zw. Literatów był Paweł Hertz, jako mąż zaufania Wańkowicza — Paweł Jasienica — obydwa sygnatariusze listu. Oskarżono Wańkowicza z art. 23 Małego Kodeksu Karnego z r. 1946: „Kto w okresie odbudowy Polski rozpowszechnia nieprawdziwe wiadomości, podlega karze więzienia nie mniej niż lat 3” (przytoczone z pamięci). obrońca Wańkowicza przedstawił sądowi egzemplarz „Trybuny Ludu” z przemówieniem Gomułki, w którym oświadcza, że okres odbudowy się już skończył, a więc sąd nie może stosować tego artykułu. Sąd wniosek obrony odrzucił motywując, że chociaż odbudowa rzeczywiście jest zakończona to jednak Mały Kodeks nadal obowiązuje. Wtedy obrona wysunęła inny argument: Wańkowicz nie rozpowszechniał żadnych nieprawdziwych wiadomości, gdyż to co pisał do córki mieszkającej w USA o sprawie „34” i polityce kulturalnej w Polsce jest prawdziwe i oparte na osobistych doświadczeniach. Cała rozprawa sądowa toczyła się podobno potem dokoła zagadnienia co jest szkodliwe a co nie i czy pisarz chciał rzeczywiście oskarżać Polskę Ludową i jej ustrój. Świadkowie obrony, pisarze partyjni, jak np. Czeszko, złożyli oświadczenie, że ich zdaniem Wańkowicz nie chciał szkodzić ustrojowi i że jego opinie były spowodowane „obywatelską troską o przyszłość państwa”. Mimo wszystko Wańkowicz został skazany, ale zastosowano amnestię i wypuszczono go do domu. Ta komedia nie podnosi prestiżu sądów PRL.

Jakkolwiek nikt nie wiedział kiedy Wańkowicz opuści salę sądową, przy wejściu do sądu zebrała się liczna publiczność i wszyscy sygnatariusze listu „34”. Zrobiła się mała manifestacja. W chwili gdy wręczano Wańkowiczowi kwiaty jeden z literatów, patrząc na to z rozczuleniem, powiedział: „Jak za najlepszych carskich czasów!”.

Listy do Redakcji

Londyn, dnia 16. 9. 64.

Drogi Panie Redaktorze !

Pozwoli Pan, że podziękuję Michałowi M. Borwiczowi za życzliwe uwagi o mojej gawędzie „Gaude Mater Polonia” i za cenne uzupełnienie obrazu zwięzłym szkicem środowiska lewicy akademickiej na U.J. w latach 1941-1937. Z tonu recenzji Borwicza śmiem wyprowadzić wniosek, że stara przyjaźń nie rdzewieje, bo chociaż lat temu 30 te same jątrzyły nas spory, przecież jednak nie unikaliśmy się wzajemnie, a autor „Miłości i rasy” na ofiarowanym mi egzemplarzu swojej powieści napisał : „Każdy miał zająca, przed którym uciekał i przeciwnika, którego lubił”. Pochlebiam sobie, że byłem zajęcem dla Borwicza.

Toteż kiedy po latach przypadkowo spotkaliśmy się w paryskiej „La Coupole”, z prawdziwą radością i dumą słuchałem niezwykłych przegód Borwicza i bliskich mu w czasie okupacji grup bojowych lewicy. Ale jak spór o Kusego i Sokoła, tak też widzę, i nasze akademickie spory ciągle nie skończone, i słusznie, bo przeciwieństwa i różnice poglądów to atmosfera, w jakiej myśl może wypracować prawdziwe wartości. Jakkolwiek więc było, trochę nam chyba obu tęskno do tamtych czasów.

Jasne, że za uzupełnienia jestem Borwiczowi wdzięczny, a z opiniami i ocenami nie mógłbym polemizować, szczególnie zaś rad bym uniknąć dyskusji politycznej, gdyż gawęda „Gaude Mater” tylko pobieżnie wkroczyła w tę dziedzinę i to tylko dlatego, aby dać pełny obraz życia i zainteresowań ówczesnej młodzieży. Nie będę się nawet spierał o „zwężoną perspektywę”. Cieszę się, że Borwicz toleruje prawo do niej u mnie, i chętnie, miarka za miarkę, puszczam mimo uszu jego nazbyt wypedałowaną relację o przewagach i popularności Akademickiego Związku Pacyfistów.

Nie będę się bronił również z powodu pobieżności lub pominięcia niektórych spraw i sylwetek. Moja wina: po prostu nie znałem wszystkich. Nigdy w życiu nie widziałem np. i nie słyszałem prof. St. Wędkiewicza, ale, jeżeli się bardzo nie mylę, to od roku akad. 1931/32 wykładał on już w Warszawie. Nawiasem: nie Roman Dybowski, lecz Dyboski, co mi przesadnie czujny korektor (czy czujna korektorka) „poprawiła”.

Jednakże w recenzji Borwicza znajduję dwojakiego rodzaju twierdzenia, którym koniecznie muszę przeciwstawić inne zdanie. Są to: a) relacje zdarzeń, które w pamięci recenzenta utkwiły zupełnie inaczej niż w mojej; b) niesprawiedliwie przypisywane mi poglądy, jakich nigdy nie podzielałem, na szczęście nieliczne.

Oto one :

1) Żem nie dał „wzmianki o postawie klerkizmu (Kazimierz Wyka, Wacław Kubacki, inni)”. Wyka, jeśli mnie pamięć nie myli i dobrze zapamiętałem jego słowa, uważał się w tamte lata za prorządowego liberała (piśsudczyka), Kubacki studia ukończył i bawił poza Krakowem, „inni” — nie wiem. A „klerkizm”? To chyba, mówiąc po prostu, to samo co indywidualizm. Więc niby skąd zaraz „prąd ideowy”? Umknął mi zupełnie z pamięci głos Wyki na zebraniu dyskusyjnym o prądach ideowych młodzieży. Urządzałem ten wieczór i ani rusz po latach nie mogę pojąć, w czym imieniu mógł być przemawiać Wyka.

2) Że w ZNMS odbywały się „wewnętrzne rozłamy” i „podkopy komunistów” — o tym się dowiedziałem z książki „Postępowe tradycje młodzieży akademickiej w Krakowie” trójki autorów: H. Dobrowolskiego, M. Franczicia i S. Konarskiego.

3) Nie będę zbijał zarzutu, że „Młodzież Wszechpolska” (narodowa) „dopiero w roku 1938” „demonstrowała przeciw polityce przyjaźni z hitleryzmem”. Była ona bowiem w tym szczęśliwym położeniu, że w całej historii polskiego ruchu narodowego nie zaistniała ani na moment dążność do polityki przyjaźni z Niemcami, bez względu na to, czy u władzy stał Hitler, centrowcy, czy nawet socjaliści. Diabeł w żółtym, brunatnym, czy czerwonym ornatie — zawsze diabeł.

4) Przymiotnik „narodowa” (młodzież) i rzeczownik: „narodowcy”. To, Panie Maksymilianie, doprawdy czysta konwencja. Gdy kto powie „postępowcy” lub „demokraci”, albo „ludowcy” czy „ruch robotniczy”, to także lekkie zaokrąglenie, *pars pro toto*. Tylko „Stronnictwo Narodowe” używało przymiotnika „narodowy” w nazwie, podczas gdy inni sami się nazywali już to Polską Partią Socjalistyczną, już to Stronnictwem Ludowym, czy Chrześcijańską Demokracją itd. W pewnym znaczeniu istotnie „młodzież ludowa, śląska Chadecja, ani organizacje prorządowe narodowymi już nie były”, gdyż ludowcy głosili hasła klasowe i łączyli się w chłopskie związki międzynarodowe, to samo chadeccy, no a piśsudczycy, jak wiadomo, wyznawali ideologię państwową: wspólnego domu dla wielu narodów w jednym państwie. Endecy mówili: „naród jest gospodarzem w swoim państwie”, obóz pomajowy: „państwo jest wspólną własnością wszystkich jego obywateli”. To duża różnica, wystarczająca, aby pojęciu „narodowy” przeciwstawić pojęcie „państwowy”, „socjalistyczny”, czy „ludowy”.

5) Rasizm. Sądzę, że ze zbyt lekkim sercem Borwicz wymazuje z życia społecznego słowo: nacjonalizm. Rasizm niemiecki (i każdy inny) oparty na religii antropologicznej albo skórnej, zwalczali w Polsce równie namiętnie co lewica — narodowcy. Najlepszą książkę na ten temat napisał endek, prof. Karol Stojanowski: „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie”, a Adam Doboszyński rozwijał ideę „Wielkiego narodu” — narodu wielorasowego i wieloetnicznego, jakim w rzeczywistości był naród polski.

Jeżeli pisarze, publicyści i krytycy obozu narodowego dyskutowali przed wojną problematykę „narodowej literatury”, to — niechże Bóg uchowa — nie „z pozycji” rasizmu, lecz w przeświadczeniu, że w sztuce da się wysledzić pierwiastki i style narodowe, etniczne. Takie rozważania prowadzono w całym świecie (St. Feuillet, Fumet, Barker, Douglas, McMurir itd.), i nikomu do głowy nie przychodziło podnoszenie zaraz gwałtu o rasizm.

W istocie też nikt z literatury polskiej nie „eksmitował Feldmanów, Leśmianów, Tuwimów, Wittlinów *et tutti quanti*”, lecz usiłowano zbadać, czy i jakie pierwiastki narodowe wnoszą do polskiej literatury pisarze pochodzenia żydowskiego. Nikogo nie dziwi i nie obraża, gdy mowa o „szkole ruskiej” w piśmiennictwie polskim, o „Litwinach”, o „pierwiastkach ormiańskich” czy tatarskich w sztuce, o „niemieckiej szkole budownictwa polskiego”

etc. Dlaczegoż by zaraz rasizmem miało być ustalenie pierwiastków żydowskich w twórczości polskiej, jakże zresztą często podkreślanych przez samych pisarzy tego pochodzenia (por. świetną książkę Hertza o „Żydach w kulturze polskiej”) ? Polska kultura zawdzięcza sporo Żydom (i na odwrót), nie wyrzekajmy się zatem tego dziedzictwa tylko dlatego, że mówienie o nim może się komuś wydawać... rasizmem. Oczywiście, jeżeli literatura i sztuka nie dostarczają pretekstu do obraźliwej demagogii, co — nie przeczę — zdarzało się nieraz w prasie endeckiej.

Endecy — przyzna to Borwicz — książek autorów pochodzenia żydowskiego nie palili, historii literatury uczyli się z podręcznika Feldmana, historii politycznej XIX wieku ze świetnych monografii Askenazego, słuchali wykładów historii młodszego Feldmana w Krakowie, a czasopisma narodowe nie dyskryminowały autorów „rasowo”. Sam pisałem do „Warszawskiego Dziennika Narodowego” (czołowego organu S. N.) entuzjastyczne recenzje „Sklepów cynamonowych” i „Poezji” Puszkina w przekładzie Tuwima. Jedyne, co mnie w tym pięknym dziele uraziło, to był przerwinyk wydawcy Przeworskiego, nadzwyczaj podobny do sowieckiej gwiazdy, pod wolnościowym wierszem Puszkina. Tuwima moje wypomnienie tego znaku tak rozeźliło, że nie tylko natychmiast zareagował ostro w „Wiadomościach Literackich”, jako na czeplanie się pozorów, ale już po wojnie nie omieszczał pochwalić się tym starciem z „faszystą” w „Przekroju”. Myślę zresztą, że ten przerwinyk Przeworskiego był jedyną legitymacją „rewolucyjnej” przeszłości Tuwima. I stąd zapewne ta pamiętliwość.

Z zarzutem „rasizmu”, którego nie przyjmuję, łączy Borwicz nie całkiem jasny dla mnie wywód o Piwowarze. Wydarzenie i symbolikę wieczoru o „literaturze narodowej” opisałem tak jak je zapamiętałem i rozumiałem, i dalej twierdzę, że Piwowar zginął w lesie katyńskim za to i tylko za to, że był Polakiem, a nie za to, że był komunistą.

6) Myli pamięć Borwicza, gdy pisze, że po obrzuceniu Leona Kruczkowskiego jajkami (jeden rzut, zdaje się, jednak był celny) „młodzież endecką szybkoitko i sprawnie z sali wyrzucono”, a zebranie dyskusyjne o Sienkiewiczu potoczyła się dalej. Młodzież endecką w ciągu lat 1931-37 raz tylko „zmieciono” z sali: przy pomocy zmobilizowanych *ad hoc* robotników na oczyszczenie prof. Szymanowskiego. Poza tym nigdy takiego wypadku nie było. Wieczór Sienkiewiczowski nie potoczył się też wcale dalej. Zerwał go formalnie przewodniczący prof. Chrzanowski potępiając zajście i opuszczając salę. Odprowadzałem potem Profesora do domu i pamiętam, że przez całą drogę mi wymawiał: „panie, po co były te jaja?” Starałem się przekonać Profesora, że czasem i jajka mogą być argumentem kulturalnym itd. U progu Domu Profesorów wyciągnął do mnie rękę i rzekł: „Przekonał mnie pan. Ale po co były te jaja?”

(Zdaje mi się, że zebranie Sienkiewiczowskie odbyło się potem już bez Chrzanowskiego, poza uniwersytetem).

7) Patronat Peipera i Jalu Kurka nad „Litartem” był, oczywiście, moralny, gdyż koło to stanowiło bastion krakowskiej awangardy, której założycielami byli obaj wspomniani poeci. Kurek nawet był założycielem „Helionu”, którego kontynuacją był „Litart”. Nie ja to wymyśliłem, ale pisze o tym sam Kurek w książce „Mój Kraków”, pisał też parokrotnie Brzękowski i inni.

8) Informacje o patronacie Ignacego Fika i o składzie komitetu redakcyjnego „Naszego Wyrazu” zaczerpnąłem z wywiadu literackiego redaktora „Tygodnika Powszechnego” z Kornelem Filipowiczem (rocznik „T.P.” bieżący, 1964).

9) Hitlerowską Luftwaffe, zaprawiającą się do ataku na Polskę, nie zachwycali się narodowcy nigdy, tym więcej, że już w czasie hiszpańskiej

wojny domowej gwałciła ona granice Polski, a za alarmujące doniesienia o tym pisma endeckie były konfiskowane. Gdym na zebraniu w sali Morskiego Oka w Zakopanem mówił o tym, przedstawiciel starostwa nowotarskiego upomniął mnie, że sięję pogłoski defetystyczne.

10) Towarzystwo Krzewienia Świadomego Macierzyństwa, którego skład personalny znakomicie utkwiał Borwiczowi w pamięci, było *de facto* placówką czy przybudówką socjalistyczną. Mieściło się m.in. w lokalu, gdzie kiedyś pracowała redakcja „Naprzodu”. Połączenie z młodzieżą akademicką miało to, że jednym z leaderów tej instytucji był Józef Cyrankiewicz, a nie dałbym głowy, że Maksymilian Boruchowicz nie miewał tam pogadanek.

11) Za najpoważniejszy i uwłaczający mi uważam zarzut zatajenia śmierci medyka Goldmana. „O tym trupie, w relacji, ani słowa, *oczywiście* ani słowa: zakłóciłaby sielankę” — pisze Borwicz. O śmierci Goldmana słyszę po raz pierwszy. Ponieważ Borwicz wie dokładnie, w jakich okolicznościach Goldman uderzył w twarz kolegę medyka, byłbym mu wdzięczny, gdyby konkretniej napisał, w jakich okolicznościach i kiedy zmarł.



Uważa Borwicz, że w opisie zajęć przeciwyżydowskich na U.J. wyczuwa u mnie „zażenowanie”. Nie przeczę. Z pewnością były to gwałty, a każdy gwałt jest sprzeczny z prawem i moralnością. Nie potrafiłbym znać usprawiedliwienia dla tych gwałtów.

Chodziło mi wszakże o to, aby sprowadzić te zajścia do właściwych proporcji i oczyścić z „pogromowej” osławy.

Może też przeżyli jacyś studenci U.J. Żydzi, którzy mogliby zaświadczyć, że występowałem, gdy się zdarzyło, w ich obronie. Kolega Maks Borwicz powinienby przyznać chociaż to, że na polonistyce (gdzie od endeków było gesto) studentów Żydów w latach 1931-37 nigdy z sal nie usuwano, nie bito i nie lżono. Czy zgoda?

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Jan BIELATOWICZ



Paryż, listopad 1964

Drogi Panie Redaktorze,

Gawęda Jana Bielatowicza o U.J. jest świetna. To zaś, że pewne sprawy czy szczegóły widzieliśmy inaczej?

W dodatkowym wyjaśnieniu o dyskusji na temat Sienkiewicza, autor gawędy przynosi nam przemiłą anegdotę o prof. Chrzanowskim. Czytając ją, wydaje mi się, że widzę i słyszę „Chrzanę”, rozdartego między jego miłością i entuzjazmem dla Sienkiewicza i jego rycerską odrazą do tych jaj. Tyle że: wyszedłszy za prof. Chrzanowskim (który wcale nie był jednak przewodniczącym tego zebrania, lecz jednym z trzech zaproszonych przez „Litart” prelegentów!), autor wydedukował, że i wieczór był już tym samym zerwany. W rzeczywistości tłumna publiczność została. Część „demonstrantów” z własnego popędu wybiegła z sali (jako że — jak kilka dni później tłumaczył mi jeden z nich, prywatnie i z humorem — przywiodła ich tam przecież tylko ta „hojra z jajami” a nie „gada-

nina o Sienkiewiczu", której on osobiście, jak na jego wymagania, miał za dużo, niegdyś już, w gimnazjum). Resztę (ależ tak: szybko i sprawnie!) wyrzucono. Trzeci referat i dyskusja potoczyły się bez żadnych przeszkód. (Tak się przy tym złożyło, że to... ja objąłem przewodnictwo). Czyli: zwykła, ludzka różnica i to nie w metaforycznym nawet — jak się okazuje — lecz w dosłownym tego wyrazu znaczeniu.

Albo: nie żadne tam nawet przekonania, lecz różne „imponderabilia” sprawiły, że do sprawy tzw. „Świadomego Macierzyństwa” organy P.P.S. odnosiły się z wyraźną niechęcią i przekąsem. (Utrwalił to dowcipnie wyborny felieton Boya-Żeleńskiego p.n. „Robotnik przez duże R i robotnik przez małe r”. W innych artykułach Boya można sobie przeczytać wyjątki z meandrow, jakie w tej samej materii pisywał redaktor krakowskiego „Naprzodu” — Emil Hoecker). Cyrankiewicz nie był nigdy nie tylko aż „leaderem”, ale choćby członkiem „Tow. Świad. Macierzyństwa”. Okolicznościowo wystąpił tam raz jeden jedyny (i to tylko na *zbiorowym* wieczorze, w formie sądu, gdzie on i ja „robiliśmy” adwokatów). Na domiar: przy powtórzeniu nawet tego (jedyne go w którym brał udział) wieczoru zabawnie „nawalił”. (Incydent do dowcipnej anegdoty, którą może i warto przytoczyć, ale innym już razem). Ja, nie będąc (sam nie wiem dlaczego) członkiem tej instytucji („której skład personalny znakomicie utkwiał mi w pamięci”) odczyty tam, z dziedziny literacko-obyczajowej, owszem, miewałem. Lecz: z niczyjego ramienia. Podobnie, jak z niczyjego ramienia chodziłem kiedy indziej pływać (wskutek czego ani Wisła, ani pływalnia w Parku Krakowskim nie stały się jeszcze ani *de jure* ani *de facto* młodzieży akademickiej lub socjalistów „placówką czy przybudówką”). Czy to zresztą takie ważne? Tyle, że to znowu rzecz optyki: autor gawędy mimo woli wziął — widać — za dobrą monetę wydaną w wielkim nakładzie przez prawicę i masowo przez nią kolportowaną ulotkę, która — na mnie wskazując — wymierzona była przeciw czołowej kandydatce do Rady Miejskiej z ramienia... „Sanacji”. (Więc jakże z tą „socjalistyczną przybudówką” można by zapytać, gdyby nie to, że owa „sanatorka” Bogu ducha była winna a ulotkę zawdzięczała jedynie niewybrednym „chwytom” prawicy). To prawda, że metody organizowania owych dezorientacji warto by kiedyś opisać, choćby tytułem anegdoty, ponieważ z odległości lat — były przeżabawne. Po co czynić to jednak akurat w związku z uroczą gawędą Bielatowicza o U.J.?

I dlaczegożby przy tej akurat okazji pieniaczyć się np. że (po głośnej książce J. Bendy o „Zdradzie klerków” i po jeszcze głośniejszych polemikach, jakie ona w różnych krajach wywołała) „klerkizm” zakładał i postulował określoną postawę w obliczu bieżących zjawisk, czyli że — nawet po prostu mówiąc — nie bardzo można go określać jako „to samo co indywidualizm” lub, że — w związku z „Naszym Wyrazem” — i w gawędzie Bielatowicza i w mojej o niej uwagach była mowa o domniemanym „patronacie” nie I. Fika, lecz Polewki, Kruczkowskiego i Zegadłowicza? To są przecież drobiazgi naprawdę bez znaczenia. Wymieniałem je nie tytułem żadnego zarzutu, lecz — przeciwnie! — jako „dopuszczalne w gawędzie licencje”.

Okoliczności śmierci medyka Goldmana? Nastąpiła ona (mimo kilkakrotnych interwencji policji, o czym również wspominałem) w czasie jednego z owych regularnie ponawianych „obleżeń”. Zarządzona przez władze sekcja zwłok stwierdziła zgon na udar serca. Instrukcje władz (motywowane wolą niedopuszczenia do „podniecenia umysłów”) zmusiły do zrezygnowania z konduktu żałobnego przez miasto: pogrzeb (w którym uczestniczyła również pewna ilość studentów nie-Żydów i na którym wygłoszo-

no okolicznościowe przemówienia) musiał się zamknąć w obrębie żydowskiego cmentarza. Wskutek tych samych instrukcji władz, nawet miejscowa prasa zamieszczała o tym co najwyżej kilkowerszowe notatki i to bez wzmiankowania okoliczności śmierci. Taka więc była chyba przyczyna, że przebieg tego wrzenia mógł nie dojść szerzej do wiadomości kół nieżydowskich. Stwierdzenie Bielatowicza, że o śmierci Goldmana nie wiedział (o czym ja znowuż wiedzieć nie mogłem) załatwia sprawę. Z największą też (niech mi wierzy!) gotowością prostuję w moim sformułowaniu to, co mogło w najmniejszej choćby mierze poddawać w wątpliwość jego dobrą wiarę.

Że na polonistyce studentów-Żydów (a raczej Żydówek, bo Żyd był tylko jeden) ani z ław nie usuwano, ani w żaden inny sposób nie szykanowano i nie dyskryminowano, przyznaję z przyjemnością. Że Bielatowicz mógł osobiście wystąpić w obronie napadniętych Żydów, chętnie wierzę, bez potrzeby uciekania się do zaświadczeń. To natomiast, że poniektórzy inni endecy-poloniści (nie żadni szarzy szeregowcy, lecz „rangowi”) i nie na terenie samej polonistyki co prawda, za to... W jakim jednak celu się tutaj o tym rozwodzić, skoro obaj jesteśmy doskonale zgodni, nie potrafiąc dla tych gwałtów znaleźć usprawiedliwienia?



Rację ma Bielatowicz mówiąc, że w dziedzinę polityczną gawęda jego wkracza jedynie pobieżnie, dla koniecznego dopełnienia obrazu. (Również ja to podkreśliłem i powtórzyłem). Więc już nie w związku z gawędą, lecz tylko i wyłącznie na marginesie obecnej wymiany i to — tym razem — w mojej własnej obronie:

Nie przyszło mi do głowy zaprzeczać, że endecja była nie tylko tradycyjnie antyniemiecka, ale (co sam dodaję), że występowała konsekwentnie przeciw samo-dobijaniu Traktatu Werśalskiego. Tym niemniej: uważając zachodzące w Niemczech przemiany za przybieranie różnych ornatów przez tego samego diabła, do ornatu brunatnego miała bez porównania więcej sympatii niż do wszystkich innych. Ten brunatny ornat był jej ze wszystkich najmiłszy. Nie byle gdzie, w jakimś prowincjonalnym „Orędowniku” czy „Haśle Podwawelskim”, lecz w centralnej „Myśli Narodowej”, i nie byle tam kto ale sam Zygmunt Wasilewski witał radośnie, z upojeniem, dojsście Hitlera do władzy i jego wyczyny, proklamując że: „Narody mają już dosyć tej wolności, tej równości i tego braterstwa”. Ta sama „Myśl Narodowa”, obok wyrazów radości (ba, ekstazy, wniebowzięcia!) z pogńębienia Żydów przez Hitlera i obok drwin z przeciwników hitleryzmu w ogóle, głosiła z nabożeństwem, że „*ruch, co wyniósł Hitlera, to próba ocalenia aryjskiego, północnego, europejskiego społeczeństwa przed siłami rozkładu*”, wskutek czego „*z tym dążeniem hitleryzmu łatwo Polakowi sympatyzować*”. Sztydząc — w tej samej „Myśli Narodowej” — z żydowskich „skarg” na hitleryzm, Jan Rembieliński zapewniał, że „*im uroczystszym tonem okrzyk ten (Żydzi) wznoszą (...), tym lepsza zabawa dla przypatrujących się widowisku temu narodów*”. „Szczerbiec” (organ endeckiej młodzieży akademickiej) głosił, że „*niemieckie zbrodnie i gwałty — to tylko brudna piana, płynąca na powierzchni prądu potężnego i czystego*”. W konkluzji, i onże „Szczerbiec” uroczyście zapewniał, że patrzy „*na główną treść tego, co się w Niemczech dzieje nie tylko, że bez potępienia i zgrozy, lecz — z zazdrością*”. Tak: z zazdrością. Podobnych cytatów można łatwo (niestety: zbyt łatwo!) przytoczyć liczne dziesiątki.

O zachwytach dla hitlerowskiej *Luftwaffe* mówiłem naturalnie jedy-

nie tytułem skrótu, w związku z „przemaalowaniem” nazwy ulicy Gołębiej na „Alkazar”. Rola Hiszpanii, służącej dla *Luftwaffe* za poligon oraz przygotowanie się tejże *Luftwaffe* do ataku na Polskę były (wówczas już!) szeroko w całej prasie demokratycznej omawiane i mocno podkreślane. Dzisiaj o takim właśnie zażębieniu faktów mowa we wszystkich dziełach poświęconych wojnie i przedwojniu. Nie sądzę zatem, by można owe powiązania traktować jako niesprawdzone pogłoski.

— „Dlaczegożby zaraz rasizmem miało być ustalanie pierwiastków żydowskich w twórczości polskiej?” Z tym „ustalaniem” to chyba jedna sprawa, a z tym rasizmem to zupełnie już inna. I czy to ja ją wymyśliłem? Tytuł-hasło sławetnego odczytu K.H. Rostworowskiego w tej sprawie (by do naszego Krakowa się ograniczyć), nie o „ustalenie” wołał, ale: „O sanację literatury polskiej”. To K.H. Rostworowski (oraz, przed nim i za nim, krytycy, mówcy i publicyści endeccy, a nie ja!) mówił o *rasie* i o *rasach*, proklamując ze swadą, że „w twórczości literackiej język jest najmniej ważną rzeczą”. I o „bastardyzmie literackim”, rezultacie faktu, że „przez bardzo porowatą ścianę, dzielącą naród polski od żydowskiego, przechodzą płynne elementy”. Z „użytkowo-pasjonalistyczną” do Tuwima apostrofą, aby „przestał pozwalać na to, by go zaliczano w poczet polskich twórców”.

Wierzę przy tym, że przytaczając tylko K.H. Rostworowskiego a (z szacunku dla pamięci K.H. Rostworowskiego twórcy) *tylko te* (z jego orędzia i wywodów) cytaty, jestem *très beau joueur*. Bo Rostworowski był jednak Rostworowskim, zaś czym od Rostworowskiego dalej w szerz i w dół... A było ich przecież tych endeckich (a potem i O.N.R.-owych) „sanatorów” polskiej literatury, tych Pieńkowskich i tych Rembielińskich, tych Nowaczyńskich (nie z „Wiad. Literackich”, lecz z „Gazety” naprzód „Warszawskiej”, potem „Narodowej”), o „nawróconych” za łaską Hitlera Skiwskich już nie mówiąc co niemiara. Po głośnym raporcie prof. Czekanowskiego (który, zmierzyszy w Polsce czaszki aryów i semitów stwierdził, że ogromna większość tych ostatnich posiadała, jak na złość, wymiary i proporcje najtypowiej... słowiańskie) Stanisław Piasecki, by „ratować co się dało”, prosto z dziury w moście proklamował nawet w „Po prostu” i po prostu teorię „*rasizmu psychicznego*”. Psychicznego, lecz nieodmiennie: *rasizmu*.

Spór o Kusego i Sokoła? To są dawne sprawy, które dzisiaj żadnego z nas dwóch nie dotyczą. „Pana-Tadeuszowego” Rejeta czy Asesora żaden z nas, na szczęście, nie przypomina. Więc jaki tam ten spór, Panie Janie, skoro obaj jesteśmy zgodni, że chociaż w prasie endeckiej tematy te nieraz dawały pretekst do obraźliwej demagogii, my obaj przyjmujemy zgodnie stanowisko wyrażone (między wielu innymi) przez A. Hertza? Moje uwagi były jedynie rodzajem głosu na marginesie lektury, która — *właśnie dlatego*, że udana i że bardzo mnie „wzięła” — na glossowanie nie zasługuje. Sporu w tej sprawie żadnego między nami nie ma.

Proszę, Panie Redaktorze, z słowami szczerego poważania, przyjąć serdeczny uścisk dłoni

Michał Maksymilian BORWICZ

Haan/Rhld, 6. IX. 1964

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z zaciekawieniem przeczytałem w ostatnim numerze Pańskiego poczytnego pisma polemikę p. Aleksandra Kawałkowskiego pod tytułem „O Pojednanie Polsko-Niemieckie”.

W mych różnych publikacjach i listach wielokrotnie dawałem wyraz temu, że widzę rozwiązanie problemu Odry i Nysy jedynie z punktu widzenia europejskiego. Mówiąc konkretnie: Nie może być mowy o ponownym wysiedleniu tam osiadłej ludności polskiej, jak również też o tym, by osiadła tam ludność polska została podporządkowana jakiejś warstwie panów niemieckich. Wyobrażam sobie, że ci Niemcy — którzy chcieliby wrócić na te ziemie, mieliby prawo do tego — i to jako równouprawnieni sąsiedzi. Wiem z drugiej strony, że nawet sprawa kondominium została swego czasu żywo przedyskutowana w Klubach Młodej Inteligencji w Polsce, jak również w „Klubie Krzywego Koła”, o czym donosił mi jeden z mych kolegów „październikowców”.

Nie zgadzam się także co do twierdzenia p. Kawałkowskiego o „ciągłości” nienawiści między Niemcami a Polakami. Wiemy o tym, że na odcinku kulturalnym panowały bardzo zażyłe stosunki. Wiadomo też, że więzy polityczne nie ograniczały się bynajmniej do „Wiosny Ludów”. Nie jestem też przekonany o tym, że za rozbiory ponoszą winę tylko rozbiorycy, lecz raczej uważam, iż winy szukać należy także u Polaków, mówiąc ściśle u rozkłóconej ówczesnej szlachty polskiej.

Pan Kawałkowski pisze dalej „...z polskiego punktu widzenia nie może być mowy o zjednoczeniu Niemiec, dopóki granica nad Odrą i Nysą nie będzie przez Niemców uznana”. Pan Kawałkowski, będąc sam dyplomata, wie chyba doskonale, że w polityce nie ma niestety „romantyzmu”. Aczkolwiek podzielał Jego troskę o ludność polską na terenach za Odrą i Nysą, chciałbym uprzejmie zapytać p. Kawałkowskiego, czy uważałby, że jakikolwiek rząd na świecie uznałby granicę innego państwa, którego rząd a) wypędził w warunkach nie bardzo humanitarnych jego obywateli, b) domaga się stale nie tylko podziału danego państwa, lecz jego poćwiartkowania, c) brata się z rządem separatystycznym tego państwa, który w dodatku jest najohydniejszym wydaniem dyktatury, d) chwali przez usta swych reprezentantów (Gomułka, Spychalski, Zawieyski i Wantuła) mur dzielący naród i nawet dekoruje celnych ludobójców przy murze swymi orderami (Spychalski), e) oraz 19-cie lat po wojnie nie bardzo obchodzi się z mniejszością narodową?

Proszę mi wierzyć, że sprawa zjednoczenia to dla narodu niemieckiego nie gołosłowne hasło, lecz jest to żywotny interes naszego narodu. Oczywiście, że jest prawem każdego Polaka nie życzyć sobie z tych czy innych powodów zjednoczenia Niemiec. Ale także prawem Niemców jest bronić żywotnych interesów swego narodu, do którego należy w pierwszym rzędzie zjednoczenie kraju. Jestem przekonany, że rząd NRF byłby gotów do niejednej koncesji na rzecz Polski, gdyby rząd PRL był skłonny do ustępstw w sprawie zjednoczenia.

Na pewno odrzeknie ktoś na moje argumenty: trzeba się pogodzić z tym stanem rzeczy — przegraliście bowiem wojnę, już nie mówiąc o zbrodniach hitlerowskich. Argument ten może być przekonujący dla starszego pokolenia niemieckiego, ale nie dla młodego pokolenia niemieckiego, które nie przyczyniło się ani do wojny, ani do tych zbrodni i bynajmniej nie poczuwa się do winy i tym samym nie ponosi odpowiedzialności za czyny poprzedniego pokolenia oraz uważa, że jest czas aby raz skończyć z tym rozdrobnieniem Niemiec i związanymi z tym stałymi roszczeniami pod adresem swego kraju z racji przegranej wojny. Właśnie owe pokolenie może i na pewno wstydzi się za czyny niektórych swych ojców, choć wie, że byli też tacy ze starszego pokolenia, którzy zapisali się chlubnie w tej najciemniejszej karcie historii Niemiec, mając tu na myśli bohaterów niemieckiego ruchu oporu. Jednak za winę ojców nie ma-

my zamiaru odpowiadać, bo to nie należy do praktyk żadnego sądownictwa na świecie.

Z przykrością stwierdziłem w ostatnim czasie w polskiej prasie nasilenie artykułów o treści wybitnie antyniemieckiej, przy czym korespondenci niektórych dzienników emigracyjnych prześcigają w tym nawet korespondentów warszawskich. Efektem tego jest w NRF nasilenie tendencji rapallowskich. Politycy FDP, na czele z wicekanclerzem Mendem, Dehlerem i Zoglmannem — już nie mówiąc o skrajnej prawicy, której przedstawicielem jest dr Frey z „Deutsche Nationalzeitung” — są coraz bardziej utwierdzeni w swych poglądach, że wobec nieustępliwego stanowiska Polski, trzeba się dogadać wprost ze Związkiem Radzieckim. Dali to dość jasno do zrozumienia w swych ostatnich przemówieniach przed wysiedleńcami panowie Mende i Zoglmann, a w telewizji bez osłonek panowie Dehler i Frey.

Wydaje mi się przeto, że byłoby wskazane, żeby „Europejczycy” polscy i niemieccy szukali łagodniejszych metod zmierzających do porozumienia polsko-niemieckiego, opartych na zrozumieniu obecnej konstelacji politycznej. Jako wzór służyć powinna im przyjaźń niemiecko-francuska, która jest dziełem dwóch wielkich Europejczyków: przyjaciela Polski, prezydenta de Gaulle'a i byłego kanclerza NRF, doktora Konrada Adenauera.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Joachim Georg GÖRLICH



Londyn, 12 listopada 1964

Drogi Panie Redaktorze,

Pozwoli Pan, że dopiero teraz z tak wielkim opóźnieniem pozwalam sobie na sprostowanie dwóch rzeczy w dwóch recenzjach, jakie pojawiły się na łamach znakomitego pisma Pana. Oto w recenzji napisanej przez Bohdana Brodzińskiego — o książce niemieckiego autora Krannhalsa o Powstaniu Warszawskim — czytam na wstępie tej ciekawej oceny, że Karol Zbyszewski postawił w swojej pracy o Niemcewiczu ogłoszonej przed wojną „odkrywczą tezę”, iż przyczyną upadku Polski był nasz ustrój i sami Polacy a nie wpływy i warunki zewnętrzne. Nie znam książki Karola Zbyszewskiego o Niemcewiczu, albowiem od r. 1935 przebywałem zagranicą, ale przypominam sobie, że taką „odkrywczą tezę” w naszej historiografii postawił grubo wcześniej Michał Bobrzyński w swoich głosnych dziejach Polski. Bobrzyński i tzw. szkoła krakowska podtrzymywali tę tezę wbrew optymistom, którzy głosili, że Polska była nie tylko krajem „normalnym” i w niczym nie zawiła swoich rozbiorów, ale że była krajem znacznie lepszym od wielu innych w Europie. Do tych optymistów, którzy patrzyli na dzieje Polski jako na pochod światłej i świetlanej myśli i inicjatywy, należał m.in. Antoni Chołoniewski, którego studium „Duch dziejów Polski” było niezmiernie popularne w czasie I-ej wojny. Można by powiedzieć, że spór między „pesymistami” i „optymistami” co do przyczyn upadku Polski trwa dalej. Ale przypisywanie Karolowi Zbyszewskiemu zaślęgi postawienia „odkrywczej tezy” ze strony Bohdana Brodzińskiego zdradza, jak się obawiam, nieznaną zasadniczych procesów „poznawczych” i rozwoju naszej nauki historycznej. Jest to szko-

da, albowiem recenzja Brodzińskiego z tomu Krannhalsa jest napisana wręcz świetnie.

Druga uwaga: w recenzji z „Gawędy” Jana Bielatowicza o Uniwersytecie Jagiellońskim napotkałem słuszne stwierdzenie, że nieobecność w książeczce Bielatowicza postaci takich profesorów jak Roman Dyboski i Stanisław Wędkiewicz jest dużym brakiem tej relacji. Nie znam „Gawędy” Bielatowicza, ale jeżeli pominął lub niedostatecznie uwzględnił te dwie znakomite osobistości, to zubożył obraz Jagiellońskiej wszechnicy w latach między wojnami. Stanisław Wędkiewicz był wielkim erudytą, Europejczykiem, redaktorem niezapomnianego „Przeglądu współczesnego”, wykładowcą wybornym — nie można sobie wyobrazić Uniwersytetu Jagiellońskiego bez tej dynamicznej postaci. A Roman Dyboski? To drugi przykład dynamiki, wszechstronności, studnia wiedzy jeżeli chodzi o rzeczy angielskie, któremu my, Jego uczniowie, tyle zawdzięczamy. Pominiecie Jego osoby w jakiegokolwiek relacji o życiu i działalności Uniwersytetu Jagiellońskiego jest oczywistą stratą dla pełni obrazu tej wszechnicy. Przy czym: nazwisko naszego największego anglisty brzmiało Dyboski a nie Dybowski, jak pisze recenzent książki Bielatowicza. Podobny błąd popełnił M. Chmielewicz na łamach londyńskich „Wiadomości” przy innej okazji. Nauczmy się nareszcie pisać nazwiska naszych uczonych poprawnie — i pamiętać o nich z okazji takiej, jak 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zapominanie o nich jest — *excuser le mot* — karygodną niedokładnością.

Zbigniew GRABOWSKI



Paryż, dnia 16. XI. 1964

Drogi Panie Redaktorze —

Byłbym Panu wdzięczny za łaskawe ogłoszenie na łamach „Kultury” następującego listu, którego publikacji odmówiła mi redakcja „Na Antenie”:

Paryż, 25. X. 1956

„Do Redaktora „Na Antenie”,
1, Englischer Garten,
Monachium

Z przykrością i ze zdziwieniem przeczytałem w numerze „Na Antenie” z 25 października anonimową notatkę zatytułowaną „Nieukochani Kmiotkowie”.

Pomijam przesadną chyba drażliwość Radia Wolna Europa wobec uwag Bogdana Czaykowskiego, o wiele bardziej umiarkownych w tonie od argumentów które w ciągu ostatnich choćby tygodni wymieniali zwolennicy Wilsona i Home’a w Anglii, Johnsona i Goldwatera w Ameryce. Trudno widać zastosować na własnym szczeblu zasady których obrona stanowi rację bytu emigracji. Pomijam również śmieszność określenia wybitnego i sławnego poety jako „p. Czesława Miłosza z Uniwersytetu Berkeley w Kalifornii”.

Prawdziwy niesmak odczułem dopiero widząc jak anonimowy autor notatki fałszywie interpretuje zdanie Czesława Miłosza i jak — niesłusznie zarzucając Miłoszowi „insynuacje” — sam stosuje metodę insynuacji w stosunku do Miłosza.

Czesław Miłosz pisze: „Oczywiście na krnąbrnych znajdzie się sposób i zastosowano wobec 34 chwyt klasyczny czyniąc ich odpowiedzialnymi za audycje radia Wolna Europa... Wcale nie myślę że w sprawie protestu ścierały się tylko dwa obozy, choć zarówno rządowi w Warszawie jak Wol-

nej Europie zależało na stworzeniu takiego wrażenia". Sens tego ustępu jest całkowicie jasny: sytuacja polityczna w Polsce nie sprowadza się do dwóch jednolitych obozów — partia komunistyczna z sowieckim zapleczem przeciw jednolitemu społeczeństwu o sympatiach pro-zachodnich, którego interesów broni Radio Wolna Europa. W opozycji są przecież i katolicy i socjaliści i ludowcy i rewizjoniści i niedobitki endeckie czy eks-sa-nacyjne — czy też inaczej: i chłopci i robotnicy i inteligenci i sklepi-karze i paskarze i nawet lumpenproletariat... W sposób charakterystyczny dla tego rodzaju polemiki, anonimowy autor notatki opuszcza pierwsze zacytować przeze mnie zdanie, w którym Miłosz wyraźnie stwierdza że rząd świadomie i nieuczciwie dążył do identyfikacji 34 z radiem Wolna Europa. Musi on zresztą to zdanie opuścić, skoro przypisuje Miłoszowi opinię wręcz przeciwną pisząc: „aluzja do włączania się Radia Wolnej Europy razem (podkreślenie w tekście) z pisarzami krajowymi przeciwko rządowi w Warszawie (ten „drugi obóz”) jest insynuacją”.

Przejdźmy teraz do insynuacji w stosunku do Czesława Miłosza. Miłosz pisze w „Kontynentach”: „...z tym radiem nigdy nie współpracowa-łem, z powodów pryncypialnych, ani mnie ono ziębi ani grzeje...” Anonimowy autor notatki przebiera się tu w Katona czy Księdza Skargę. „Tak jest — pisze on — tych stosunków nie było i nie ma. Do współpracowników, którzy użyczyli swego pióra Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa należy wiele najlepszych piór na emigracji: poeci, powieściopisarze, krytycy, filozofowie, essayiści. *Do współpracy tej nie zapraszaliśmy p. Czesława Miłosza* (podkreślenie w tekście). Dlaczego — to już całkiem inna historia, jakby powiedział Kopling”.

Nie bądźmy dziećmi i nie opowiadajmy sobie „takich sobie bajeczek”. Jeśli Radio Wolna Europa nie zaprosiło Miłosza do współpracy, to tylko z dwóch możliwych powodów:

1) Po zerwaniu z reżymem wypowiedzi Miłosza o emigracji i o Radziu Wolna Europa były tak krytyczne że nikt nie mógł liczyć na to aby przyjął on podobne zaproszenie. Byłby to powód całkiem rozsądny, ale bynajmniej nie tajemniczy.

2) W tym samym okresie rozpętano w pewnych czasopismach emigracyjnych obrzydliwą kampanię oszczerczą przeciw Miłoszowi, w której zarzucano mu ni mniej ni więcej jak agenturalną działalność na rzecz komunistycznego reżymu. Jest to jedna z bardziej wstydlivych kart historii emigracji. Jeśli owa kiplingowska „inna historia” jest aluzją do tej kampanii, to zła wiara autora anonimowej notatki przekracza wszelkie dopuszczalne granice.

Aby nikt nie myślał, że list mój jest podyktowany jakakolwiek animozją w stosunku do Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa, pragnę stwierdzić że nie tylko sam dotychczas często współpracowałem w jej audycjach, ale że mam o niej zdanie bardzo odmienne od Czaykowskiego czy Miłosza. W wielu kluczowych momentach (a pomijam tu nawet ogólnie znaną rolę Polskiej Sekcji w październiku 1956 i jej niezachwiane stanowisko w sprawie granic zachodnich) miałem sposobność przekonać się o całkowitej bezinteresowności jej kierowników i mam duży podziw dla samodzielności, którą umieli sobie wywalczyć siłą charakteru i oddaniem dla istotnych interesów społeczeństwa polskiego”.

Nie zmieniając opinii o działalności Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa z przykrością stwierdzam, że redakcja „Na Antenie” odmawiając ogłoszenia tego listu stosuje metody cenzury której istnienie jest jednym z głównych naszych zarzutów w stosunku do reżymu.

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni

K.A. JELEŃSKI

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pytanie: — Czy można zbudować socjalizm w Danii?

Odpowiedź: — Nie można. Za mały kraj na takie duże nieszczęście!

◆

Pytanie: — Jaka jest różnica pomiędzy Mieszkim I a Gomułką?

Odpowiedź: — Mieszko I ochrzcił Polskę, a Gomułka mleko!

◆

Pytanie: — Jaka jest różnica pomiędzy drogą do Morskiego Oka a drogą do socjalizmu?

Odpowiedź: — Nie ma żadnej różnicy. Obie drogi prowadzą przez Głodówkę (1).

◆

Pytanie: — Gdzie jest najwięcej chleba w Związku Radzieckim?

Odpowiedź: — W kotletach.

◆

Pytanie: — Jaka jest różnica pomiędzy domem publicznym a burdelem?

Odpowiedź: — Dom publiczny to zakład użyteczności publicznej, a burdel to system rządzenia państwem.

◆

Pytanie: — Co jest warunkiem przyjęcia do Związku Literatów?

Odpowiedź: — Wydanie jednej książki i dwóch kolegów...

◆

Pytanie: — Jaki jest szczyt niepodobieństwa?

Odpowiedź: — Przeszczepić Polakowi socjalizm z d... do serca.

(1) Miejscowość przy szosie wiodącej do Morskiego Oka w Zakopanym.

W WARSZAWIE MÓWIĄ...

...że w związku ze sprawą „34” i procesem Wańkowicza ma być zmienione godło państwowe: zamiast orła na amarantowym tle — orzeł na tle nerwowym.

...że podobno mają wkrótce zamknąć w kraju wszystkie tartaki — w poszukiwaniu ostatniej deski ratunku...

...że w ostatnich czasach w Warszawie stale odczuwa się brak wody, bo naród nabrał wody w usta.

..że podobno mają być zmienione słowa hymnu narodowego. Mianowicie na początku pierwszej strofki będzie dodane słowo: „dlaczego”.

...że w naszej rzeczywistości dominują trzy elementy: prostytutka, mścicielstwo i muzyka: zewsząd się bowiem słyszy: „Kurwa mać, coś tu nie gra...”



NOWE PRZYSŁOWIA POLSKIE

- 1) Kto śpi — ten nie kradnie.
- 2) Kto pod kim dołki kopie — ten awansuje.
- 3) Nie taki wilk straszny — jak się mu da łapówkę.
- 5) Na złodzieju — czapka karakułowa.



Pobożny Żyd musiał dla chleba zapisać się do partii i chodzić na szkolenie ideologiczne. Niektóre zagadnienia były jednak tak trudne, że poprosił rabina o pomoc i wyjaśnienie.

— Rebe, pomóż mi zrozumieć jaka jest różnica pomiędzy krytyką odgórną, a krytyką oddolną.

— To bardzo proste, mój synu. Na przykład, jeżeli ty stoisz na dole, a twój szef na I-szym piętrze i on na ciebie pluje — to to jest krytyka odgórną, ale jak ty z dołu będziesz pluł na twego szefa — to będzie krytyka oddolna.

— Rebe, co ty mówisz? Przecież wtedy wszystko z powrotem na mnie zleci...

— Oj, widzisz, już zaczynasz rozumieć...



Na targu spotyka się dwóch handlarzy sprzedających drewniane wieszaki.

— Nie rozumiem, kolego, — mówi pierwszy, — jak wam opłaca się sprzedawać wieszaki po złotówce, jeżeli ja, robiąc je z kradzionego drzewa, z trudem wychodzę na swoje przy cenie 2 złote za sztukę.

— Róbcie tak jak ja — odpowiada drugi. — Trzeba kraść gotowe wieszaki.

Przed okienkiem biura podróży „Orbis” w Warszawie grupa rozżalonych obywateli wyraża głośno swoje niezadowolenie z nowego cennika wycieczek zagranicznych.

— Skandal! Co to za porządki! Do Jugosławii na 4 tygodnie kosztuje 8 tysięcy złotych! A na Krym za 10 dni aż 20 tysięcy! To zdzierstwo!

— Ale w cenę wliczony jest już pogrzeb — usprawiedliwia się urzędnik „Orbisu”.



Nauczyciel kazał dzieciom napisać wypracowanie domowe na temat: „Partia, rząd i naród”. Władzio, syn robotnika fabryki samochodów osobowych, nie bardzo wiedząc jak wybrnąć z tego trudnego tematu prosi ojca o pomoc.

— To bardzo proste mój synku. Wyobraź sobie, że partia to mama, rząd to ja, a naród to ty — od razu będziesz wiedział jak napisać wypracowanie.

Chłopiec pomyślał, napisał, ale następnego dnia dostał w szkole dwóję. Matka rozgniewała się i za karę nie dała mu obiadu. Nie pomogła interwencja ojca, który czuł się współwinnym za zły stopień syna. Władzio wyszedł głodny na ulicę i ściągnął jabłko ze straganu. Sprzedawca to zauważył i wezwał milicjanta.

— Jak ci nie wstyd kraść? — pyta milicjant.

— To nie moja wina — odpowiedział Władzio — co ma robić naród jak przez partię i rząd chodzi głodny!



Na wsi na Podkarpaciu, odbywa się zebranie partyjne poświęcone rozpatrzeniu podania górala o przyjęcie go do partii.

— No więc, powiedzcie szczerze gazdo, dlaczego chcecie zapisać się do partii? — powtarza używaną w takich wypadkach formułkę sekretarz, miejscowy nauczyciel.

— Ano, jeśli trzeba, to ja wam powiem panoczku, jak na spowiedzi. Wszystko to przez tych letników-wczasowiczów. Wczoraj wracam do domu i co widzę: żona na łóżku z wczasowiczem, córka z wczasowiczem na sianie. To ja im mówię: „Poczekajta, baby, jak wy tak, to ja wam takiego wstydu narobię, że cała wieś będzie was wytykać palcami...”

Zebrała: *Zofia HERTZ*

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultury" za rok 1964

Spis autorów

ACHMATOWA Anna, ARŻAK Nikołaj. — BAGIŃSKI Kazimierz, BEDNARCZYKOWA Krystyna, BERLIŃCZYK, BIELATOWICZ Jan, BIENKOWSKA Danuta Irena, BORWICZ Michał M., BÓBR-TYLINGO Stanisław, BRODZIŃSKI Bohdan, BRONSKA-PAMPUCH Wanda, BRZEZIŃSKI Zbigniew, BRZEKOWSKI Jan, BULAS Kazimierz. — CEREZAY Gaston de, CHABROWSKI Wacław O., CHCIUK Andrzej, CHMIELOWIEC Michał, CIOŁKOSZ Adam, CYGAN Wincenty, CZAJKOWSKA Magdalena, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAWSKI Adam, CZERNIAWSKI E.J. — DANILEWICZOWA Maria, DAROWSKI Jan, DOBEK Czesław, DZIEWANOWSKI M.K. — FAY Victor, FRANKE Horst Werner, FRYDRYCH Bolesław. — GOMBROWICZ Witold, GÖRLICH Joachim Georg, GRABOWSKI Zbigniew, GRIESE Otto, GROBICKI Aleksander. — HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Zofia, HŁASKO Marek, HODŻA Wład, HOSTOWIEC Paweł, HUNTINGTON Samuel P. — IWANIUK Wacław, IWANSKA Alicja. — JASIŃSKI Zbigniew, JAXA Jan A., JEDLIŃSKI Witold, JELEŃSKI Konstanty Aleksander, JĘDRZEJEWICZOWA Cezaria, J.K., JONES Jack, JORDAN Zbigniew A., j.w. — KAMIŃSKI-DUROCHER Bronisław, KAWAŁKOWSKI Aleksander, KIPPER Anna, KLEPACZKO Józef, KOMARNICKI Tytus, KOMITET KOORDYNACYJNY POLAKÓW-OBYWATELI BRYTYJSKICH, KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław, KOZŁOWSKI S. W., KRANNHALS Hanns von, KROK-PASZKOWSKI Jan, KRYGIER Ryszard, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUKIEL Marian, KUSS Witold. — L., LENGYEL József, LESZCZA Jan, LEWICKYJ Borys, LIBICKI Konrad, LIPSKI Leo, LISIEWICZ Mieczysław, LIST Z KRAJU, LONDYŃCZYK. — ŁASZEWSKI Bolesław T., ŁOBODOWSKI Józef. — MANTEL Feliks, MARKIEWICZ Zygmunt, M.Cz., MICHNIEWICZ Władysław, MIECZ-

KOWSKI Bogdan, MIEDZIŃSKI Bogusław, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, m.k., (m.l.d.), MŁYNARSKI Feliks, MOCHLIŃSKA K., MOHORTYŃSKI Piotr, MOND Jerzy, MORAWSKI Maciej. — NADOLCZAK Marek B., NAGÓRSKI Zygmunt, sr., NASIELSKI Adam, NIEMOJOWSKI Jerzy, NOCH Henryk, NOWAK-PRZYGODZKA Zofia, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OKULICZ Kazimierz, ORŁOWSKI A.S., OSADCZUK Bohdan. — PAWLIKOWSKI Michał K., PIEKUT Stanisław, POBÓG-MALINOWSKA Maria, PODOSKI Edward, POGONOWSKI Iwo C., POMIAN Bolesław, PRESCOTT Joseph. — REDAKCJA, RETMAN Roman, RUDZIŃSKI Aleksander Witold, RYSER Witold A. — SIEMASZKO Zbigniew S., SILONE Ignazio, SOŁOWIJ Tadeusz, STOSIUS Jerzy, STRASZYŃSKI Zdzisław, SWINARSKI Artur Marya, SYMONOLEWICZ-SYMMONS Konstanty, SZCZEPKA Alina, SZPIKOWSKI Zbigniew. — ŚWIĘCICKI Tadeusz. — TAKUBAR Adam, TERLECKI Tymon, TURKIEWICZ Zygmunt. — ULATOWSKI Jan. — VINCENZ Andrzej. WAJDA R., WAT LEWSKI Jan, WANDYCZ Damian S., WANDYCZ Piotr, WAT Aleksander, WEINTRAUB Wiktor, WIERZYŃSKI Kazimierz, WILCZYŃSKA Zofia, WITOS Wincenty, WRÓBLEWSKA Wanda, WSZELAKI Jan, W.W. — ZADEMBSKI Kamil, ZBYSZEWSKI W. A., ZIMMER Szczepan K., ZUBRZYCKI Jerzy. — ŻOCHOWSKI S., ŻUŁAWSKI Marek, ŻYROMSKI W.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

- BRZEZIŃSKI Zbigniew i HUNTINGTON Samuel P.: *Cincinnatus i aparaczik* (3/197, 4/198), przeł. Kazimierz Okulicz.
- CZAPSKA Maria: *Alleluja* (1/195-2/196).
- DANILEWICZOWA Maria (tłumacz) ob. Jones Jack. *Dwa dokumenty* (12/206), przeł. Paweł Zdziechowski.
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Demon naszych czasów* (1/195-2/196).
— *Gramsci i Togliatti* (10/204).
— (tłumacz) ob. Silone Ignazio.
- HUNTINGTON Samuel P. ob. Brzeziński Zbigniew i Huntington Samuel P.
- JONES Jack: *Nowa koncepcja ideologii pomarksistowskiej* (1) (12/206), przeł. Maria Danilewiczowa.
- JORDAN Zbigniew A.: *Trzydziesty piąty podpis pod protestem* 34 (7/201-8/202).
- LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/195-2/196, 3/197, 4/198, 5/199, 6/200, 7/201-8/202, 9/203, 10/204, 11/205, 12/206).
- ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. *Poezja przed sądem w Leningradzie*. (7/201-8/202).

MIEROSZEWSKI Juliusz: *Geoideologia* (12/206).

- *Model roku 19??* (10/204).
- *Polska — Niemcy — Ameryka* (4/198).
- *Polska — Rosja — Ameryka* (6/200).
- *Polska — Rosja — Chiny* (3/197).
- *Problem centralny XX wieku* (5/199).
- *Refleksje ćwierćwiecza* (9/203).
- *Strona bierna* (11/205).
- *Zmierzch WASPS* (7/201-8/202).
- *Źródła polskiej drugorzędności* (1/195-2/196).

MŁYNARSKI Feliks: *Szkice literacko-filozoficzne* (dok.) (1/195-2/196).

OKULICZ Kazimierz: *Między Niemcami a Rosją* (10/204).

— (tłumacz) ob. Brzeziński Zbigniew i Huntington Samuel P. *Poezja przed sądem w Leningradzie* (7/201-8/202), przeł. Józef Łobodowski.

REDAKCJA: „*Wyzwolenie*” (9/203).

SILONE Ignazio: „*Archiwum Rewolucji*” (6/200) przeł. Gustaw Herling-Grudziński.

TAKUBAR Adam: *Chińskie wędrówki* (4/198).

WANDYCZ Damian S.: *Rurociąg naftowy „Przyjaźń”* (7/201-8/202).

WSZELAKI Jan: *Problem cen w handlu polsko-sowieckim* (11/205).

ZBYSZEWSKI W.A.: *Impresje hiszpańskie* (7/201-8/202).

- *Kredyty Banku Świata* (10/204).
- *Niemiecki „Wirtschaftswunder”* (3/197).
- *Stagnacja Anglii* (1/195-2/196).
- *Wspólny Rynek: efemeryda czy punkt zwrotny?* (4/298).
- *Wspólny Rynek i Wschodnia Europa* (6/200).

ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. *Dwa dokumenty* (12/206).

ZUBRZYCKI Jerzy: *Rola inteligencji murzyńskiej* (7/201-8/202).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

GOMBROWICZ Witold: *Dziennik transatlantycki* (9/203, 10/204, 11/205).

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Suche oko* (6/200).

- *Wenecja ocalona* (3/197).

HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (3/197, 5/199, 6/200).

JELEŃSKI K.A.: *Na marginesie Antologii* (9/203).

ŁOBODOWSKI Józef: *O cyganach i katastrofistach* (7/201-8/202, 9/203, 10/204, 11/205, 12/206).

MIŁOSZ Czesław: *Dwustronne porachunki* (6/200).

- *Notatki* (11/205).
- *O polskiej poezji* (9/203).

TERLECKI Tymon: *Festiwal szekspirowski w Londynie* (7/201-8/202).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- ARŻAK Nikolaï: *Odkupienie* (4/198), przeł. Józef Łobodowski.
 BIELATOWICZ Jan: *Gaude Mater Polonia* (fragment) (5/199).
 BIENKOWSKA Danuta Irena: *Ten człowiek* (5/199).
 CYGAN Wincenty: *Bohaterzy i jajka* (1/195-2/196).
 CZERNIAWSKI Adam: *Dzień w życiu bywalca* (4/198).
 GROBICKI Aleksander: „*El Norte*” (1/195-2/196).
 HŁASKO Marek: *Wszyscy byli odwrócenii* (fragment) (1/195-2/196).
 IWAŃSKA Alicja: *Filozofowie* (5/199).
 KROK-PASZKOWSKI Jan: *Bobuś żywy* (9/203).
 LENGYEL Jozsef: *Mały gderliwy starszy pan* (11/205), przekład z węgierskiego.
 LIPSKI Leo: *Miasteczko* (6/200).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Arżak Nikolaï (4/198).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Egzorcyzmy* (12/206).
 POMIAN Bolesław: *Kontrpartner* (10/204).
 SZCZEPKA Alina: *Feliz Ano Nuevo* (7/201-8/202).
 WAT Aleksander: *Śmierć starego bolszewika* (1/195-2/196).

Utwory poetyckie

- ACHMATOWA Anna: *Requiem* (6/200), przeł. Józef Łobodowski.
 BEDNARCZYKOWA Krystyna: *Dłoń* (5/199).
 — *Słowa* (5/199).
 — *Taniec* (5/199).
 — *Wiek XX* (5/199).
 BIENKOWSKA Danuta Irena: *Etiuda Nr 1* (11/205).
 — *Etiuda Nr 2* (11/205).
 — *Etiuda Nr 3* (11/205).
 — *Gaudeamus igitur* (1/195-2/196).
 — *Jestem* (11/205).
 — *Kłęcząc na stopniach życia* (11/205).
 — *Monolog w przerwie między jednym a drugim toastem* (1/195-2/196).
 — *Papugi* (1/195-2/196).
 — *Ty, nie-ty* (11/205).
 — *Z czasem poprzez czas...* (11/205).
 CHABROWSKI Wacław O.: *Alumni* (1/195-2/196).
 — *Światowid* (1/195-2/196).
 — * (1/195-2/196).
 — ** (1/195-2/196).
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Kilka myśli* (1/195-2/196).
 DAROWSKI Jan: *Dwie wieże* (5/199).
 — *Lustro* (5/199).
 — *Sen tzw. wieczny* (5/199).

- IWANIUK Wacław: *Ciągle się boję, że przedwczesna noc* (7/201-8/202):
 — *Psalm na spotkanie z nocą* (7/201-8/202).
 — *Ptaki* (7/201-8/202).
 IWĄSKA Alicja: *Sacramento* (1/195-2/196).
 LESZCZA Jan: *Definicja* (4/198).
 — *Ghost-town revisited* (10/204).
 — *Noc* (10/204).
 — *Taczanka* (4/198).
 — *Wiersz o koniach drewnianych* (10/204).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Achmatowa Anna (6/200).
 MIŁOSZ Czesław: *Rzeki maleją* (3/197).
 — *Świeciło to miasto* (3/197).
 SWINARSKI Artur Marya: *Antykwarjat* (7/201-8/202).
 — *Budzący się niewolnik Michała Anioła* (7/201-8/202).
 — *Sennik* (7/201-8/202).
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Koncert* (3/197).
 — *Przebity światłem* (3/197).

Najnowsze Historia Polski

- BAGIŃSKI Kazimierz: *Aleksander Bogustawski* (4/198).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *1944-1964* (10/204).
 CIOŁKOSZ Adam: *Po prostu miłość* (12/206).
 CZAPSKI Józef: *Powstanie Warszawskie, homo quidam i von Krannhals* (10/204).
 JAXA Jan A.: *Oświadczenie* (1/195-2/196).
 MICHNIEWICZ Władysław: *Rehabilitacja płka Hańczy* (5/199).
 MIEDZIŃSKI Bogusław: *Ciężki rok* (9/203).
 NADOLCZAK Marek B.: *Jeszcze o pułkowniku Hańczy* (3/197).
 WALEWSKI Jan: *Omyłka Wincentego Witosa* (3/197).
 WITOS Wincenty: *Urywki z diariusza 1936-1939* (1/195-2/196).

Sprawy krajowe

- Broszura* (6/200).
 CERZAY Gaston de: *Polska Gomułki i list „34”* (10/204).
Dalsza lista oportunistów (7/201-8/202).
Dalsze echa memoriału „34” (9/203).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Memoriał Trzydziestu Czterech* (5/199).
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (1/195-2/196, 3/197, 5/199, 6/200, 10/204, 12/206).
 JELEŃSKI K.A.: *Konsekwencje protestu 34* (7/201-8/202).

— *Protest 34 w perspektywie międzynarodowej* (6/200).
 j.w.: *Korupcja* (7/201-8/202).
List od przyjaciół (7/201-8/202).
Obchody, pochody, zachody (4/198).
Pęknięcia i polski klej (3/197).
Przed IV Zjazdem (6/200).
 ŻYROMSKI W.: *Zenon Kliszko i list „34”* (12/206).

Sąsiedzi

BERLIŃCZYK: *Sprawa Roberta Havemanna* (4/198).
 FRANKE Horst Werner i GRIESE Otto: *Obywatele Bremy o Polsce* (1/195-2/196), przeł. M.Cz.
 GÖRLICH Joachim Georg: *Autochtoni* (1/195-2/196).
 GRIESS Otto: ob. Franke Horst Werner i Griese Otto.
 HODŹA Vlado: *Banska Bystrica* (11/205).
 KOZŁOWSKI S.W.: *Przegląd niemiecki* (3/197).
 L.: *Antykolonialny „manifest” rumuński* (7/201-8/202).
 LEWICKYJ Borys: *Prądy postępowe w Rosji* (3/197).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Taras Szewczenko 1814-1964* (7/201-8/202).
 M.Cz. (tłumacz) ob. Franke Horst Werner i Griese Otto.
 MIŁOSZ Czesław: *O Franciszku Anczewiczu* (7/201-8/202).
 m.k.: *Posag dla Ulbrichta* (7/201-8/202).
 OSADCZUK Bohdan: *Współczesna Ukraina* (5/199).
Rumunia (6/200).
 RYSER Witold A.: *Nowy etap* (5/199).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

BORWICZ Michał M.: *„Kierunek myśli Ruchu Oporu”* (3/197).
 — „...Zabawy, spory w one lata” (9/203).
 BOBR-TYLINGO Stanisław: *Marksistowskie dzieje Polski* (3/197).
 BRZĘKOWSKI Jan: *Druga młodość Wierzyńskiego* (6/200).
 CHCIUK Andrzej: *Czerwone salto* (7/201-8/202).
 — „Kryminał” w Polsce Ludowej (1/195-2/196).
 CZAJKOWSKA Magdalena: *„Anioł lewy” Pietrkiewicza* (10/204).
 — *Krajobraz czekający na wyjaśnienie* (12/206).
 — *System totalitarny dla zaawansowanych* (7/201-8/202).
 CZERNIAWSKI Adam: *Czajkowskiego raj utracony* (12/206).
 DANILEWICZOWA Maria: *Pod znakiem nauk służebnych* (5/199).
 — (tłumacz) ob. Prescott Joseph (10/204).
 FAY Victor: *Historia partii bolszewickiej* (11/205), przeł. Tadeusz Świącicki.
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Z zeszytu lektury* (5/199).

JEDLICKI Witold: *Kontemplacja na odległość* (5/199).

— *Polska: most czy trumna* (11/205).

KAWAŁKOWSKI Aleksander: *O pojednanie polsko-niemieckie* (9/203).

KOMARNICKI Tytus: *Saga wielkopolskiego rodu* (10/204).

KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Tym co nie zginęli* (9/203).

LONDYŃCZYK: „*Polityka Becka*” (7/201-8/202).

MARKIEWICZ Zygmunt: *Literatura polska w oczach Francuza* (5/199).

MIŁOSZ Czesław: *Długi bieg* (3/199).

(m.l.d.): *W oczach Londynu* (12/206).

Nadane nowości wydawnicze (1/195-2/196, 3/197, 4/198, 5/199, 7/201-8/202, 9/203, 10/204, 11/205, 12/206).

PRESCOTT Joseph: „*Stefan Bohater*” James Joyce’a (10/204), przeł. Maria Danilewiczowa.

ŚWIĘCICKI Tadeusz (tłumacz) ob. Fay Victor (11/205).

TERLECKI Tymon: *Polska monografia Thomasa Manna* (1/195-2/196).

VINCENZ Andrzej: *Historia dzieciństwa* (5/199).

WANDYCZ Piotr: *O polskiej polityce zagranicznej Dwudziestolecia* (1/195-2/196).

WEINTRAUB Wiktor: „*Szkice Mickiewiczowskie*” (1/195-2/196).

W.W.: *Literatura polska w niemieckim leksykonie* (6/200).

Wykaz wydawnictw Biblioteki „Kultury” (1/195-2/196, 5/199).

Kronika kulturalna

BRZĘKOWSKI Jan: *Dadaizm i dadaści* (3/197).

CZAPSKI Józef: *Marek Żuławski — nagroda plastyczna „Kultury” za rok 1963* (6/200).

— *Weltbürger* (5/199).

CZAYKOWSKI Bogdan: *Piśmiennictwo polskie na obczyźnie* (11/205).

DOBEK Czesław: *Wieczór Zofii Romanowiczowej* (3/197).

J.K.: *Polska muzyka współczesna* (9/203).

JORDAN Zbigniew A.: *O Stanisławie Ossowskim* (1/195-2/196).

KIPPER Anna: *Polonica kolumbijskie* (1/195-2/196).

KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław: *Marian Zdziechowski* (1/195-2/196).

(m.l.d.): *W oczach Londynu* (4/198, 6/200, 9/203).

MOCHLIŃSKA K. i WILCZYŃSKA Zofia: *O czytelnictwie na emigracji* (7/201-8/202).

PIEKUT Stanisław: *Rzymska przyjaźń Kraszewskiego* (1/195-2/196).

TURKIEWICZ Zygmunt: *Wystawy w Londynie* (4/198).

WANDYCZ Piotr: *Czechosłowackie życie kulturalne* (11/205).

WILCZYŃSKA Zofia ob. Mochlińska K. i Wilczyńska Zofia.

K o m u n i k a t y

- 24-lecie Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich (10/204).
 Cztery nagrody Związku Pisarzy (3/197).
 Fundacja Wandy Roehr we własnym domu (5/199).
 Instytut Sikorskiego i Polski Ośrodek Naukowy (5/199).
 Konkurs Literacki im. Czesława Straszewicza (4/198, 7/201-8/202).
 Konkurs im. Zygmunta Nowakowskiego (2/197, 12/206).
 Konkurs Literacki „Tygodnika Katolickiego” z Australii (1/195-2/196).
 Konkurs na esej o Powstaniu Warszawskim (1/195-2/196, 3/197).
 Nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego (9/203).
 Nagroda literacka Anny Godlewskiej na rok 1964 (10/204).
 Nagroda poetycka im. Z. Polkowskiej-Szkaradzińskiej (9/203).
 Nagroda poetycka im. Tadeusza Sułkowskiego (1/195-2/196).
 Nowy zarząd Zw. Dziennikarzy R.P. na r. 1963/64 (1/195-2/196).
 Pierwsze dotacje Fundacji Kulturalnej im. S. Gruszki (1/195-2/196).
 Program naukowych tłumaczeń (3/197).
 Rocznice wojskowe (7/201-8/202).
 Subskrypcja książki Aleksandra Grobickiego (3/197).
 Subskrypcja na książkę „John Kennedy and Poland” (9/203).
 Stypendium „Polonica technica” (4/198).
 Terminarz uroczystości 20-lecia walk I Dywizji Pancerniej (9/203).
 III Konkurs Norwidowski Koła Artystów Plastyków w Argentynie (4/198).
 Wielki krok naprzód w realizacji ośrodka polskiego w Londynie (7/201-8/202).

S p r a w y i t r o s k i

- BIENKOWSKA Danuta Irena: *Jacek o sobie, o Polsce i wielu innych rzeczach* (3/197).
 DOBEK Czesław: *Miliony polskiej emigracji* (5/199).
 — *Opieka i pomoc* (7/201-8/202).
 — *O polskich funduszach* (9/203).
 — *Straty szkockie i sumy włoskie* (6/200).
 JASIŃSKI Zbigniew: *Cień Frankowskiego w Australii* (11/205).
 KOMITET KOORDYNACYJNY POLAKÓW-OBYWATELI BRYTYJSKICH: *Oświadczenie* (9/203).
 KRYGIER Ryszard: *Australia kraj imigracji* (10/204).
 KUSS Witold sen.: *Polacy w Argentynie* (1) (12/206).
 (m.l.d.): *W oczach Londynu* (1/195-2/196, 3/197).
 MORAWSKI Maciej: *Nowa emigracja do Francji* (10/204).
 NASIELSKI Adam: *Młode pokolenie emigracyjne* (5/199).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- BRZEZIŃSKI Zbigniew i HUNTINGTON Samuel P.: *Cincinnatus i aparatczik* (3/197, 4/198), przeł. Kazimierz Okulicz.
 JONES Jack: *Nowa koncepcja ideologii pomarksistowskiej* (1) (12/206), przeł. Maria Danilewiczowa.
 PRESCOTT Joseph: „Stefan-bohater” *James Joyce’a* (10/204), przeł. Maria Danilewiczowa.

Z języka francuskiego

- FAY Victor: *Historia partii bolszewickiej*, (11/205), przeł. Tadeusz Święcicki.

Z języka niemieckiego

- FRANKE Horst Werner i GRIESE Otto: *Obywatele Bremy o Polsce* (1/195-2/196), przeł. M.Cz.

Z języka rosyjskiego

- ACHMATOWA Anna: *Requiem* (6/200), przeł. Józef Łobodowski.
 ARŻAK Nikołaj: *Odkupienie* (4/198), przeł. Józef Łobodowski.
Poezja przed sądem w Leningradzie (7/201-8/202), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka węgierskiego

- LENGYEL Jozsef: *Mały gderliwy starszy pan* (11/205).

Z języka włoskiego

- Dwa dokumenty* (12/206), przeł. Paweł Zdziechowski.
 SILONE Ignazio: „*Archiwum Rewolucji*” (6/200), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.

Bibliografie

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1964* (12/206).

Noty Biograficzne

- GIERGIELEWICZ Mieczysław: (1/195-2/196).
 JONES Jack (12/206).

KROK-PASZKOWSKI Jan (9/203).
 RYSER Witold A. (6/200).

Listy do Redakcji

BIELATOWICZ Jan (12/206), BORWICZ Michał M. (12/206),
 BRŃSKA-PAMPUCH Wanda (1/195-2/196), BULAS Kazimierz
 (1/195-2/196), CHMIELOWIEC Michał (1/195-2/196), CZAPSKI
 Józef (7/201-8/202), CZERNIAWSKI Adam (3/197), CZERNIAW-
 SKI E.J. (5/199), DZIEWANOWSKI M.K. (7/201-8/202), FRY-
 DRYCH Bolesław (1/195-2/196), GOMBROWICZ Witold (3/197),
 GÖRLICH Joachim Georg (12/206), GRABOWSKI Zbigniew
 (12/206), HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (1/195-2/196), 11/205),
 JASIŃSKI Zbigniew (9/203), JELEŃSKI K.A. (9/203, 12/206),
 JĘDRZEJEWICZOWA Cezaria (3/197), KAMIŃSKI-DUROCHER
 Bronisław (7/201-8/202), KAWAŁKOWSKI Aleksander (1/195-
 2/196), KLEPACZKO Józef (5/199), KRANNHALS Hanns von
 (9/203), KUKIEL Marian (3/197), LIBICKI Konrad (11/205), LI-
 SIEWICZ Mieczysław (10/204), LIST Z KRAJU (3/197), ŁASZEW-
 SKI Bolesław T. (11/205), MANTEL Feliks (10/204), MIECZ-
 KOWSKI Bogdan (11/205), MOHORTYŃSKI Piotr (1/195-2/196),
 MOND Jerzy (3/197), NAGÓRSKI Zygmunt, sr. (6/200), NIEMO-
 JOWSKI Jerzy (6/200), NOCH Henryk (9/203), NOWAK-PRZYGO-
 DZKA Zofia (1/195-2/196), OKULICZ Kazimierz (11/205), ORŁOW-
 SKI A.S. (4/198), PAWLIKOWSKI Michał K. (9/203), POBÓG-
 MALINOWSKA Maria (5/199), PODOSKI Edward (10/204), PO-
 GONOWSKI Iwo C. (3/197), RETMAN Roman (9/203), RUDZIŃ-
 SKI Aleksander Witold (4/198), SIEMASZKO Z.S. (10/204), SO-
 ŁOWIJ Tadeusz (3/197), STOSIUS Jerzy (3/197), STRASZYŃSKI
 Z. (1/195-2/196), SYMONOLEWICZ-SYMMONS Konstanty (6/200),
 SZPIKOWSKI Zbigniew (3/197), ULATOWSKI Jan (3/197), WAJ-
 DA R. (7/201-8/202), WRÓBLEWSKA Wanda (4/198), ZADEMB-
 SKI Kamil (7/201-8/202), ZIMMER Szczepan K. (7/201-8/202),
 ŻOCHOWSKI S. (5/199).

Różne

Sprostowanie (7/201-8/202).

Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/195-2/196, 3/197, 4/198, 5/199,
 6/200, 7/201-8/202, 9/202, 10/204, 11/205, 12/206).

Wydawnictwa książkowe w roku 1964

Biblioteka „Kultury”

- Tom XCV: *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5), str. 256.
Tom XCVI: Hłasko Marek: *Wszyscy byli odwrócenii. Brudne czy-
ny*, str. 356.
Tom XCVII: Wierzyński Kazimierz: *Kufer na plecach*, str. 104.
Tom XCVIII: Czaykowski Bogdan: *Spór z granicami*, str. 64.
Tom XCIX*: Witos Wincenty: *Moje Wspomnienia*, tom I str. 357.
Tom C: Krywicki Walter G.: *Byłem agentem Stalina*, str. 220.
Tom CI: Bielatowicz Jan: *Gaude Mater Polonia*, str. 80.
Tom CII: Mackiewicz Stanisław: *Polityka Becka*, str. 188.
Tom XCIX**: Witos Wincenty: *Moje Wspomnienia*, tom II, str.
440.
Tom CIII: *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6), str. 240.
Tom CIV: Silone Ignazio: *Wybór towarzyszy*, str. 96.
Tom CV: Sukiennicki Wiktor: *Biała księga*.
Tom CVI: Mieroszewski Juliusz: *Ewolucjonizm*.
-

200-tny i 206-ty zeszyty „Kultury” (czerwiec i grudzień 1964)
zawierały 176 str., zamiast, jak zwykle, str. 160.

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca : INSTITUT LITTÉRAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e trimestre 1964

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8° Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debiecka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CII

STANISŁAW MACKIEWICZ

POLITYKA BECKA

Str. 188

Cena egz. 12 F (18 sh.; \$ 2,50)



WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM II

Ukazał się w sierpniu rb. i został rozesłany subskrybentom.
Str. 440

PRZYPOMINAMY

O ODNOWIENIU

PRENUMERATY

NA ROK 1965